MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

20. ROK ZE ŚLĄSKIEM

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

www.slaskgtl.pl

Nr 10 (239) • ROK XX • PAŹDZIERNIK 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Kopalnia teatrów

ISSN 1425-3917 10

Fot. Zbigniew Sawicz

Polska Technika Górnicza S.A., którą tworzą kluczowi producenci maszyn i urządzeń górniczych (Grupa KOPEX, Grupa FAMUR, Grupa GLINIK, Stomil Wolbrom, Carboautomatyka, Damel) była organizatorem w dniach 8 – 11 września 2015 roku największych w Europie, 30. już Międzynarodowych Targów Górnictwa, Przemysłu Energetycznego i Hutniczego „KATOWICE".
Oferta prezentowana na targach obejmowała kompleksowe usługi dla górnictwa. Targom towarzyszyły międzynarodowe konferencje i sympozja, w których uczestniczyli przedstawiciele Komisji Europejskiej, polskiego rządu, Międzynarodowej Agencji Energii, Światowego Kongresu Górniczego i europejskiej nauki.
Targi (dawny SIMMEX) organizowane są co dwa lata na terenach i w obiektach największych w Polsce. W tym roku miejscem targów było Międzynarodowe Centrum Kongresowe i tereny wokół hali Spodka.

(*Więcej w komentarzu Wiesława Kosterskiego „Czarne na zielonym" na str. 5)*

Jubileuszowy, 80. sezon swojego istnienia Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia zainaugurowała koncertem w dniu 30 września 2015 roku. W programie znalazły się utwory: obraz muzyczny *W głębi morza* Grzegorza Fitelberga, *I Koncert wiolonczelowy* Dymitra Szostakowicza i *Symfonia fantastyczna* Hectora Berlioza. Koncert poprowadził Alexander Liebreich, a solistą był wiolonczelista Truls Mørk.
Podczas koncertu nie zabrakło oficjalnych wystąpień, gratulacji i wielu serdecznych życzeń, jakie muzykom NOSPR oraz dyrektor naczelnej Joannie Wnuk-Nazarowej przekazał m.in. prezydent Katowic Marcin Krupa.
W atrium przy sali kameralnej NOSPR można obejrzeć wystawę fotografii pt. „80-letnia NOSPR w 90-letnim Polskim Radiu".

Fot. Zbigniew Sawicz

Fot. Arkadiusz Ławrywianiec

W roku 150-lecia Katowic laureatami Nagrody Prezydenta Miasta Katowice w dziedzinie kultury zostali:
Krystyna Kajdan – dyrektor Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum", Leszek Winder – gitarzysta Śląskiej Grupy Bluesowej oraz zespół Dżem. Uroczystość wręczenia odbyła się 8 września 2015 r. w Pałacu Goldsteinów.

Nasz partner

Rybnik. Miasto z ikrą.

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 10 (239). Rok XX. PAŹDZIERNIK 2015 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓŁWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

KATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcjaslask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf"
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny"
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. *Beata Tomanek* SENIORZY W NATARCIU
5. *Wiesław Kosterski* CZARNE NA ZIELONYM
6. „ROZMOWA NA 20. LECIE":
Rozmowa z Krzysztofem Czyżewskim, założycielem Ośrodka „Pogranicze" w Sejnach oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrudzie POGRANICZE JEST W NAS
40. *Magdalena Dziadek* ARTYSTYCZNY FENOMEN
45. *Henryk Szczepański* KATOWICE ZA GÓRNIKA (cz. I)
52. *Łukasz Karkoszka* W OGRODZIE PAMIĘCI
54. *Edyta Hetmaniok, Mariusz Pleszczyński, Damian Słota, Roman Wituła* PORTRET WYBITNEGO MATEMATYKA
56. *Jakub Łoginow* TANIE, BO POLSKIE
60. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO
Krzysztof Kosiński POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI?

TEATR NA ŚLĄSKU, ŚLĄSK W TEATRZE
15. *Dorota Fox* W KOPALNI I WOKÓŁ KOPALNI
20. *Maria Sztuka* WIELKA DAMA TEATRU POLSKIEGO
24. *Janusz Łastowiecki* TO, CO JEST UKRYTE
26. *Joanna Warońska* KONSUMPCJA CZY PARTNERSTWO
29. *Marek Brzeźniak* WIELKI JUBILEUSZ NIE WIELKIEGO TEATRU
32. *Katarzyna Bereta* LEKKI TEATR PRZENOŚNY
34. *Marek Mierzwiak* ŚLĄSK MÓJ W TEATRZE WIDZĘ OGROMNY
36. *Magdalena Figzał* ZESPÓŁ, KTÓRY NIE BOI SIĘ WYZWAŃ
38. *Bogdan Widera* WSPOMNIENIE Z ANTRAKTÓW
64. *Witold Kociński* ŚLĄSK OTWARTY
69. *Maria Sztuka* TEATR W SIECI
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA": BARBARA PTAK

FELIETONY
14. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański ODYSEUSZ W PIEKLE
53. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA
Jan Miodek OD *OCHODŹCA* DO *OCHOJCA*
59. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas TRZECH PANÓW W ŁÓDCE
59. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY
65. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek JUBILEUSZOWY SEZON „CAMERATY SILESIA".
KLARA LANGER-DANECKA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk PIEKARNIK W ŚWIETLE TEORII SPISKOWEJ

PLASTYKA
48. *Wiesława Konopelska* O POSZUKIWANIU SAMEGO SIEBIE
49. *Lech Majewski* PODZIEMNE ŚWIATŁO. WIDEO-ARTY. RZEŹBA. Muzeum Śląskie Katowice
50. BELLMER/VISAT. Muzeum Historii Katowic
51. *Bogdan Widera* EUROPEJCZYK Z KATOWIC

KSIĄŻKI
70. *Wiesława Konopelska* SZTUKA W PRZESTRZENI MIASTA
71. *Maria Dębicz* WĘDROWIEC MIĘDZY KULTURAMI
72. *Ewa Wylężek* MAŁA ZAGŁADA
72. *Katarzyna Bereta* PRZESTRZEŃ, KTÓRA WIĘZI
73. *Roma Jegor BIERNIK* BOGDANA PREJSA
73. *Bogdan Widera* BOMBI, DALAJLAMA I LWÓW
74. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA
3. WIERSZ NA OTWARCIE
Tadeusz Kijonka MIARA
10. *Tadeusz Kijonka*
TREN NA ODEJŚCIE GAMY – SZLACHETNEJ WILCZYCY. W TEN CZAS
42. *Marek Szalsza* SCHYŁEK SZATRANGU (cz. II)

EKOLOGIA
62. *Jolanta Karmańska* NISKA EMISJA – PRZEŁOM!

STAŁE RUBRYKI
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Beata Leńczuk-Bachmińska BAŁAGAN W BIBLIOTECE – DLA KOGO TA PRZESTRZEŃ?
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
JAN „KYKS" SKRZEK ZE SWOJĄ HARMONIJKĄ W GALERII ARTYSTYCZNEJ
68. OPOLSKIE. LEKSYKON MITÓW, SYMBOLI I BOHATERÓW GÓRNEGO ŚLĄSKA...
76. NOTATNIKI KULTURALNE. Redagują: *Wiesława Konopelska, Jan Picheta, Joanna Kotkowska, Janusz Wójcik, Maria Sztuka, Jacek Sikora*
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:
Lech Majewski, *Sznurówki*, rzeźba. Fragment ekspozycji „Podziemne słońce". Wideo-arty, rzeźba" w Muzeum Śląskim w Katowicach. Zdjęcie: Muzeum Śląskie w Katowicach

Pismo wspierane finansowo przez:

Projekt objęty mecenatem MIASTA KATOWICE

KATOWICE

Śląski Związek Gmin i Powiatów

Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Śląskie. Pozytywna energia

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Rys. + linoryt: Wojciech Łuka

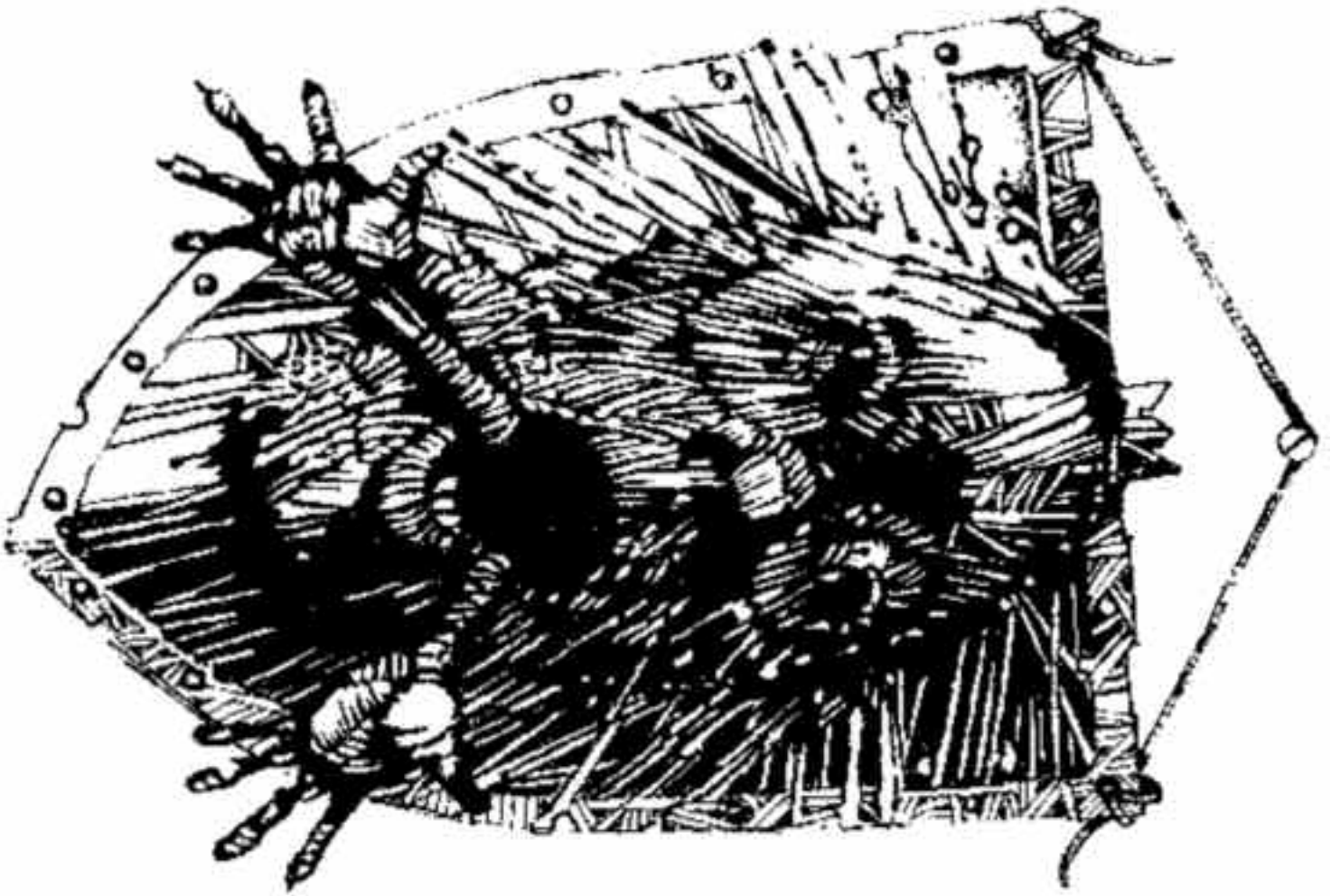

TADEUSZ KIJONKA

Miara

Wiersz czerpany – z niezmywalnym godłem,
Jak znak wodny, gdy pod światło unieść.
Ostateczny jak śmierć, wiarygodny –
Że przestawić słowo a runie.

Wiersz czerpany z siebie, całym sobą,
Miarą ciała aż do wyczerpania…
Raz bez reszty niech się stanę tobą –
A ty mną, mój wierszu,
W trumnie zdania.

Seniorzy w natarciu

BEATA TOMANEK

Starość w świadomości społecznej jest nieatrakcyjna: skóra pomięta, oczy zmęczone, sylwetka zgarbiona, głowa co prawda wciąż otwarta, ale z zawodną pamięcią... Z takim obrazem starości dorastają kolejne pokolenia, które oddając się radościom życia udają, że nie jest ona wpisana w ich plan. Samych seniorów albo nie dostrzegają, albo traktują litościwie jako niegroźnych nudziarzy. Młodość z impetem bierze z życia to, co najlepsze, dyktuje mody, wprowadza nowe zwyczaje, panoszy się, uzurpuje sobie rolę awangardy, sięga po władzę, a starsi pokornie usuwają się im z drogi. Dzieje się tak pomimo faktu, że młodych w całej Europie ubywa, trwa bowiem niż demograficzny, w krajach rozwiniętych ekonomicznie rodzi się mało dzieci. To właśnie aktualnie młodzi nie dbają o swoją przyszłość, egoistycznie koncentrując się na hedonistycznym przeżywaniu codzienności. Zakładanie rodziny przesuwają na drugi plan. Dzieje się tak również w Polsce i w woj. śląskim. Dodatkowo rozwój medycyny, kosmetologii, wiedzy na temat organizmu człowieka, przestrzeganie mody na fitness – to wszystko sprawia, że ludzie starzeją się wolniej i żyją dłużej. Przesuwa się w związku z tym górna granica młodości. Dzisiaj młody jest nawet 40-latek. Takie mechaniczne wydłużanie młodości nie zmienia jednak faktu, że grupa, która rozwija się najdynamiczniej w ostatnich latach w sensie liczebności to seniorzy. Wyraźnie pokazuje tę tendencję statystyka. W ciągu ostatnich 20 lat przybyło około miliona Polaków. Aktualnie jest nas ponad 38 milionów. W tym niewiele ponad 15 milionów stanowią młodzi między 18 i 44 rokiem życia. Dwadzieścia pięć lat temu było ich tyle samo. Młodszych, między 19 a 24 rokiem jest prawie trzy miliony, nieco mniej niż w 1989 roku. Seniorów powyżej 60. żyje w Polsce aktualnie blisko 7 i pół miliona, to jest prawie dwa razy tyle co trochę ponad dwie dekady temu. Warto wiedzieć, że w tej grupie jest prawie 4000 stulatków i ponad 50000 dziewięćdziesięciolatków. Większość w dobrym zdrowiu. W naszym województwie średnia wieku wynosi u kobiet ponad 80 lat u mężczyzn 72. Seniorzy stanowią 20% społeczeństwa, ale za 20 lat będzie to 30%. Wszystkie przytoczone dane statystyczne w odniesieniu do grupy ludzi powyżej 60. lat mają wyraźne tendencje wzrostu w przeciwieństwie do pozostałych grup, które albo maleją, albo stoją w miejscu. Jednym słowem kurczą się i trzeba przyjąć, że

Impet młodości słabnie!

Zjawisko starzenia się społeczeństwa zostało już zauważone. Przepełnione są Uniwersytety Trzeciego Wieku. Powstają już nie tylko przy uczelniach, ale też przy bibliotekach, domach kultury, urzędach i stowarzyszeniach. Większa część publiczności w filharmoniach, operach, teatrach to seniorzy. Być może świadczy to tylko o innych wyborach strawy dla ducha, niemniej wyraża się w nich większa dbałość o jakość doznań estetycznych. Co będzie musiało mieć w przyszłości większy wpływ na politykę kulturalną prowadzoną na każdym szczeblu władzy, zarówno ogólnopolskiej jak i lokalnej. Już przy urzędach miast i gmin powstają rady seniorów. Głosy emerytów zaczęły być coraz cenniejsze. To wyborcy, ale i gospodarze w swoich miejscach zamieszkania. W Dniu Seniora, 1 października, w tym roku powstał Obywatelski Parlament Seniorów jednoczący wszystkie organizacje, stowarzyszenia, związki, towarzystwa i kluby seniorów. Ważne jest bowiem, żeby emeryci prezentujący wszystkie środowiska przedstawiali swój ogląd rzeczywistości, wyrażali najistotniejsze problemy i zgłaszali pomysły na usprawnienie codzienności tak, by ta coraz liczniejsza grupa miała szansę czerpać przyjemność z przeżywania swojej starości. Uważnie głosów pokolenia swoich rodziców słuchają też czterdziesto- i pięćdziesięciolatkowie. Aktualnie, ujmując rzecz statystycznie, są to ludzie władzy: prezesi, dyrektorzy, prezydenci, szefowie firm i inni decydenci. Już niedługo zasilą oni grono seniorów, więc w pewnym sensie myślą o sobie. Podejmując decyzje dotyczące życia społecznego i ekonomicznego, inicjując ustawy, przepisy przygotowują sobie lepszą egzystencję na emeryturze. Wtedy grupa seniorów „urośnie" do prawie 30% ogółu społeczeństwa. Już jeżdżą „mówiące" tramwaje i autobusy, z niskimi podłogami, żeby łatwiej było wysiadać i wsiadać. Krótsze są dystanse między przystankami. Więcej ławeczek pojawiło się na skwerach, chodnikach, żeby w każdej chwili można było odsapnąć. Więcej podjazdów, mniej wysokich schodów. Budowane są eleganckie ośrodki dla seniorów z dostępną rehabilitacją, opieką medyczną na miejscu. Apartamentowce są przystosowane konstrukcją i metrażami do starszych mieszkańców, ale samodzielnych. Obok nich znajdują się instytucje o profilu medyczno-pielęgnacyjnym i oczywiście cała infrastruktura organizująca codzienne życie. Inwestycje planuje się z myślą o starszych. Powstawanie takiego miejsca możemy obserwować w Katowicach w dzielnicy Bażantowo. W Katowicach, ale i w innych miastach również dostępna jest karta Aktywnego Seniora gwarantująca zniżki na bilety oraz wejściówki na wybrane imprezy kulturalne. Prowadzone są akcje w kawiarniach: „Kawa dla seniora", a w kinach: „Seans dla seniorów". Urzędnicy oraz aktywiści z organizacji pozarządowych podpatrują dobre wzory usprawniania życia seniorów w zachodnich krajach Europy, by wdrażać je w naszej rzeczywistości. Jedynie dwa największe i najistotniejsze systemy w naszym kraju: zdrowia i opieki społecznej nie zmieniły kursu. W związku z tym, seniorzy nie zauważają, że są coraz ważniejsi.

Starość może być atrakcyjna

Spektakularne są wyczyny niektórych seniorów. Podziw młodych wzbudza pani Wirginia Szmyt znana jako didżejka Wika, 76-letnia babcia, która znakomicie radzi sobie z mikrofonem i sprzętem disco. Jest ona również inicjatorką Parady Seniorów pod hasłem „Dojrzali! Wspaniali!". Respekt wzbudza wyczyn Aleksandra Doby, który jako 67-latek przepłynął Ocean Atlantycki. Pokonał 9 tysięcy km 7-metrowym kajakiem i siłą własnych rąk. Został wybrany Podróżnikiem Roku 2015 w internetowym plebiscycie National Geografic. Planuje teraz przepłynięcie kajakiem z Ameryki Północnej do Europy północnym Atlantykiem. Na Śląsku mamy również wybitnych, znanych i podziwianych seniorów. Po prostu czasy się zmieniają. Zmieniają się też seniorzy. Są coraz bardziej ambitni, świadomi, że czas jesieni życia może być najdłuższym etapem ich życiu i nie chcą go marnować. Rozwijają się, uczą, podróżują, inicjują różne przedsięwzięcia, piszą książki, stają się „kronikarzami swoich czasów", są obecni również w wirtualnym świecie, obsługują smartfony, komputery. I nie boją się młodych. Często współdziałają. Pani dr Helena Hrapkiewicz, szefowa UTW w Uniwersytecie Śląskim od wielu lat zaleca, by do swojej starości przygotowywać się 10-15 lat wcześniej. Mieć na nią pomysł. Kto się zastosuje, nie będzie się czuł się wykluczony ze społeczeństwa, niepotrzebny. Świadomy, aktywny senior może odebrać w niedalekiej przyszłości nie tylko impet, ale i dyktat. ■

Fot. Zbigniew Sawicz

Czarne na zielonym

WIESŁAW KOSTERSKI

Nożyce rozwarły się jak nigdy wcześniej: górnictwo węgla kamiennego przypomina pacjenta w katatonii, Międzynarodowe Targi Górnictwa, Przemysłu Energetycznego i Hutniczego, w nowym anturażu, rozkwitły. Tam straty, niepewność i widmo katastrofy, tu zmiany, obfitość i dobry nastrój.

Wrześniową wystawę technologicznych nowości w branży górniczej wywindowało wysoko nowe miejsce – otwarte niedawno Międzynarodowe Centrum Kongresowe, które w połączeniu ze „Spodkiem" i terenami wokół hali, stworzyło inny wymiar targowej imprezy. Znów padł rekord – 450 firm z 20 krajów. Największe, jubileuszowe targi w swojej 30-letniej historii.

Popatrzmy jak zrobili to Niemcy: wydobycie węgla kamiennego ograniczyli do około 13 mln ton rocznie (przy imporcie 55 mln ton), brunatnego zwiększyli już do 185 mln ton, mają plany rozwoju górnictwa odkrywkowego na kolejne dziesięciolecia.

Oglądając stoiska producentów sprzętu wydobywczego, nasuwało się jednak pytanie, kiedy, za co i na jaką skalę polskie górnictwo, które ma miliardowe straty i walczy o przeżycie, sprawi sobie takie urządzenia. Przecież nawet Jastrzębska Spółka Węglowa, potentat w branży, po którym należałoby się spodziewać dobrych wyników, wpadła w finansowe tarapaty i szoruje po dnie niczym tonący okręt. Producentom pozostaje eksport.

Ale i na rynkach międzynarodowych mizeria. Chiny zwolniły gospodarkę i – w porównaniu z dotychczasowym tempem rozwoju – człapią zamiast biec. Już nie potrzebują tak dużej ilości energii, jak jeszcze rok, czy dwa lata temu. Japonia, jeden z największych odbiorców węgla na świecie, ogranicza import paliwa.

W Rosji stagnacja. Dobrze, że chociaż tamtejsze górnictwo kupuje sprzęt wydobywczy, także od polskich producentów, nie bacząc na lodowate stosunki między Warszawą i Moskwą. Energetykę chcą rozwijać Indie, potencjalnie potężny konsument energii, ale biorąc pod uwagę czas budowy kopalń i elektrowni, to perspektywa ładnych kilku, kilkunastu lat. Rynkami wstrząsnęła dodatkowo niedawna rewolucja łupkowa w USA.

W efekcie ceny węgla w portach ARA spadły w tym roku do rekordowo niskiego poziomu – ledwie 50 dolarów za tonę. Jest tak krucho, że nawet bardzo elastyczne i dochodowe górnictwo Australii wyhamowało i zwalnia ludzi. Zdaniem wielu analityków, wzrostów cen należy się spodziewać po 2017 roku.

Z towarzyszących targom konferencji wiało chłodem pesymizmu. Stan finansów branży dramatyczny, brakuje nadzoru właścicielskiego i środków kontroli importu węgla, do każdej tony wydobytego paliwa trzeba dokładać 40 zł, polityka UE w stosunku do górnictwa daleka od oczekiwań, dekarbonizacja i OZE forsowane przez Brukselę. Na drugim biegunie bezpieczeństwo energetyczne państwa i utrzymanie węgla jako gwaranta niskiej ceny energii.

Dyskusje nie wyszły poza próg przewidywalności, stając się kalką debaty o górnictwie z poprzednich kilku edycji targów i powieleniem argumentów, które już dawno wybrzmiały. Ponieważ nie uczestniczyli w nich przedstawiciele Skarbu Państwa, właściciela kopalń, były w gruncie rzeczy forum do przekonywania samych siebie o słuszności głoszonych tez.

Pewien wyłom stworzyła koncepcja restrukturyzacji Kompanii Węglowej i utworzenia do końca września tego roku Nowej Kompanii Węglowej. Zbudowana za pieniądze trzech akcjonariuszy (Węglokoksu, Funduszu Inwestycji Polskich Przedsiębiorstw oraz Towarzystwa Finansowego Silesia) nowa spółka miałaby objąć 11 rentownych kopalń.

Pomysł zawisł w powietrzu po tym, jak resort skarbu otrzymał jednoznacznie brzmiący sygnał z Brukseli, że sposób finansowania NKW może zakwestionować Komisja Europejska, nakazując cofnięcie transakcji, co spowodowałby natychmiastową upadłość spółki. Zaraz też zagrzmieli związkowcy, krzycząc, że rząd, który był gwarantem porozumienia w sprawie utworzenia NKW, po raz kolejny oszukał górników.

Nawet jeśli za czas jakiś powstanie ta spółka, to i tak nie będzie to dowodzić przełomowej zmiany w filozofii myślenia o roli górnictwa i Śląska w polskiej gospodarce. Będzie oznaczać dalsze utrzymanie dotychczasowego, już chyba archaicznego, modelu rozwoju naszego regionu, opartego głównie na prostej eksploatacji dóbr, jakie dała natura.

A przecież Śląsk nie musi być skazany na wyrok dożywotniego istnienia kopalń, zwłaszcza nierentownych, wstydliwych stref ubóstwa po upadłych zakładach wydobywczych i zdegradowanych poprzemysłowych terenów. W ich miejsce powinny powstać nowoczesne firmy z innowacyjną technologią, wykorzystujące potencjał górniczej kadry inżynieryjnej i menadżerskiej. To da się zrobić. Takie mamy możliwości i powinniśmy z nich skorzystać.

Tym bardziej że Polska ma alternatywę w postaci wielkich złóż węgla brunatnego pod Legnicą i Gubinem, które – jak obliczono – zapewnią bezpieczeństwo energetyczne naszego kraju na około 300 lat. Możemy zamykać co parę lat nierentowną kopalnię węgla kamiennego, budując równolegle odkrywki i elektrownie.

Popatrzmy jak zrobili to Niemcy: wydobycie węgla kamiennego ograniczyli do około 13 mln ton rocznie (przy imporcie 55 mln ton), brunatnego zwiększyli już do 185 mln ton, mają plany rozwoju górnictwa odkrywkowego na kolejne dziesięciolecia. Z węgla wytwarzają łącznie 45 proc. energii (Polska około 90 proc.). Chcą eksploatować kolejne złoża, tuż za Nysą Łużycką. I nie przejmują się krzykiem Brukseli.

A co do samych targów, to warto byłoby tchnąć w nie nowego ducha w organizacji, sposobie prezentacji wystawców, przekazie medialnym, a także w wymiarze kultury, w pełni wykorzystując możliwości, jakie daje nowa sceneria MCK. Powielana od 30 lat formuła biznesowo-technologiczna już się mocno zużyła i jest na wyczerpaniu. Jak obecne możliwości polskiego górnictwa. ■

Fot. Michał Moniuszko ze zbiorów „Pogranicze”

Z KRZYSZTOFEM CZYŻEWSKIM, założycielem Ośrodka „Pogranicze” w Sejnach oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrudzie, rozmawia KATARZYNA BERETA

Pogranicze jest w nas

– „Biada temu, kto wyrusza i nie powraca”. Osobiście wracam na sejneńskie pogranicze po raz trzeci, bo tutaj trudno nie przyjeżdżać wielokrotnie. Co z pana perspektywy jako mieszkańca Sejneńszczyzny, ale i przyjezdnego najsilniej przyciąga do tego miejsca?

– Na pewno pogranicze. To było coś, co zainicjowało naszą podróż na Wschód. I tak było od samego początku. Przyjeżdżałem tu z żoną jeszcze wówczas, gdy pracowaliśmy w Gardzienicach. Pierwsze wyprawy były do Litwinów, staroobrzędowców. To byli pierwsi starcy, z którymi połączyły nas silne więzi. A z powrotami to jest tak, że gdy otrzyma się w darze coś bardzo cennego, płynącego z serca, to tym darem związuje się ludzi. Jest jakaś moc w samym akcie darowania, że on przywołuje powrót, tak jak przywołuje oddanie. Człowiek czuje się zobowiązany do odwzajemnienia daru. Jeżeli tego nie czyni, to nie zazna w jakiś sposób spokoju. Powraca się zatem do miejsc, które nas obdarowały. Nas lub naszych przodków. Myślę, że jesteśmy w świecie ze sobą powiązani niewidzialnymi nićmi brania i oddawania, przyjmowania i zwracania, powrotów i wyjazdów.

Można oczywiście dar odrzucić, zdystansować się do niego. Przyjęcie go jest bowiem bardzo niebezpieczne. Mówi o tym w pewnym sensie mit o Argonautach i Medei, pełen tragicznych wydarzeń następujących po tym, jak prawo *xeni* – gościnności zostało pogwałcone.

– Rozmawiamy w pobliżu dworku, który niegdyś należał do rodziny matki Czesława Miłosza. Jakie miejsce zajmowała Krasnogruda w duchowej geografii poety, na jego mapie Miejsca?

– Niedaleko stąd, nad Czarną Hańczą, spotkaliśmy się po raz pierwszy. To było niespodziewane, gdyż Miłosz przybył wówczas do Polski po raz drugi z emigracji, ale ta wizyta nie była oficjalna tak jak pierwsza w 1980 roku, której towarzyszyły spotkania z liderami Solidarności w Gdańsku czy honorowy doktorat KUL-u. We wrześniu 1989 roku nikt się go tutaj nie spodziewał. Ten pobyt miał zupełnie inny charakter –osobisty. Krasnogruda była dla niego miejscem bardzo intymnym, dlatego ukrył swój przyjazd przed dziennikarzami.

Zawsze nękała mnie tajemnica silnego związku Miłosza z Krasnogrudą. Oczywiście jest wątek rodzinny. Tutaj mieszkały jego ukochane ciotki ze strony mamy – Nina i Gabriela Kunatówny. Gdybyśmy spojrzeli na mapę duchową Miłosza, to jego biegun męski jest w Szetejniach – miejscu, w którym się urodził, zdominowanym przez dziadka Zygmunta. Natomiast Krasnogruda jest żeńskim biegunem, gdyż tutaj był dom rodziny ukochanej matki Weroniki, tutaj mieszkały ciotki i w ogóle dominuje w tym miejscu kobieca siła. To nie mężczyźni prowadzili krasnogrudzki majątek, ale właśnie kobiety. Dla mnie Krasnogruda ma silny pierwiastek żeński i myślę, że był on magnesem przyciągającym Miłosza. Matka była dla niego powierniczką największych tajemnic i młodzieńczych przysiąg, o czym pisze w wierszu jej poświęconym. Wydaje mi się, że te marzenia i tajemnice, o których jej mówił, są gdzieś tutaj zakopane.

Oczywiście kobiety to także pierwsze miłosne wtajemniczenia. To właśnie tu wydarzył się dramat rozczarowania. Zakochał się w starszej pensjonariuszce, która złożyła mu obietnicę, ale pewnego dnia zobaczył wyskakującego nad ranem przez jej okno mężczyznę. Cały dzień pływał w jeziorze Hołny, nabawiając się szmerów serca. Wieczorem, gdy w salonie grała kapela i wybranka bawiła się ze swoim młodym adoratorem, on postawił na stole w swoim pokoju na strychu połówkę czystej i wyjął mały pistolet bębenkowy, do którego włożył kilka naboi, pozostawiając w magazynku kilka miejsc pustych. Następnie przystawił broń do skroni i pociągnął za spust. Niby budząca uśmiech młodzieńcza „rosyjska ruletka", ale – jak wspominał po latach – od takich „zabaw" się umiera.

Jednak nie to jest największą tajemnicą tego miejsca. Myślę, że jest coś ważniejszego. Miłosz wspomina o tym w wierszu *Powrót*, który napisał w Krasnogrudzie w 1989 roku, kiedy się spotkaliśmy. Pisze w nim o młodzianku, którego prawdy nie chce się wyrzec i który patrzy na świat dorosłych z pewnego dystansu. Zdradzili oni bowiem młodzieńcze marzenia i teraz zdają się mówić: poczekaj, ty się w tej chwili buntujesz, ale dorośniesz i wtedy będziesz taki jak my. I to „nie, nie będę taki jak wy", które przywołał w wierszu, zostało mu na całe życie. Właściwie spotkałem wówczas starego człowieka, który spowiadał się z tej dziecięcej przysięgi, z tego, czy ją dochował. I tym była w istocie Krasnogruda dla niego – tajemnicą, pytaniem, na ile zachował w sobie dziecko.

– W *Linii powrotu* pisze pan, że w dziedzinie tzw. dialogu międzykulturowego mamy obecnie przerost refleksji teoretycznej. Postawił pan zatem na praktykę dialogu i powstał ośrodek. Może pan przybliżyć, jaka jest sejneńsko-krasnogrudzka *praxis*?

– Ośrodek to jest dobre słowo, bo ośrodek to nie jest projekt. To jest założenie życia, stworzenie jakiejś organizacji, która ze swej natury powinna być nastawiona na długie trwanie. To jest coś, co Miłosz od początku nam podpowiadał. Interesowało go, czy nie stanie się to dla nas przelotną przygodą, jak często zdarza się artystom. U początków naszej działalności było więc takie przyłożenie do rzeczywistości, które było obliczone na długie trwanie. Towarzyszyła nam myśl: a weźmy to na poważnie. Skoro się zwróciliśmy z czymś do ludzi, zapytaliśmy o coś, to dotknęliśmy jakiejś powierzchni, ale te losy mogą się przecież bardziej zaplatać, dlatego możemy iść dalej w głąb prawd świata, w który chcemy się zanurzyć. Takie myślenie towarzyszyło nam u początków istnienia „Pogranicza". Naprawdę nie chcieliśmy „przejechać" Sejn jako trupa teatralna z paroma przedstawieniami. Przyjechaliśmy tu przecież ze sztuką *Tętent* wg Lorki, po jej wystawieniu mogliśmy zatem jechać dalej, ale wydawało się nam to sztuczne. Nie tego potrzebowaliśmy. Komunizm upadł, pora by wyjść z artystycznego podziemia. Wybraliśmy właśnie to miejsce ze względu na pogranicze, Miłosza, bliskość Wilna, cudem ocalony kwartał żydowski dawnego sztetla. Jeden z nas – Wiesław Szumiński – był stąd. Reszta zespołu była z Kaszub, Poznania, Warszawy. Pomyśleliśmy wówczas: spróbujmy inaczej, zostańmy. To był rewolucyjny gest, kiedy postanowiliśmy, że zostajemy i zrobimy wszystko, aby zbudować ośrodek. On jest czymś, co trzyma w miejscu. Po 1989 roku nie chcieliśmy być już niezależni, ale współzależni. Chcieliśmy być częścią życia nowej Polski. Nie chcieliśmy kolejnej ucieczki, niszy, dlatego powstał ośrodek, który jest jednostką budżetową województwa. Przestaliśmy być teatrem, a staliśmy się animatorami kultury tej ziemi i tej społeczności. Musieliśmy nauczyć się zupełnie nowych form pracy. Odezwała się w nas żyłka organicznikowska, a jednocześnie to nowe wyzwanie budziło twórczy niepokój w naszych duszach głodnych nowej sztuki.

– W *Rodzinnej Europie* Miłosz zapisał, że „nie ma wspólnej miary tam, gdzie nie tak samo człowiek pojmuje swoje miejsce w świecie". Każdy pojmuje je zaś inaczej, więc nie ma wspólnej miary nawet dla dwóch najbliższych osób. Pomiędzy człowiekiem i człowiekiem zawsze jest więc pogranicze?

– Myślę, że nawet w nas samych istnieje pogranicze. Ja odczuwam je bardzo mocno. Słyszę na przykład często wewnętrzny głos, który sprzeciwia się temu, co rozum racjonalnie sobie układa. I stąd biorą się wszystkie inne pogranicza, dlatego są one takie fascynujące. Odnajdujemy Innego w innej kulturze, na drugim brzegu, ale tak naprawdę on jest w nas samych. Nie bolałby przecież tak bardzo, gdyby nie siedział w środku i gdyby nie dotykał jakiejś prawdy o nas samych, że nie potrafimy być do końca sobą, żyjąc na jednym brzegu, nie przekraczając progu, nie ruszając w świat, nie wychodząc na spotkanie. To przekroczenie brzegu jest zatem konieczne. Wszelkie ideologie korzystają zaś z iluzji, która mówi, że bezpieczni jesteśmy w zamkniętym własnym świecie, a współistnienia osobnych kultur i ludzi są dla nas groźne, więcej – obce naturze człowieka. Ideologie są zawsze czymś narzuconym, dlatego zamknięcie się przed Innym także jest czymś narzuconym człowiekowi.

Oczywiście bywa autentyczny i taki czas, że pragniemy zamknięcia, bo ucierpieliśmy wskutek rozmaitych konfliktów, rozbiliśmy sobie głowę, przechodząc różne mosty, straciliśmy bliskich w sąsiedzkim konflikcie. Ale to nie jest tak, że czas odosobnienia i rozdzielenia, w którym potrzebujemy się zanurzyć zwłaszcza po traumatycznych doświadczeniach, którego potrzebujemy na odrodzenie tożsamości i odbudowanie domu, jest tym ostatecznym czasem, w którym chcielibyśmy pozostać na zawsze. Przekonanie o jego ostateczności jest właśnie iluzją. W moim przekonaniu lepiej jest uczyć się sztuki organicznego pogranicza, które oczywiście nigdy nie będzie wolne od konfliktów. Jednak wypracowanie w sobie umiejętności współżycia pomoże nam w prowadzeniu harmonijnej koegzystencji, w zachowaniu balansu, w spełnieniu życia, w pełnym odnalezieniu siebie.

Często jako ludzie pogranicza jesteśmy posądzani o utopijność i naiwną wiarę w sens współistnienia z Innym. W nas nie ma naiwnej wiary w to, że zbudowaliśmy w Sejnach most i on jest raz na zawsze. Czasami ktoś zwraca się do mnie z pytaniem: czy rozwiązaliśmy już konflikty w Sejnach albo przezwyciężyliśmy stereotypy? No, nie. Ta praca nie zna formy czasu przeszłego dokonanego.

– A może pogranicze pomiędzy człowiekiem i człowiekiem to wina języka? Elias Canetti zapisał przecież, że „wprawdzie ludzie mówią do siebie, ale się nie rozumieją; (…) ich słowa są pchnięciami odbijającymi się od słów innych; (…) nie ma większej iluzji nad mniemanie, iż język jest środkiem komunikacji".

– Iluzją byłoby, gdybyśmy ujęli to w taki absolutystyczny, idealistyczny sposób, że oto jest doskonała komunikacja dzięki językowi. Takiego stanu nie ma, jak nie ma raz zbudowanego mostu. Natomiast dla mnie utopia to jest jednak coś realnego, to nie jest wydmuszka. Paul Celan zapisywał to słowo u-topia, odróżniając je od słowa *metopia*, które w grece oznacza 'nie-miejsce', czyli coś absolut-

nie nierealnego. Otóż, utopia jest czymś realnym, do czego zmierzamy, może nieosiągalnym, ale ku czemu jesteśmy w drodze. O tę drogę toczy się walka. Nie możemy z niej zejść. To, że nie jesteśmy w stanie dotrzeć do idealnego języka komunikacji, nie oznacza, że musimy z dążenia do niego zrezygnować. Powinniśmy nieustannie poszukiwać w nim możliwości zawiązujących tkankę łączną, o której mówił Miłosz. Nigdy nie będzie to ostatecznie doskonałe, ale bądźmy w drodze ku temu. Razem z Canettim.

– Co dało Europie Wschodniej, że zajrzała „w głąb piekieł dwudziestego stulecia"? Czy nie stało się to przyczyną jeszcze głębszego i trwalszego pęknięcia pomiędzy Wschodem i Zachodem? I czy to nie jest najtrudniejsze pogranicze: Wschód-Zachód?

– Dla nas jest to zawsze realne pogranicze, chociaż trudno jest nam określić, gdzie Wschód się zaczyna. To jest niekończąca się dyskusja. Ja jednak dzisiaj obserwuję pogranicze Północ-Południe jako silną dominantę we współczesnym świecie. Wydaje mi się, że coraz bardziej dominują nie wojny narodowościowe, a społeczno-kulturowe. W związku z tym kwestia bogaci-biedni, wykluczeni-niewykluczeni nie musi wyłącznie pokrywać się z linią Wschód-Zachód, jest też w linii Północ-Południe. Myślę, że żyjemy dzisiaj w bardzo ważnym momencie w tym sensie, że nie możemy poszukiwać w przeszłości jakichś modeli do przeszczepienia, ale musimy iść do przodu, wypracować nowy paradygmat kulturowy. Jest on ustawiony pomiędzy dwoma silnymi biegunami – biegunem otwartości, budowania społeczeństwa otwartego, poszerzania skali praw człowieka i równości społecznej oraz biegunem tęsknoty za zakorzenieniem, poszukiwania własnego miejsca w świecie, bezpiecznego gniazda. Zbudowanie spoiwa, dzięki któremu oba te strumienie by się połączyły, nie jest rzeczą łatwą. Za nami są różne nacjonalizmy, okres budowania państw narodowych, tworzenia odrębnych narodowych mitologii. To było i jest w dalszym ciągu obecne, także w języku i kulturze. Z drugiej strony mieliśmy wzorzec kosmopolityczny, który pomagał się odnaleźć w świecie w zupełnie przeciwny sposób, często poprzez gwałtowne zerwanie z własnymi korzeniami. Wyjazd ze wsi do miast, budowanie wielkich metropolii rozbudzało powstawanie procesów asymilacyjnych. Oba te modele są obecnie, według mnie, na wyczerpaniu.

To, w czym się odnajdujemy w naszej pracy w „Pograniczu", to jest próba odpowiedzi na pytanie, jak jest możliwe w praktyce zaspokojenie obu tych tęsknot. I to jest pytanie o tworzenie nowego paradygmatu kultury. Dla mnie bowiem kultura to jest sztuka życia, to jest coś, co buduje nam dach nad głową w takiej rzeczywistości, jaka ona jest. Potrzebujemy kultury, czyli oswojenia, ukultywowania tego miejsca, które nas uwiera. Musimy tę nową rzeczywistość na nowo umościć. Nie mamy oczywiście gotowych odpowiedzi, jak powinno to wyglądać, ale po to zapraszamy tu ludzi z różnych pograniczy świata, po to mamy Akademię Budowniczych Mostów w Krasnogrudzie, po to robimy szkoły pogranicza i różnego rodzaju warsztaty i laboratoria, aby wsłuchiwać się w głosy innych i na żywym ciele tkanki wspólnoty praktykować nowe rozwiązania.

– Mówił pan o tym, że most nie jest zbudowany raz na zawsze. Może zatem w naturę pogranicza wpisany jest fatalizm? Może jest to ziemia w stanie permanentnego tworzeniai rozpadu?

– Oczywiście, że istnieje i taki scenariusz, ale wiele zależy od naszej postawy wobec rzeczywistości. Ona stanie się fatalistyczna wtedy, kiedy będziemy próbowali skroić ją na miarę naszych lęków i frustracji, od których nikt z nas nie jest wolny. Albo wtedy, kiedy ją odrzucimy, znielubimy. Natomiast jeśli ten żywioł pogranicza pokocha się i zrozumie jako tkankę życia, to można w nim naprawdę odnaleźć wielki potencjał twórczy i rozwojowy. Stanie się on wtedy agorą pogranicza, Majdanem, czarsziją. Oczywiście to wymaga czasu. Wiele lat minęło, zanim wypracowaliśmy pozytywne rozumienie słowa pogranicze. Dziś wielu ludzi w naszym regionie mówi już z dumą, że jest człowiekiem pogranicza. W ubiegłym stuleciu taki mieszaniec, mający splątane korzenie i mówiący różnymi językami, był postrzegany jak ktoś niebezpieczny, bo tak nam wmawiały rozmaite ideologie. Minęło jednak kilka dekad i tamte ideologie zostały skompromitowane, a pozostała filozofia dialogu Martina Bubera, do której powracamy, choć kiedyś uważano go za oderwanego od życia szaleńca, który w czasie rosnącego w siłę faszyzmu pisał w Niemczech słynny esej *Ja i Ty*.

– W *Linii powrotu* pisze pan, że „tożsamość (…) rodzi się z pełnego zanurzenia w miejscu nam przeznaczonym". Może zatem współczesny kryzys tożsamości bierze się stąd, że boimy się pełnego zanurzenia w miejscu, w którym przyszło nam żyć? Boimy się wypłynąć na głębię i wybieramy dużo łatwiejsze brodzenie po mieliźnie? Może największym problemem naszych czasów jest lęk?

– Myślę, że lęk z pewnością, ale przed czymś, co w jakimś sensie zostało nam odebrane albo zapomniane. W wolnościowym świecie takie głębokie zanurzenie kojarzy się nam z uzależnieniem czy uwiązaniem. Nowoczesny człowiek nie lubi uwiązania do czegokolwiek. Tylko że to nielubienie jeszcze niczego nie rozwiązuje, często okazuje się jedynie mirażem prawdziwej wolności, za który ceną jest głęboka depresja, stająca się w społeczeństwach liberalnych najpowszechniejszą chorobą.

Powiedziałbym tak: w którymś momencie człowiek podążający za głosem dajmoniona, także taki jak Miłosz, odkrywa, że nie pójdzie dalej w zgłębianiu tajemnicy świata, jeśli nie powróci do wspólnoty, że w pojedynkę dalej się pójść nie da, a to, dokąd zaprowadził nas wolnościowy indywidualizm, nie jest jeszcze końcem drogi. Kolejne wrota tajemnic kryją się w życiu wspólnotowym i w sztuce, która tam jest zanurzona. Otóż, my właśnie tego boimy się dzisiaj najbardziej. Powrotu do wspólnoty. Uważamy to za zdradę dawnego modelu artysty niezależnego, samotnie idącego przez życie. Ale ten model utracił już dawny blask. Taki artysta już mnie nie interesuje jako twórca kultury. Dla mnie ważne są tajemnice, jak budować tkankę łączną, jak tworzyć kulturę, która nas zanurza w miejscu i wspólnocie, gdyż obecnie mamy kulturę fajerwerków i eventów. I chyba głównie ze strachu, bo chyba nie bardzo ją jeszcze lubimy.

– Pisze pan również, że zbliża się kataklizm, pod wpływem którego „zamilknie rozmowa, a zastąpi ją zwykłe gadanie". Tę tezę potwierdza rzeczywistość. Ludzie albo milczą obok siebie, albo poddają się słowotokowi, owemu *Geschwätz*, o którym piszą Benjamin

Dworek Czesława Miłosza w Krasnogrodzie

i Celan. Czy można zatem jeszcze wskrzesić dialog? I w jaki sposób?

– Myślę, że jak najbardziej. Cały paradoks tej sytuacji polega na tym, że do dialogu nie potrzeba katedry uniwersyteckiej. Dla głębi dialogu naprawdę wystarczy poważne potraktowanie ludzi, z którymi się żyje. Z nimi trzeba próbować taką rozmowę toczyć. Nasze rozmowy prowadzone są głównie z ludźmi, którzy tutaj żyją. Organizując w Krasnogrudzie Pracownię Opowieści, zapraszam oczywiście czasem z Oksfordu Ruth Padel, poetkę i wybitną klasycystkę. Ale ona przysłuchując się prowadzonym przez nas rozmowom, w których biorą udział miejscowi rolnicy i nauczyciele, uważa, że one są fascynujące. Naprawdę nie jest tak, że aby rozmawiać z ludźmi, trzeba udawać głupszego, niż się jest w istocie, a mam przekonanie, że tak się właśnie dzieje. Tak prowadzone są publiczne dysputy. To się bierze z niepoważnego traktowania ludzi i z braku zaufania do siebie nawzajem.

– Czy praktyka pogranicza jest możliwa przez dłuższy czas? Czy dialog może stać się normą współżycia inności obok siebie? A może jest w nas coś organicznego, co prędzej czy później nakazuje nam powtarzać Timişoarę, która zamieniła się w Târgu Mureş?

– Byłoby to fatalistyczne, chociaż wiarygodne w odniesieniu do lekcji, których udziela nam Historia. Trudno to zatem lekceważyć i dyskredytować. Jest w tym jakaś prawda o nas samych. Gdybym był pracownikiem akademickim albo autorem książek non-fiction, mógłbym się oddać takim fatalistycznym dywagacjom i krytycznemu językowi, ale w praktyce pogranicza język ten jest niewystarczalny. Jest on oczywiście ważny dla budowania etosu pogranicza, jednak ten, kto pracuje na pograniczu, podobnie jak lekarz, nie może sobie powiedzieć, że choroby, z którymi ma do czynienia, są nieuleczalne, że zawsze już będą powracały. Musi być w tym rzemiośle coś bardzo konstruktywnego, co pozwala powracać do trzeźwego spojrzenia i wiary, że uda się znaleźć antidotum, jakąś antybakterię. Ale ta antybakteria musi wytworzyć się w naturalnym środowisku. Woda destylowana na pograniczu jest trująca. Stwarza niebezpieczną iluzję i kompletnie sztuczną sytuację. Stąd most w moim rozumieniu jest przestrzenią, która obejmuje wszystko, także konflikt, nie wykluczając go. Most istnieje dzięki napięciom. Konflikt jest zatem wpisany w jego strukturę. Cała mądrość polega na tym, by umiejętnie rozłożyć owe napięcia tak, by sklepienie mostu nie pękło.

– Bywa pan na Śląsku jako uczestnik chorzowskiego „Medium Mundi". Jaka jest pana recepcja Śląska?

– Śląsk sięga głębiej w moje osobiste życie, gdyż moi dziadkowie znaleźli się po wojnie w Chorzowie. Wszystkie rodzinne święta spędzaliśmy właśnie tam. W Chorzowie spotkałem też moją pierwszą Obcą. Sąsiadką dziadków była Grządzielka, która z trudem mówiła po polsku. Nie rozumieliśmy jej z bratem i baliśmy się. Robiliśmy jej także, jak to dzieci, straszne psoty. Gdy sąsiadka na nas huknęła, to z płaczem biegliśmy do babci, by jej powiedzieć: „Babciu, Grządzielka nas krzywdzi!". Do dzisiaj pamiętam, jak babcia odsunęła nas wówczas pod ścianę, spojrzała na nas groźnie i powiedziała: „Pamiętajcie, Grządzielka ma zawsze rację". I pamiętam ten nasz ból, że nasza babcia zamiast przytulić nas mocno, to stanęła po stronie sąsiadki. Oczywiście wiedzieliśmy, że mamy za uszami i że babcia zna prawdę, ale świat rozumieliśmy tak, że skoro jest naszą babcią, to powinna z nami trzymać niezależnie od tego, jakie są fakty. Swoją mądrą postawą babcia sprawiła, że z czasem pokochaliśmy Grządzielkę, która stała się częścią naszej rodziny. Co by jednak było, gdyby babcia wzięła nas w obronę i wychowała w duchu wrogości do „złej sąsiadki", którą najłatwiej było zranić wyzywając ją od „Niemki"? To była lekcja pogranicza, którą odebrałem na całe życie. Lekcja obejmowania sąsiedztwa jako całości, której każdy jest najważniejszą częścią. Jak u Mikołaja z Kuzy – pogranicze jest kulą i w jakimkolwiek jej miejscu znajdzie się człowiek, zawsze będzie w centrum. Dlatego dla mnie gestem człowieka pogranicza jest obejmowanie, a gest odpychania zaciera jego imię.

■

Fot. Katarzyna Bereta

TREN NA ODEJŚCIE G A M Y – SZLACHETNEJ WILCZYCY

Córce Justynie,
z serdecznością i wzruszeniem

Byliśmy z tobą, Gamo, w tym dniu już ostatnim,
Czy jednak coś świadczyło, że to stanie się dziś?
Jeszcze za dnia przed domem zagrzmiał twój mężny głos
Na dowód kto tu czuwa, choć było ci obce
Ujadanie na pokaz, czy tępą zaciekłość
Zwłaszcza psów łańcuchowych. Nieufna z natury
Nie dopadałaś bramy bez istotnych przyczyn,
Chyba że ktoś wyraźnie wzbudzał podejrzenia…
Wtedy podniósłszy głowę i masywny tors
Sunęłaś zwolna ślepia wbijając w intruza
A gromki głos ostrzegał: żadnych pertraktacji,
Ustępstw, czy prób korupcji. Nie – na dowód kły.

Lecz nic nie wskazywało, że nastąpi to dziś.
Jeśli coś przeczuwałaś, to żadnych ostrzeżeń
Nie przekazałaś wcześniej, a może jak dotąd
Nie chciałaś nawet teraz zajmować nas sobą.
Ta twoja powściągliwość, czy wrodzony dar
Odczytywania z oczu uczuć bądź intencji
Rozwinięty nad podziw, podobnie jak sztuka
Panowania nad sobą – co wejście do kuchni
Kuszące wonią mięsiw – i ty: sam na sam.
Ileż dowodów na to, w tym prób prowokacji;
Można by się założyć bez obaw o głowę.
Nie, to nie do pojęcia, w końcu byłaś psem
A niesłusznie skarcona opuszczałaś głowę
Aby zapaść się w sobie w niewymownym smutku.

A przecież gdy nie liczyć praktycznych walorów
Byłaś psem, który nigdy nie poskąpił uczuć.
Twe radosne mlaśnięcia jęzora o świcie,
Migotliwe spojrzenia w pajęczynie blasku,
Tkliwe dotknięcia pyska, muśnięcia oddechu,
Twoje łapy na barkach, głowa na kolanach,
Radość rzutkich powitań – skoki, młyńce, susy,
Frazy nocnych zawodzeń, crescenda litanii,
Inwokacje pomruków i kadencje westchnień,
Arie żarliwych spazmów, wylewne skomlenia,
Przedsenne gaworzenia, chichoty i szepty,
Twe tkliwe kły i zwarcia pieszczotliwe szczęk,
Gdy do stóp przywierałaś złakniona czułości
A bicie psiego serca wypełniało wieczór –
Gdzie to wszystko nim pamięć zatonęła w żalu?

A świadectwa wybitnej wręcz inteligencji,
Walory charakteru, sprytu i rozwagi…
Kładliśmy się spać ufni powierzając dom
Pod pieczę czujnych zmysłów i psiej intuicji.
Bo czy się choć raz zaczął fałszywy alarm?
Nie, zaś w takich przypadkach czekałaś skupiona
Na przebieg sytuacji, by ruszyć w potrzebie

I dowieść niezawodnej odwagi do końca
Tej gotowej na wszystko, gdy stawką jest życie.

Ten twój spokój i wiara w swe siły w potrzebie,
Jak my twego oddania na każde wezwanie.
Przeżywałaś dowody naszego uznania,
Jakby onieśmielona czy nawet speszona:
Twój uśmiech w takich chwilach – wręcz zakłopotanie,
W końcu cóż się takiego znowu przydarzyło
A było obowiązkiem (jak to mówią psim)…
Nie, zważywszy to wszystko, czy psem byłaś tylko
Lecz kim, gdy już cię nie ma – kto na to odpowie?

Dotąd nie wiemy Gamo, kiedy, jak i skąd
Trafiłaś do schroniska dla bezdomnych psów,
Na zawsze pozostanie mroczną tajemnicą.
Niewiele ponad roczna wspaniała wilczyca,
Wychowana z czułością, umiejąca wszystko,
Utraciła dom pierwszy skazana na rozpacz.
Twa wcześniejsza biografia – być może tragedia –
Związana z tym zdarzeniem, lecz jakim i kto
Musiał się rozstać z tobą, bądź ty rozstać z nim.
Nie, to nie do pojęcia by psa twojej klasy
Mógł ktoś porzucić Gamo, czyżby prawa losu
Dotyczyły i zwierząt na miarę tragedii!

Zawiódł nas do schroniska dotkniętych żałobą
Czy tylko żal po stracie dzielnego Boniego
Co nie sprostał radości życia i psich włóczęg?
Ten jego temperament, susy przez parkany,
Czar psotnego urwisa i spryt zawadiaki
Do dnia gdy skądś powrócił by odejść na zawsze.
Dom bez psa – jak bez duszy, bo czy to jeszcze dom?
Odór schroniska zwierząt wzdraga i poraża –
Psia czy ludzka bezdomność odrzuca z daleka
W rewiry wykluczonych...
Co kojec skazaniec
Ospały za kratami; te ślepia błagalne,
I skomlenia żebrzące. Lecz zdarzył się pies
Co przywarł w mrocznym kącie i nie uniósł głowy
Obojętny na wszystko w zapaściach apatii –
Pies znikąd, bez imienia, lecz jak, skąd się wziął?
Ten trafił tutaj wczoraj, widać że zadbany –
Jeszcze nie zdążył popaść w nędzę bezdomności:
Sierść lśni i zęby błyszczą, lecz nawet nie spojrzy –
Daremnie przywoływać i wyciągać rękę
By zwabić przysmakami. Co gest – bez odzewu,
Bo tak się zapadł w sobie jakby go nie było.

Poszliśmy dalej, córka utknęła przed kratą
I z wyciągniętą ręką czekała; Justynko –
Znów wołanie bez skutku. Co się wtedy stało,
Kto zatrzymał ją nagle właśnie tu i czym?
Co kojec – psy ochoczo łaszą się przymilnie,
Merdają ogonami, wdzięczą się – Justynko!...
Naraz oczy psa piwne i piwne Justusi
Zetknęły się w spojrzeniu. Wołamy, nie słyszy
Zapatrzona w psie ślepia a coraz to głębiej,
Tak samo pies wpatrzony w jej oczy – lecz oto
Przydarzyła się chwila, że pies uniósł głowę
I z głębokim spojrzeniem oczu na uwięzi

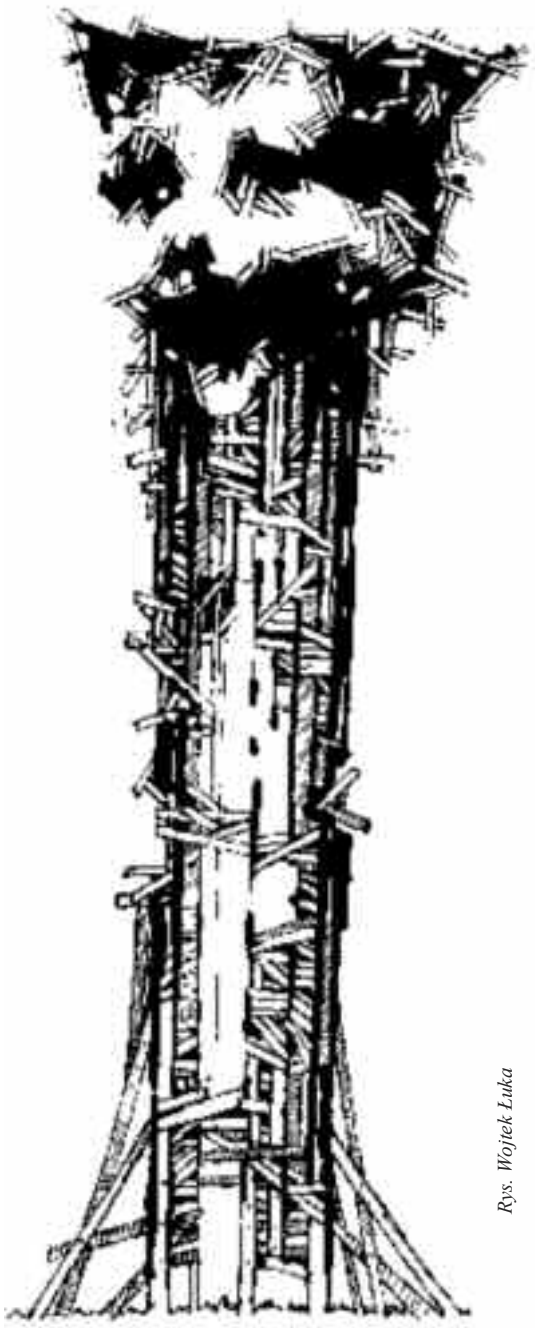

Rys. Wojtek Łuka

Jakby coś nagle przeczuł, bo podszedł do krat
I dotknął pyskiem ręki…
Ta scena bez słów
Jak każdy akt mistyczny wnet nabierze znaczeń
Bo przeznaczenie w życiu czymże jest, gdy sens
Pojmujemy nie tylko w potocznym znaczeniu
Zwykłych, na pozór zdarzeń, w codziennych świadectwach
Potocznej egzystencji?... Podeszliśmy zwolna:
Pies stał przed nią – wilczyca czarna, podpalana,
W tonacji ciemnych brązów z palety Rembrandta.

Zbliżało się południe słonecznej niedzieli.
Z tarczą piersi w kosmykach złota i bursztynu
Wyszła Gama wiedziona na zwieszonej smyczy
Co raz patrząc za siebie, bo zdarzył się cud,
Kiedy z nowym imieniem znalazła swój dom.

Byliśmy z tobą Gamo do końca w tym dniu.
Pod sam wieczór zasłabłaś – pędem do lecznicy!
(jeszcze bez mrocznych przeczuć)… Diagnoza ta sama
Kiedy umierał ojciec – zastrzyki, kroplówka
I powrót. Nie, niech raczej nastąpi to w domu
Pośród najbliższych skoro już nie ma ratunku.
Do domu, domu Gamo!… Ty czujesz, skądś wiesz…
Że przyszła pora odejść, lecz jesteśmy z tobą,
Wnosimy cię na kocu, kładziemy łagodnie
Na domowym posłaniu, wszyscy wokół ciebie,
Co usta z twym imieniem: Gamo, nie umieraj!
Dogasał dzień w stężałych aromatach wiosny,
Lecz ty już sił nie miałaś by choć unieść głowę,
Tylko wodziłaś po nas litościwie wzrokiem:
– Jak mi się rozstać ciężko, dziękuję za wszystko,
Zdały się mówić oczy…
Tak dawniej w rodzinach
Odchodzili najbliżsi w oprawie liturgii,
Żegnani póki światło nie zgasło w źrenicach-
Teraz ty między nami do chwili ostatniej.
Żegnaliśmy cię Gamo nisko pochyleni
A rozumiałaś nawet niewypowiedziane…
Jeszcze tylko ostatnie dotknięcie języka,
I błysk kłów spod łagodnie uchylonych warg,
Twe spojrzenie gasnące i my w twoich oczach
Coraz głębiej i głębiej nim zaległa ciemność.
(nagle dreszcz przemknął ciałem i opadła gło
Czy to wtedy twa dusza uszła bezpowrotnie?
Ale my wciąż czujemy, że gdzieś na nas czek

* * *

W ogrodzie pod cisami nieopodal domu
(rzut spojrzenia od furtki), spoczęłaś pod płyt
Z beskidzkiego piaskowca. To pewne, pies ża
Nie zniesie w naszym życiu porównania z tol

Rys. Wojtek Łuka

W TEN CZAS

Co ważne a już bez znaczenia,
Po latach samo się wyjaśni.
Jest pora piachu, czas kamienia
I błysk dmuchawców wyobraźni.

I jest horyzont z wiatrem w zmowie
Po kres, gdy przyjdzie się zatracić.
Co dalej z sobą – znasz odpowiedź,
Że życiem się za życie płaci.

Było nie było, sen czy złuda,
Blizny się same w sieć ułożą.
Bo nastał czas by już się udać
Gdzie szczątki łodzi błądzą w morzu.

Nastała ta końcowa droga,
Gdy język stygnie, krwawią wargi,
A w sercu taka trwa pożoga,
Że słowa nie wyrażą skargi.

TADEUSZ KIJONKA – ur. 10 listopada 1939 r. w Radlinie. Poeta, publicysta, reporter, krytyk, wydawca, felietonista, librecista, autor utworów scenicznych i działacz społeczny na wielu polach śląskiego życia.

Jako poeta debiutował w 1955 r. wierszem pt. „Konstantynopol Mickiewicza" nagrodzonym w konkursie literackim z okazji Roku Mickiewiczowskiego. Jeszcze w okresie studiów jako student IV roku polonistyki na UJ wydał pierwszy zbiór poezji pt. „Witraże" (1959), uhonorowany Nagrodą Kulturalną Rybnickiego Okręgu Węglowego. Za następny: „Rzeźba w czarnym drzewie", uzyskał po raz pierwszy przyznaną nagrodę im. Andrzeja Bursy. Kolejny – „Kamień i dzwony", został wyróżniony dwoma prestiżowymi nagrodami – nagrodą im. Stanisława Piętaka i miesięcznika „Poezja" za poetycką książkę roku. Następnie m. in. wydał poemat „Pod Akropolem", tom liryków „Śnieg za śniegiem" oraz zawierający ponad 70 utworów z okresu stanu wojennego „Czas zamarły". Później ukazały się: tom wierszy „Echo", 5 poematów polskich „Labirynty" i liryki miłosne „Z mojego brzegu". Ostatnio wydał obszerny wybór wierszy „Czas, miejsca i słowa" oraz „44 sonety brynowskie" nominowane do Poetyckiej Nagrody Orfeusza.

Inicjator wielu działań kulturalnych na Śląsku, w 1992 r. doprowadził do powstania Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach oraz powołał miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk", którego był redaktorem naczelnym w latach 1995-2012. W roku 2014 otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego w uznaniu „nieocenionych zasług dla kultury polskiej".

Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Odyseusz w piekle

Migranci, uciekinierzy i Państwo Islamskie

Uchodźcy stali się głównym tematem debat polityków oraz rozmów osób z polityką niezwiązanych, a także stałym elementem każdego serwisu informacyjnego. Co rusz znajdują się nowi eksperci od obronności, migracji, szariatu i demografii. Debaty decydentów przeplatają relacje pokazujące dantejskie sceny z udziałem zdesperowanych ludzi szturmujących naprędce postawione ogrodzenia. Zdjęcie 3-letniego Aylana, syryjskiego chłopca, który utonął w czasie przeprawy przez Morze Egejskie, wykorzystywane jest zarówno przez organizacje pomagające uchodźcom – jako apel do naszych – europejskich – sumień, jak i przez tzw. Państwo Islamskie jako przestroga dla tych wszystkich, którzy planują uciec z terenów opanowanych przez Kalifat. W debacie publicznej ścierają się głosy tych, którzy chcą otwierać granice dla uchodźców z tymi, którzy uchodźców najchętniej wysłaliby z powrotem do Turcji, czy Syrii, z której przyszli. Uwaga mediów koncentruje się teraz na Syryjczykach, Irakijczykach i Afgańczykach uciekających przed piekłem wojny domowej, głodu i ciągłego niebezpieczeństwa. Tymczasem, z nieco mniejszą medialną oprawą, do Europy próbują dostać się rzesze emigrantów ekonomicznych – Erytrejczyków, Sudańczyków, mieszkańców Ghany.

Skorumpowani i przekupni

Ta książka nigdy nie była bestsellerem. Doczekała się kilku recenzji, relatywnie szybo o niej zapomniano. „Afrykańska odyseja" Klausa Brinkbaumera to opowieść o zdesperowanych ludziach, mieszkańcach różnych afrykańskich państw, którzy latami przedzierają się przez kontynent, by w końcu osiągnąć raj w postaci europejskiej ziemi i perspektyw. Jeśli powiedzenie „droga przez mękę" ma odbicie w rzeczywistości, to w rzeczywistości afrykańskiej Odysei odbija się najpełniej. Dlaczego droga? Ponieważ słowo „podróż" zbyt mocno się kojarzy z podróżowaniem, wygodą, przygodą, biurem podróży, czy wymarzoną podróżą dookoła świata. Droga do upragnionej Europy wiedzie przez mękę – jak już zostało powiedziane. Z męką nieodzownie kojarzą się „męki piekielne" – zgadza się, bo na Saharze panują temperatury iście piekielne, każdy krok staje się nadludzkim wysiłkiem, bo organizm jest wycieńczony długoletnią walką z przeciwnościami. Klasyk już pisał, że piekło to inni. I to też się sprawdza. Inni to nieuczciwi pośrednicy, którzy obiecują pewny i bezpieczny transport, to ci wszyscy, którzy mają na sprzedaż spełnienie marzeń, a każą sobie słono płacić. To skorumpowani policjanci, przekupni strażnicy i wszyscy oszuści, którzy zarabiają na złudzeniach i desperackim pragnieniu polepszenia własnego losu.

Spragnieni przetrwania

Dlaczego tabuny ludzi decydują się na przedsięwzięcie tak niebezpieczne, karkołomne, na niepewną przyszłość? Odpowiedź jest bardzo prosta i straszna zarazem. Nie ryzykowaliby gdyby mieli alternatywę, cień alternatywy, realne możliwości poprawy swojego losu w ojczyźnie. Widząc nędzę wokół, czepiają się cienia nadziei i wyruszają w nieznane. Do Europy docierają nieliczni i tylko nielicznym udaje się odmienić los swój i rodziny. Przerażająca prawda. Tylko jak o tym Europejczykom najpełniej opowiedzieć? Pokazać tych wszystkich desperatów? I tu zaczyna się wyjątkowość pewnej książki, która jest przede wszystkim opowieścią o drodze. Autor postanawia zrelacjonować wędrówkę, która odbyła się kilka lat wcześniej. Przebyć drogę, z kimś, komu się udało, powtórzyć trasę, którą przebył pochodzący z Ghany, a mieszkający obecnie w Niemczech John Ampan. Autor chce zakosztować tych nieprzyjemności, o których się potem wspomina z niedowierzaniem, że coś takiego stało się udziałem wspominającego. I ja to przeżyłem? Zdołałem? Byłem w stanie?

Zdesperowani wędrowcy

Wyruszają. Próbują odtworzyć trasę, a jednocześnie przeżyć trochę tego, co zdarzyło się przed laty. Eksperyment wydaje się trochę „laboratoryjny", bo niby jest i droga, i wędrowiec, ale nie jest on już zdany tylko na siebie. Jest zagraniczny dziennikarz, który ma środki, by wydobyć ich obu z kłopotów. Ale wiele rzeczy nie pójdzie zgodnie z planem. Bohaterowie nie tylko odtwarzają trasę, ale przeżywają sporo z tego, co dotyka zdesperowanych wędrowców. Spotykają też ludzi i ich historie. Dramatyczne, wstrząsające, trudne do wyobrażenia. Na każdym kilometrze są setki Odyseuszy w piekle. Pochodzą z różnych miejsc, wybrali różne warianty trasy, mają różne zapatrywania na życie, charakter i umysłowość, jednakże wspólny jest mianownik wszystkich opowieści. To rzeczywistość, w której nie sposób żyć. I nadzieja, która pozwala wejść do piekła i wracać do tego samego piekła po każdej deportacji, czy nieudanej próbie przejścia granicy. Dokładnie to jest w tych wszystkich historiach, których trzeba wysłuchać. Jest jeszcze inny ważny aspekt tej książki. Autor tłumaczy Afrykę. Wielopoziomowo. Drastycznie czasem. Jeden z Odyseuszy, ten, który znalazł przystań w Niemczech, próbuje Europejczykowi wyjaśnić „jak działa Afryka"... Od stwierdzeń w zasadzie oczywistych typu „Korupcja niszczy Afrykę", przechodzimy do spraw bardziej złożonych w rodzaju: „W naszych społeczeństwach nie jesteś nic wart bez żony i pieniędzy", „W pewnym momencie przestajemy kochać", „My uznajemy, że to inni ponoszą odpowiedzialność za to, co się dzieje: obcy, bogowie, przodkowie, wrogowie", albo: „Afrykański sex jest inny".

Posłuchać i zrozumieć

Inic nie sprowadza się do grania na emocjach; prędzej to próba wytłumaczenia fenomenu, który mało kto objaśnia, zwrócenia uwagi na problem, który będzie narastał. Próba wyjaśnienia tego wszystkiego, co funkcjonuje gdzieś na marginesie rozważań o uszczelnianiu granic Unii Europejskiej, czy polityce emigracyjnej. Warto spróbować wsłuchać się w te relacje i w morzu podobnych sylwetek kulących się w przemytniczej łodzi zobaczyć Odyseusza, a potem po prostu Człowieka.

Felieton napisany we współpracy z dr Karoliną Wojtasik z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Śląskiego

Fot. Mikołaj Suchan

Zbigniew Stryj „Ojcowizna" (2004 r.), scenariusz i reżyseria: Zbigniew Stryj, scenografia: Bartłomiej Latoszek, wystąpili aktorzy Teatru Nowego w Zabrzu i uczniowie Liceum Plastycznego z Zabrza.

W kopalni i wokół kopalni

DOROTA FOX

Teatr historii lokalnych – moda czy potrzeba czasu? A może także doskonały sposób zdobycia zainteresowania nie zawsze życzliwej teatrowi publiczności? Czy łatwiej uwierzytelnić, przyjąć te spektakle, w których rozpoznaje się realia własnego życia w konkretnym miejscu i czasie i konfrontuje swoje doświadczenia z losem scenicznych bohaterów? Odpowiedź na te pytania wcale nie jest oczywista, o czym przekonuje działalność pół amatorskiej, pół profesjonalnej grupy teatralnej Scena Propozycji, istniejącej od 2002 r. przy Stowarzyszeniu na Rzecz Restauracji i Propagowania Sztolni Królowa Luiza „Pro Futuro" w Zabrzu. Stowarzyszenie powstało w 2000 r. w Zabrzu z inicjatywy miłośników dziedzictwa przemysłowego i kulturalnego Śląska, którym zależało na udostępnieniu i wykorzystaniu Sztolni do celów turystycznych oraz muzealnych. Dzięki deklaracji wzajemnej współpracy między Stowarzyszeniem i ówczesnym Muzeum Górnictwa Węglowego jako siedzibę Stowarzyszenia wykorzystano dawne biuro sztygara/kierownika w Skansenie Górniczym „Królowa Luiza" w Zabrzu, przy ul. Wolności 408, oddział Muzeum Górnictwa Węglowego.

Przez 12 lat zespół (mobilny i angażujący aktorów zawodowych, członków różnych zespołów amatorskich z Zabrza i okolic) przygotował 14 oryginalnych przedstawień, niezmiennie sytuując je w przestrzeniach Skansenu Górniczego „Królowa Luiza", która, co ważne, była pierwszą kopalnią dostępną dla zwiedzających na Śląsku.

Skansen działał na terenie i w zabudowaniach założonej w 1791 r. Kopalni Węgla Kamiennego „Königin Luise Grube" (Kopalnia „Królowa Luiza"). Po II wojnie światowej zmieniono jej nazwę na KWK „Zabrze". W części naziemnej Skansenu znajdują się budynki maszynowni i nadszybia szybu „Carnall". Największą atrakcją i najcenniejszym zabytkiem jest wyciągowa maszyna parowa z 1915 r., która opuszczała lub podnosiła windę górniczą (szolę) z prędkością 10 m/s. Maszyna ta dzięki staraniom miłośników zabytków techniki działa do dziś. Z platformy widokowej szybu „Carnall" (wysokości) można podziwiać panoramę Zabrza. W skład zabudowań wchodzą również: zmiękczalnia wody, akumulatorownia, warsztaty i budynki magazynowe. Ciekawostkę stanowi budynek górniczej Łaźni Łańcuszkowej (w którym udało się zorganizować jedno z przedstawień Sceny Propozycji). Druga część Skansenu zlokalizowana jest przy ul. Sienkiewicza. Składa się z podziemnych korytarzy o długości ok. 1600 m, biegnących na głębokości 35 m pod powierzchnią ziemi. Wyrobiska doskonale oddają klimat kopalni. Można w nich zobaczyć działające maszyny: kombajn Alpina, strug ścianowy, kombajn chodnikowy oraz kolejkę górniczą „Karlik", którą sprowadzono i zainstalowano z inicjatywy Stowarzyszenia. Stanowią one dużą atrakcję turystyczną i prawie wszystkie zostały wykorzystane w działaniach teatralnych Sceny Propozycji.

Dzięki osobistemu zaangażowaniu pracownika Muzeum, Jana Gustawa Jurkiewicza, w grudniu 1993 r. Skansen został udostępniony dla ruchu turystycznego. Była to pierwsza kopalnia na Śląsku otwarta dla zwiedzających. Stała się ona wyzwaniem i, by tak rzec, motorem napędzającym dalsze działania społeczników i instytucji zajmujących się ochroną dziedzictwa przemysłowego i kulturowego regionu oraz udostępniania go szerszej publiczności. Obecnie na terenie Skansenu trwają prace budowlane, a po ich zakończeniu w miejscu tym znajdzie się wejście do Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej, odrestaurowanej na potrzeby turystyki przemysłowej.

„Szczęść Boże"

Scena Propozycji powstała podczas realizacji cyklu monodramów nawiązujących do śląskich legend, jej trzon stanowili: Zbigniew Stryj – aktor, poeta, reżyser spektakli teatralnych. Autor piosenek i dramatów, miniatur scenicznych i scenariuszy wideoklipów. Od ponad dziesięciu sezonów związany z Teatrem Nowym w Zabrzu – pomysłodawca Sceny Propozycji; Bartłomiej Latoszek – plastyk, scenograf Sceny Propozycji. Autor wielu plakatów, programów i opracowań graficznych programów teatralnych, aranżacji wystaw. Na co dzień pracuje w Teatrze Nowym w Zabrzu – współtwórca

Sceny Propozycji; Jan Gustaw Jurkiewicz – kustosz i kierownik Skansenu Górniczego „Królowa Luiza", prezes Stowarzyszenia „Pro Futuro". Zajmuje się aktywną ochroną i promocją zabytków poprzemysłowych, m.in. przez organizowanie w nich imprez kulturalnych; Marzena Puchała – dziennikarka, kierownik literacki Sceny Propozycji. Współpracuje m.in. z Telewizją Zabrze, wcześniej pracowała w „Dzienniku Zachodnim". Autorka programów teatralnych oraz wielu artykułów i publikacji.

Pokazy odbywały się pod ziemią, w wyrobiskach tej właśnie kopalni (*Legenda Skarbnika*). Powodzenie tego zrazu „turystycznego projektu" zainspirowało zespół do bardziej ambitnych artystycznych przedsięwzięć teatralnych. Już w pełni autorską propozycją teatru byli *Żywi ludzie* (reżyseria Zbigniew Stryja, premiera w październiku 2001), pierwszy na Śląsku spektakl realizowany w górniczych wyrobiskach. Akcja spektaklu, osadzona w realiach Zabrza w latach poprzedzających I wojnę światową, toczyła się wokół strajku górników w kopalni sprzeciwiających się jej zamknięciu.

Nowatorstwo tego teatralnego przedsięwzięcia polegało nie tylko na wykorzystaniu gwary śląskiej i wielu form performansów, ale przede wszystkim różnych przestrzeni pozateatralnych: Sali Witrażowej Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu, Sztolni Kopalni „Królowa Luiza" w podziemnej części Skansenu Górniczego w Zabrzu oraz części nadziemnej z centralnie położoną maszyną parową, służącą do poruszania liny wyciągu. Do miejsc tych, usytuowanych w promieniu 2 kilometrów, widzowie spektaklu dowożeni byli autobusami o zasłoniętych oknach, w których akordeoniści grali na śląską ludową nutę. Jeden z recenzentów lokalnej gazety tak pisał o spektaklu: „Ten «moralitet kopalniany» byłby ckliwą historyjką, skleconą dla taniego efektu społecznego – wszak mamy biedę i bezrobocie, nie umiemy się pogodzić z chciwością właścicieli i ich totumfackich, zarządzających należącymi do nich przedsiębiorstwami. Jednak nowego znaczenia nadaje dramatowi sceneria, w której rzecz się rozgrywa" (R. Gozdek: *Ocalić od zapomnienia*. „Głos Zabrza i Rudy Śląskiej" 2001, nr 47; *Przywrócone do życia)*.

Fot. Mikołaj Suchan

W surowym wnętrzu łaźni postaci odgrywały niezmienne od pokoleń rytuały dnia powszedniego i rodzinnego pod okiem anioła. („Ojcowizna").

Drugi spektakl dotyczył innej tematyki, choć nadal mieścił się w koncepcji artystycznej teatru, który wykorzystując konkretne miejsca i szukając nowych rozwiązań formalnych, chciał realizować ideę prezentacji i popularyzacji kultury śląskiej z jej nieodłącznymi elementami: religią, kultem pracy i życia rodzinnego.

Ducha nie ujrzysz (2003) wystawiono pod ziemią w Sztolni, tym razem mającej przywodzić na myśl podziemia rzymskich katakumb, w których spotykali się chrześcijanie, by rozprawiać o rzeczach ostatecznych i uniwersalnych. Widzowie byli świadkami dialogów Mistrza i Obcego utkanych z poezji Jana Pawła II. Nabierały one szczególnego znaczenia wypowiadane w półmrocznej, niemal infernalnej przestrzeni korytarza kopalnianego, wypełnionej starymi, zużytymi sprzętami codziennego użytku, jakby powiedzieli Ślązacy – „wyciągniętymi prosto z hasioka". Ten na wskroś symboliczny spektakl bynajmniej nie odbiegał od koncepcji programowej Stowarzyszenia i Sceny. Tradycja religijna i praca stanowiły wszak filary kultury śląskiej od zawsze. Kształtowały charakter, a co za tym idzie – tożsamość kulturową Ślązaków witających się tradycyjnym „Szczęść Boże". O tejże tradycji wyznaczonej rytuałami codzienności traktował kolejny spektakl – *Ojcowizna* z 2004 r. (W 2010 r. przedstawienie weszło na stałe do repertuar Teatru Nowego w Zabrzu i w październiku tego roku zostało zaprezentowane na XII Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Eksperymentalnych w Kairze), zaprezentowany widzom w Łaźni Łańcuszkowej Skansenu, a więc w przestrzeni na wskroś postindustrialnej. To niemal magiczne przedstawienie, bez użycia słów, skomponowane było ze scen przedstawiających „historię śląskiej rodziny w żywych obrazach", które zmieniały się niczym w kalejdoskopie. W surowym wnętrzu łaźni, na samym jej środku w rytmie muzycznych cytatów z pieśni kościelnych, np. *Kiedy ranne stają zorze*, pieśni górniczych – *Górniczy walczyk* i melodii śląskich, postaci odgrywały niezmienne od pokoleń rytuały dnia powszedniego i rodzinnego pod okiem anioła, który wiernie im towarzyszył. Mimo kontrastu między zastaną a odgrywaną, symboliczną przestrzenią, a może właśnie dzięki tej wykorzystanej opozycji, udało się aktorom stworzyć ciepłą, rodzinną atmosferę, ukonstytuować wspólnotę emotywną – w olbrzymim wnętrzu kopalnianej łaźni, w samym jego centrum rozpalić domowe ognisko.

29 maja 2009 r. w Łaźni Łańcuszkowej Skansenu „Królowa Luiza", tej samej, w której swoją premierę miała *Ojcowizna*, wystawiono kolejne przedstawienie: *My i Oni* w reżyserii Z. Stryja. Pomiędzy spektaklami można było doszukać się wielu analogii. Podobnie jak w *Ojcowiźnie*, w *My i Oni* scena została zlokalizowana w centrum budynku, pomiędzy stalowymi filarami podtrzymującymi dach, a aktorzy wychodzili z tej samej niszy; oba przedstawienia poświęcone były losom zwykłych ludzi. W *Ojcowiźnie* pokazano życie rodzinne niejako od środka, przykładając do niego matrycę utrwaloną na tym terenie tradycją, natomiast w spektaklu *My i Oni* wyeksponowano dramat postaw przedstawicieli społeczności lokalnej żyjących w sąsiedztwie, które ujawniły się ze szczególną mocą

w czasach przemian i przeobrażeń społeczno-politycznych wyznaczonych wydarzeniami stanu wojennego i transformacji ustrojowej 1989 r. Ludzi, którzy z bagażem doświadczeń minionej epoki wkraczali w nowe realia społeczno-polityczne. Spektakl wystawiony był w ramach konferencji zatytułowanej *Protesty, nadzieje, perspektywy. Górnictwo wobec przełomu roku 1989* można określić jako formę oryginalnego appendixu do poruszanych na tej konferencji zagadnień.

W 2004 r. *Czasem Karlika* Scena Prezentacji powróciła jednak pod ziemię, proponując widzom teatr w ruchu. Usadowieni w kolejce górniczej przemierzającej korytarze kopalni mieli oni okazję oglądać rozgrywające się na stacjach symboliczne sceny z życia górników, znane z opowieści, które od wieków kształtowały dramatyczny potencjał lokalnej społeczności. Podróż, jaką odbywali, rozgrywała się nie tylko w przestrzeni, ale również w czasie; prezentowane sceny miały ewokować przeszłość, wyzwalać u widzów osobisty stosunek do historii i tradycji.

Kolejnymi przedstawieniami Sceny Propozycji granymi na terenach kopalni były: *Ostatni zjazd* – „słuchowidowisko" upamiętniające katastrofę górniczą oraz – *Guido 1981*, inscenizacja strajku górników ZKWK „Guido".

Niemal wszystkie krótko tu opisane spektakle układają się zatem w niezwykle interesujący cykl, zważywszy na problematykę teatru historii lokalnych. Twórcy związani ze Sceną Propozycji postarali się w ten sposób nie tylko promować obiekty zabytkowe związane z poprzemysłową spuścizną regionu i miasta, ale przede wszystkim objaśniać los ludzi tu zakorzenionych i dzięki teatralnemu medium dać sposobność widzom (najczęściej z okolicznych miejscowości) zderzenia tego, co wyobrażone, znane z opowieści dziadków i ojców, z tym, co doświadczone osobiście. Postanowili językiem teatru opowiedzieć historie miejsca i lokalnej społeczności. Tworząc teatr w miejscu konkretnym, a zarazem symbolicznym – pod ziemią – nadali swym przekazom moc wywoływania przeszłości. Zaprosili widzów do uczestniczenia w seansie, w którym ożywiono tę przestrzeń, wyzwalając emocje, dramatyzując obrazy historii lokalnej, zakopane niejako „pod ziemią", po to, by wydobyć je na moment i zaprezentować wobec widzów z ich czynnym udziałem. Wpisując przedstawienia w konkretną przestrzeń kopalni i jej otoczenia, będącą niejako sygnaturą Śląska, stworzyli nie tylko teatr historii, ale i teatr miejsca. Stali się tym samym pionierami śląskiego teatru historii lokalnych. Trzeba bowiem dodać, że w teatrach zawodowych Katowic spektakle o tej tematyce pojawiły się dużo później: w październiku 2004 r. Teatr Korez wystawił *Cholonka* wg powieści Janoscha *Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny* z podtytułem *Sztuka po śląsku o Śląsku i Ślązakach!*, w styczniu 2008 r. w Teatrze Śląskim odbyła się prapremiera sztuki Stanisława Mutza *Polterabend*, a w lutym 2013 r. w tym samym teatrze została wystawiona *Piąta strona świata* Kazimierza Kutza. W roku 2012 dołączył do nich także Teatr Zagłębia w Sosnowcu, oferując widzom ciekawy i wielokrotnie nagradzany spektakl *Korzeniec* autorstwa Zbigniewa Białasa i Piotra Śpiewaka, określany jako „krwawa ballada o Sosnowcu". Były to jednak spektakle skrojone na tradycyjną scenę pudełkową, pokazujące, że choć „Śląsk był nikczemny, ale przez to barwny i piękny". Pisano o nich z zachwytem, że przypominają wspaniale skreślone portrety rodziny śląskiej, zagłębiowskiego miasta nad Brynicą, w których każdy detal jest ważny, a każda zakomponowana scena ma walor artystyczny. Taki obraz Śląska i Zagłębia porywał widza. Przypomnijmy, że prawie wszystkie spektakle nagradzano i wszystkie cieszyły się i nadal cieszą niezwykłą popularnością, nie tylko wśród rodzimej publiczności. Spektakle intrygowały nietuzinkową fabułą, zmuszały do refleksji i rewizji potocznych, stereotypowych wyobrażeń o tych ziemiach i losie ich mieszkańców, słowem – współtworzyły lub kreowały mit śląski. Taki Śląsk, jakby powiedział Smolorz – „wymyślony", konkretyzowany i prezentowany był widzom w tradycyjnym teatrze – domenie Melpomeny, funkcjonującym w obszarze sztuki.

Fot. Arkadiusz Gola

Zbigniew Stryj „My i Oni" (2009 r.), reżyseria: Zbigniew Stryj, scenografia i reżyseria świateł: Bartłomiej Latoszek, wystąpili aktorzy Teatru Nowego w Zabrzu.

„Kaj my to som?"

Scena Propozycji, zgodnie ze swą nazwą, zaproponowała odmienną strategię. Osadziła działania w zupełnie nowej przestrzeni i to sprawiło, że jej spektakle zyskały oryginalny walor. Nie tylko przedstawiały widzowi wykreowaną, częściowo rekonstruowaną przeszłość, ale pozwalały mu przede wszystkim doświadczyć teraźniejszości zdeterminowanej przez miejsce, w którym się znalazł. Bo oto, by zobaczyć spektakle, musiał zejść po kurzej drabinie w czeluść starej sztolni albo wsiąść do kopalnianej kolejki „Karlik" lub do windy, która zjeżdżała pod ziemię. Musiał przechodzić wąskimi korytarzami podpieranymi drewnianymi stemplami, po wyboistej ścieżce między szynami, często w ciemnościach rozświetlanych jedynie górniczymi lampkami, by w końcu znaleźć się w postindustrialnej scenerii, której elementy miały cechy przeciwstawnych wobec siebie światów: natury i kultury. Napięcie dramatyczne osiągano już poprzez samo zderzenie dwóch oddzielnych sfer aktywności – sfery techniki i sztuki. Schodami widz udawał się w dół, nie w górę. Zjazd wytrącał go z tego, co kulturowe, opanowane i okiełznane. Przestrzeń kopalni intrygowała, ale i napawała lękiem, nie sprzyjała kontemplacji, lecz intensyfikowała doznania zmysłowe. Jakże to wejście różniło się od typowych westybulów muzeów i teatrów z jasnym hallem, przytulnym *foyer* ozdobionym portretami artystów i ich dzieł, miejsc, któ-

re, jak pisała Carol Duncan, służą rytualizacji kontaktu człowieka ze sztuką – z dziełami ludzkiego geniuszu, gdyż stanowią „przestrzeń starannie wydzieloną i kulturowo wyznaczoną i zarezerwowaną dla uwagi specjalnego rodzaju – kontemplacji i nauki". Przestrzeń, dodajmy, warunkującą także doświadczenie artystyczne, w której odbywają się rytuały świeckie, napawające dumą, godne uwiecznienia i podziwu. Tymczasem widz spektakli Sceny Propozycji, przekraczając bramę kopalni, wchodził na teren zmagań człowieka z naturą. W świat, choć porzucony, nadal niebezpieczny, tajemniczy, ale też do końca niepodległy człowiekowi, wciąż determinujący ludzkie zachowania (motorykę ciała, węch, wzrok, dotyk, a nawet smak). Podróż w głąb – ta swoista archeologia miejsca, dzięki działaniom teatralnym wzbogacona została o archeologię ciała, oferując obecnym w niej widzom poznanie poprzez sensualne doświadczenie podziemia.

Kopalnia, traktowana jako naturalny palimpsest oznak upływającego czasu, mierzonego nie latami, lecz tysiącami lat, stwarza wrażenie zamkniętości, w której ważniejsza jest przeszłość od przyszłości. Będąc w jej wnętrzu, ma się poczucie zawieszenia w czasie i nie tylko, również w przestrzeni między miejscem zawłaszczonym naturze i obcym, dla człowieka nienaturalnym, a światem zewnętrznym, oswojonym, przestrzenią zadomowienia. To wnętrza nieużywanej już kopalni noszą na sobie piętno historii, tej zbiorowej i tej indywidualnej, nierzadko tragicznej. Przestrzeń napiętnowana jest wydarzeniami, które stanowią o jej szczególnej dla tutejszych ludzi wartości. Kopalnia jako egzemplifikacja zmagań człowieka i natury, poskramianej i eksploatowanej, a jednak ciągle niebezpiecznej, tajemniczej i obcej to wszak stały element krajobrazu Śląska (podstawowy komponent schematu wyobrażeniowego związanego z przestrzenią Śląska i kulturą). Rozmaicie krajobraz ten utrwalano na płótnach i w literackich opisach. Twórcy Sceny Propozycji postanowili ten kluczowy dla krajobrazu element rozkodować niczym tekst, w który wpisana została prawda o kondycji człowieka i natury, ale też prawda o nich, o Ślązakach. Intuicyjnie być może potwierdzili przekonanie historyka Karola Schlögla, który w swej rozprawie *W przestrzeni czas czytamy* stwierdzał, iż „ludzie definiują się przez krajobrazy, z których się wywodzą" Zainteresowanie Sceny Propozycji miejscem, którego narracje teatr ten podjął się odczytać i zaprezentować mieszkańcom miasta, nie ogranicza się do kopalni. Innym ciekawym sposobem przywrócenia pamięci miejsca był spektakl pt. *Musi przyjść*, zrealizowany w dawnej kaplicy ewangelickiej, dzisiaj już nieczynnej, zdesakralizowanej, znajdującej się w jednej z najstarszych dzielnic Zabrza – Biskupicach. Fabuła przedstawienia, wysnuta z lokalnej historii, opierała się na pokazaniu niezwykle złożonych stosunków między ludnością polską i niemiecką, przez wieki zgodnie współegzystującymi na tym terenie, gdyż granica polsko-niemiecka przebiegała „opłotkami" Biskupic. Po II wojnie sytuacja rodzimych mieszkańców dramatycznie się zmieniła, co stanowiło kluczowy element przedstawienia. Tym sposobem twórcy nie tylko zwrócili uwagę mieszkańców dzielnicy na miejsce zapoznane, przywracając pamięć o nim, ale podjęli przy okazji kolejny trudny temat relacji polsko-niemieckich, na tym terenie ciągle aktualny.

Rzecz ciekawa, początki Sceny Propozycji, jak wspominałam, wiążą się z działaniami muzealno-turystycznymi. Przygotowywane w kopalni-skansenie inscenizacje mogły te muzealne obiekty, zabytki techniki uczynić bardziej atrakcyjnymi dla gości. Można je było zrazu zaliczyć do form interaktywnego zwiedzania górniczego skansenu. Szybko jednak twórcy spektakli dostrzegli ogromny potencjał przestrzeni kopalnianej i postanowili go wykorzystać, nie tyle w celach marketingowych, promocyjnych, ile artystycznych. Pokazując „dziedzictwo w akcji", stali się zatem szczególnego rodzaju przewodnikami, przede wszystkim dla lokalnej publiczności, po miejscach – śladach, rozumianych za Walterem Benjaminem jako „przejaw bliskości, bez względu na to, jak daleko rzecz, która go pozostawiła, może być". Konsekwentnie w kolejnych spektaklach – performansach budowali aurę miejsca, które stawało się osią centralną kreowanych mikrohistorii. Wszak nad tą przestrzenią, obok niej zgromadzeni widzowie nadal zamieszkują swe domostwa, coraz rzadziej dzisiaj przypominając sobie, że tam, pod ziemią tętniło niegdyś życie i że to miejsce w najwyższym stopniu warunkowało styl życia mieszkańców Śląska i jego swoisty charakter.

A zatem Scena Propozycji to teatr miejsca konkretnego, ale i symbolicznego zarazem. Wybrana przez nią lokalizacja akcji teatralnych dyktuje warunki, potęguje nastrój, wyznacza ramy opowieści, objaśnia jej tematykę, narzuca linię dramaturgiczną i wchłania zarówno widzów, jak i aktorów. Stara sztolnia, kopalnia niegdyś tętniąca życiem, znak rozpoznawczy Zabrza dzięki teatrowi ożywa ponownie. Choć na parę chwil nasyca się emocjami tych, którzy siłą swej wyobraźni muszą już tylko pokonać barierę czasu, przestrzeń jest bowiem niemal ta sama, by rekonstruując historię lokalną, doświadczyć minionego, zapomnianego, a jednak ważnego doświadczenia swych przodków. W ten sposób „przywraca się zbiorowej pamięci" nie tylko przeszłe wydarzenia, których sens dawno skostniał w stereotypowych, szkolnych formułkach, ale pozwala się – poprzez uczestnictwo – na nowo je zobaczyć (rozpoznać) i przeżyć.

Ożywić pustkę

Wbrew temu, co pisała Ewa Rewers, iż „pustka, która została po ludziach i budynkach, ich śladach i głosach, nie może zostać wchłonięta przez jakąkolwiek reprezentację, gdyż zawsze pozostanie tym, co niewypowiedziane, niepojęte, co nie mieści się w granicach poznania i przedstawienia", twórcy Sceny Propozycji podjęli próbę ożywienia przeszłości, nadali realny kształt zdarzeniom, które niegdyś się rozegrały lub mogły rozegrać. I nie szło im bynajmniej o wizję lokalną – rekonstrukcja była niepełna, zgodność z realiami historycznych wydarzeń była mniej istotna od wytworzenia ich aury. Inscenizacja, w której wykorzystywano realne przedmioty (artefakty, często zdobywane z trudem i odszukiwane w różnych miejscach), nie służyła „ożywieniu historii", lecz stworzeniu wspólnoty ludzi poddanych presji określonej przestrzeni – kopalni i jej otoczenia, generującej tyleż schematyczne, co prawdopodobne sytuacje dramatyczne. Podam przykład. W roku 2011 przygotowano spektakl zatytułowany *Ostatni zjazd*, poświęcony pamięci górników, którzy zginęli w katastrofie w Kopalni „Luiza" 12 września 1967 r. Zginęło wówczas 14 górników. Winda, którą jechali na szychtę, zerwała się i runęła z ogromną prędkością ponad 500 metrów w dół. Prócz zabitych było także kilkunastu ciężko rannych. Mieli połamane kręgosłupy, nogi i ręce, zmiażdżone miednice i głębokie rany. Był to najtragiczniejszy wypadek w polskiej kopalni w tym roku, szczególnie trud-

nym dla Zabrza, gdyż w innych wypadkach kopalnianych zginęło wtedy aż 25 górników. (A. Morawiec: *Upamiętniono 14 górników z katastrofy w 1961 roku*, „Nowiny Zabrzańskie", 22.09.2011). Spektakl został zrealizowany w konwencji plenerowego słuchowiska. Zgromadzeni przed drzwiami budynku maszyny parowej uczestnicy wydarzenia teatralnego byli najpierw świadkami niemej sceny przedstawiającej wejście górników do kopalni. Widzowie, po zatrzaśnięciu się za nimi drzwi, usłyszeli z głośników strzępki rozmów, jakie mogli prowadzić między sobą górnicy w szatni przed zjazdem i w windzie górniczej tuż przed zerwaniem się liny wyciągowej. Głosy intensyfikowały spotkanie z nieobecnymi, a przywoływanymi w pamięci bohaterami dramatycznych wydarzeń. W scenie finałowej najpierw usłyszeli dźwięk dzwonka sygnalisty i trzaśnięcie wrót windy, a potem już tylko gwałtowny świst i jazgot pękającej stalowej liny, który przeszył ich uszy. Po chwili głuchej ciszy drzwi uchyliły się same i wyszła z nich, powoli stąpając po schodach, mała dziewczynka ubrana w odświętną białą sukienkę. W rękach trzymała 14 czarnych balonów, które wypuściła na pierwszym stopniu schodów. Spektakl był częścią obchodów upamiętniających katastrofę, jednak w zestawieniu z odsłonięciem tablicy pamiątkowej miał bez wątpienia nieporównywalnie większą siłę sugestii, wywoływał emocje, jakie towarzyszyły świadkom ówczesnych wydarzeń. Ożywiał pamięć o tragedii, ale pamięć nie faktograficzną, lecz sensualną.

Użyta w tytule formuła „w kopalni i wokół kopalni" – jest przede wszystkim wskaźnikiem lokalizacji, choć ma również sens metaforyczny. Miejsca te można bowiem wiązać z kategorią pogranicza, która wielokrotnie służy badaczom i historykom do wskazania specyfiki kultury tego regionu, warunkowanej przez jego geograficzne położenie i historię. To teren wielu pograniczy. Linie demarkacyjne przebiegają tu między tym, co nad ziemią – co widzialne i dla człowieka naturalne, znane, swojskie, i tym, co pod ziemią – groźne, ale kuszące bogactwem, wyzywające i wymagające zarazem. To także część kulturowego krajobrazu tzw. Czarnego Śląska, kluczowy element budowanego przez wieki społecznego stereotypu Ślązaka. Wystarczy przypomnieć chociażby wizytówkę stacji telewizyjnej Katowic, sygnalizującej w ogólnopolskim paśmie programy ze Śląska.

Kopalnię i jej otoczenie, zwłaszcza dzisiaj, można by także zaliczyć do przestrzeni innych, według Foucaulta, gdyż „posiada osobliwą właściwość pozostawania w relacji z wszystkimi innymi miejscami", zwłaszcza tu, na Śląsku. To przykład heterotopii, miejsca rzeczywistego, wyznaczonego wraz z rozwojem społeczeństwa i przemysłu wydobywczego, które jest dzisiaj w wielu wypadkach (takich jak omawiana Kopalnia „Luiza", Kopalnia „Guido") rodzajem kontr-miejsca, odzwierciedlającego dzięki działaniom teatralnym inne przestrzenie, będąc zarazem ich zanegowaniem. To miejsce zarezerwowane dla tych, którzy wiedzą, jak się w nim poruszać, to wreszcie miejsce, gdzie rezonuje tradycja. Obecnie wiele kopalni zamknięto, zostały porzucone lub są wciąż chronione, ale z pewnością pozbawione swej prymarnej funkcji. Istnieją nie tylko w miejskim krajobrazie, ale również w świadomości mieszkańców nie jako miejsca pracy, lecz źródło zagrożenia tąpnięciem, znak upadku ekonomicznego i statusu miejscowej ludności, a zarazem oznaka degradacji społecznej. Czyżby zatem miejsca te opuścił *genius loci*, a połączona z nimi historia lokalnej społeczności i jej tradycyjna kultura miały ulec nie tylko degradacji, ale i zapomnieniu? Działalność Sceny Stowarzyszenia „Pro-Futuro" i Sceny Propozycji zdaje się temu przeczyć. Jej twórcy, stosując różne strategie, nie tylko dokonali rewitalizacji miejsca, dając kopalni niejako drugie życie, ale przede wszystkim odkryli jego nowe zastosowania i znaczenia. Postarali się je także na powrót uczynić, jakby powiedział Marc Augé, „opoką dla tożsamości" Ślązaków. Nie samych zresztą Ślązaków.

Wielu uczestników działań teatralnych Sceny Propozycji pochodzi z innych regionów Polski. Śląsk nie był ich małą ojczyzną, Heimatem. A jednak lokalność spektakli (dookreślona przez miejsce i rozegrane w nim historie) nie nużyła, lecz wprzód intrygowała, by ostatecznie zaabsorbować niemal bez reszty. Jak sądzę, taki sposób odbioru umożliwiła zarówno aura sensualnie odbieranego miejsca, jak też działania artystyczne grupy, które miejsce to wprowadziły w estetyczny wymiar. W efekcie odpowiedzieć na pytanie „kaj my tu som?" stała się wieloznaczna. Kopalnia-skansen służąca już dzisiaj wielokrotnie jedynie jako artefakt, miejsce ewokujące pamięć zbiorową, szczególnie uwypukliła także przewartościowanie śląskiego społeczeństwa. „Przez artykułowanie stanów utraty i ogołocenia, wywłaszczania z tego, co indywidualne i dziedziczone lokalnie przez wszystkie trendy unifikujące kultury (z globalizmem na czele) stała się miejscem, w którym samo zakorzenienie jawi się ambiwalentnie, i jako święte, i jako przeklęte".

Lokalny teatr tutejszych historii to najlepszy sejsmograf nastrojów społecznych i oczekiwań śląskiej publiczności. Od *Karliczka* zaczynając, Scena Propozycji wprowadzała stopniowo w obieg społeczny tematy trudne, przemilczane, a jednak absorbujące bezpośrednio uwagę widza. Choć mało znana szerszej publiczności, dla mieszkańców Zabrza i okolic stała się najlepszym przewodnikiem po ich ziemi i jej historii.

■

Fot. Maria Grochowska

„Guido 1981" (2011 r.), scenariusz i inscenizacja: Bartłomiej Latoszek, teksty sytuacyjne: Zbigniew Stryj, wystąpili aktorzy Teatru Obecności w Zabrzu oraz członkowie zespołu Muzeum Techniki Wojskowej z Zabrza.

Tekst pochodzi z książki: T*eatr historii lokalnych w Europie Środkowej*. Red. E. Wąchocka, D. Fox, A. Głowacka. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 2015.

Jubileusz 70.lecia pracy artystycznej
Sławy Łopuszańskiej

Fot. z arch. Marty Fox

Stanisława Łopuszańska

Wielka dama teatru polskiego

MARIA SZTUKA

2015 to rok szczególny w historii polskiej kultury, obchodzimy bowiem 250. lecie teatru publicznego w Polsce. Od Bałtyku po Tatry posypały się więc jubileuszowe wydarzenia. Wprawdzie dopiero 19 listopada minie okrągła rocznica pierwszego przedstawienia w języku polskim zespołu aktorów stworzonego z inicjatywy króla Stanisława Augusta, uroczyste obchody trwają już jednak od stycznia, ponieważ decyzją Sejmu RP rok 2015 został ogłoszony Rokiem Polskiego Teatru Publicznego, aby – jak zapowiedziała, inaugurując obchody minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, prof. Małgorzata Omilanowska *– przywrócić w narracji o kulturze znaczenie teatru, który jest ważną platformą myślenia, dyskutowania i skupiania się na najważniejszych problemach społecznych.*

Niejeden potężny gamach biblioteczny można by zapełnić publikacjami, które poświęcone zostały teatrowi na przestrzeni tych dwóch i pół wieku, pisali je wielcy znawcy sztuki scenicznej, twórcy poszczególnych teatrów, mistrzowie a także ludzie zarażeni miłością do jego magii. Grono zacne, ogromne i zarazem niezwykłe, ponieważ łączy ich wszystkich pasja i miłość, aby jednak wskrzesić tak wielkie namiętności nie wystarczy nawet najbardziej okazały budynek, wspaniałe, znaczone historią wnętrza. Teatr to ludzie! Ich talent, siła oddziaływania na nasze emocje, umiejętność przyciągania uwagi widzów i docierania do najgłębszych zakamarków naszej psychiki. To wielka magia, której tak chętnie ulegamy, za którą bezustannie tęsknimy.

6 października 2013 w Teatrze Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach wyrył w mojej pamięci znak szczególny. Były to wprawdzie 106. urodziny katowickiej sceny i symboliczne przekazanie kluczy do teatru nowemu dyrektorowi Robertowi Talarczykowi i jak przystało na jubileusz posypały się nagrody, odznaczenia, gratulacje i życzenia, ale nie owe zasłużone „ochy" i „achy" sprawiły, że ten wieczór tak szczególnie zapamiętałam. Sala była tego wieczoru wypełniona po brzegi (jak zwykle w tym teatrze), po części oficjalnej (przemówieniach, gratulacjach, życzeniach) prezentem dla publiczności było przedstawienie muzyczne „List do pana Balzaka" w reżyserii nowego dyrektora Teatru Śląskiego. Na scenie, niczym w kalejdoskopie pojawiali się ulubieńcy śląskiej publiczności, przywołując znakomicie zaaranżowane piosenki z tekstami Mariana Hemara, Jonasza Kofty, Jacka Kaczmarskiego, Wojciecha Młynarskiego, Agnieszki Osieckiej… Zbliżał się finał, powoli zza kulis wyłoniła się niepozorna postać. W szarym kostiumie, z czerwoną apaszką pod szyją, spokojnie wkroczyła na scenę Stanisława Łopuszańska. Nieśmiałe początkowo brawa przeobraziły się bardzo szybko w gromkie *standing ovation***.** Aktorka co chwilę pochylała się w niskich ukłonach, wywołując coraz silniejsze oklaski. Jak przyznała po spektaklu, w oślepiającym blasku reflektorów niewiele widziała, z niedowierzaniem więc pytała: *czy to było naprawdę dla mnie?* Tak, te owacje były dla Wielkiej Damy Polskiej Sceny, były: *podziękowaniem za piękne chwile, jakie pani Sława podarowała teatralnej widowni przez te wszystkie lata. Za takie niby drobiazgi kocham teatr najbardziej* – pisał w „Śląsku" Witold Kociński (nr 11, 2013). A dziękować Stanisławie Łopuszańskiej jest za co. Ikona śląskich scen w roku jubileuszowym polskiego teatru świętuje

70. lecie pracy artystycznej

Jako dziecko chyba nie myślała o aktorstwie, ale kochającą sztukę matkę, która prowadzała swoje dzieci do muze-

ów, galerii, sal koncertowych i teatrów zapewne wybór Heleny (starszej córki) i Stanisławy zbytnio nie zdziwił. Helena dla Państwowej Szkoły Dramatycznej porzuciła studia polonistyczne a jej młodsza siostra Stasia po zdaniu matury skierowała swoje kroki do podziemnego (wszak działo się to już podczas II wojny światowej) Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Dla bardzo nieśmiałej i zamkniętej w sobie dziewczyny, a taką właśnie w latach młodości była przyszła *Pani Warren* („Profesja pani Warren" G.B. Shaw, Teatr Śląski, 1990) teatr jawił się swoistą terapią, szansą na przełamanie introwertycznej natury. Z ukochaną Warszawą, mimo wielu lat rozłąki nigdy pani Sława nie potrafiła się rozstać. Kiedy, nic nikomu nie mówiąc, znika czasem na kilka dni, wiadomo, że odwiedza swoje ukochane warszawskie kąty. Bardzo pięknie pisze o tym Marta Fox w „Wiedźmie z Katowic": *Dopytywałam, czy ją to miasto* (Warszawa, *przyp. MS) nie męczy, jak znosi odległości, jak się odnajduje w tłumie. Wtedy, jakby diabeł w nią wstąpił: ożywiła się, błysnęła pomalowanym okiem i dawaj opisywać swoje marszruty. Tu pije czekoladę, a tam kawę, tam wsiada w metro, a tu w tramwaj, wieczorem ogląda innych na scenie. Pomiędzy czyta, odwiedza ZASP, szuka dla siebie nowych ról. – Co cię tak fascynuje w tym mieście? – pytam.*

– Byłam wtedy taka młoda i taka szczęśliwa – rozmarza się. (*Autoportret z Lisiczką*, Dom Wydawniczy Mała Kurka, 2013).

Tak już bywa, że po latach giną w niepamięci wspomnienia złe i dramatyczne a zostają te najpiękniejsze, pełne młodzieńczych uniesień, romantyczne i idealne.

Po beztroskim dzieciństwie spędzonym w Warszawie (wszak to tu urodziła się Stanisława Łopuszańska) przyszły jednak mroczne lata okupacji, śmierć siostry Heleny w Palmirach, Powstanie Warszawskie, podczas którego roznosiła ulotki i pocztę powstańczą i wreszcie pożegnanie z ukochanym miastem i wyprawa po upadku Powstania w nieznane.

Debiut i nie tylko

Częstochowa stała się pierwszym przystankiem teatralnym. Krótkim, ale jakże ważnym, tu bowiem zadebiutowała Stanisława Łopuszańska w lutym 1945 r. z okazji otwarcia Teatru Miejskiego w Częstochowie. W inauguracyjnym koncercie, reżyserowanym przez Artura Kwiatkowskiego wystąpili śpiewacy operowi i operetkowi, aktorzy dramatyczni. Typowa składanka. Rozpoczynała ją uwertura „Halki" S. Moniuszki i aria w wykonaniu lwowskiego tenora, przedwojennego artysty Teatru Wielkiego w Warszawie Edmunda Płońskiego, tuż po nim wystąpiła młodziutka Stanisława Łopuszańska recytując patetycznie „Modlitwę" (z „Kwiatów polskich") Juliana Tuwima. Ten występ pani Sława wspomina ze wzruszeniem: *nogi mi się trzęsły, głos uwiązł mi w gardle.*

Fot. z arch. Aktorki

Tytułowa rola w „Balladynie" J. Słowackiego, Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej, 1956

Kolejne role niewiele już z patosem miały wspólnego. Cóż bowiem mogła grać młoda, smukła, długowłosa z urzekającymi ogromnymi brązowymi oczami dziewczyna? Amantki i to oczywiście w repertuarze lekkim, łatwym i przyjemnym, taki bowiem ówcześni włodarze uznali za stosowny dla odbudowującego się po wojnie miasta. Był to jednak czas znakomicie wykorzystany, należało bowiem jak najszybciej stanąć przed komisją i obronić dyplom aktorski, każda więc rola była okazją do szlifowania warsztatu, zgłębiania tajników sceny, na co nie było czasu w podziemnym Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Co najmniej z dwóch powodów przystanek w Częstochowie był ważny. Po pierwsze debiut a po drugie …Eugeniusz Ławski, absolwent Miejskiej Szkoły Dramatycznej w Krakowie, przed wojną związany m.in. z Teatrem Wołyńskim, zespołem objazdowym Reduty, Miejskim Teatrem Kameralnym w Częstochowie, znakomity organizator, pełniący funkcję sekretarza wskrzeszanego po wojnie teatru w Częstochowie. Po kilku miesiącach, w lipcu 1945 r. już jako małżeństwo: Stanisława i Eugeniusz Ławscy wyruszyli w kolejną podróż teatralną…

Czas poszukiwań

Nie było łatwo znaleźć to najważniejsze, swoje miejsce. Wszędzie panowała większa lub mniejsza prowizorka, repertuar nie był dziełem ani autorskim ani też przypadku, skutecznie sterowały nim władze, które tkwiły w przekonaniu, że dramaty romantyczne

Fot. z arch. Aktorki

Stanisława i Eugeniusz Ławscy, otwarcie „Teatru 13 Rzędów" w Opolu, 1957

Fot. z arch. Aktorki

W roli Oliwii Dubuk, „Szwagierki" M. Tramblaya, reż. M. Znaniecki, Teatr Rozrywki w Chorzowie, 2000 r.

czy postmodernistyczne, sztuki wielkich dramaturgów zachodnich to strawa nie odpowiednia dla łaknących prostej rozrywki mas odbudowującego się kraju, kraju nowej politycznej rzeczywistości.

Kolejne przystanki pani Sława wspomina raczej z niechęcią. Wszędzie panoszyli się ludzi służby bezpieczeństwa, bieda piszczała a teatry siedziały na walizkach, jeżdżąc ze spektaklami po odległych czasem prowincjach. Młodzi niedługo więc zabawili w Teatrze Miejskim w Kielcach (1945–1946) udając się do Bielska. Tu dzięki inspektorowi, który sprawował opiekę artystyczną w Teatrze Polskim, Stanisława Łopuszańska 13 października 1946 r. stanęła przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, która mieściła się przy Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi. Komisji przewodniczył Leon Schiller, zasiadał w niej również Aleksander Zelwerowicz oraz wykładowcy podziemnego PIST. Wynik był oczywisty. Teraz z dyplomem w ręce, pełnoprawna aktorka mogła nie tylko znaleźć swoje nazwisko na afiszach, należała jej się także pełna gaża i prawo wstąpienia do Związku Artystów Scen Polskich, co natychmiast uczyniła. Przybyło również ról. Zagrała więc m.in. *Solange* w „Lecie w Nohant" J. Iwaszkiewicza, *Helenę* w „Ładnej historii" G.A. Caillaveta i R. Flersa, *Hesię* w „Moralności pani Dulskiej" G. Zapolskiej, *Elizę* w „Madame Sans-Gene" W. Sardou, *Hankę* w „Ludziach na krze" Vilema Wernera i wiele innych ról.

Droga Stanisławy Łopuszańskiej do Teatru im. S. Wyspiańskiego w Katowicach wiodła przez teatry we Wrocławiu, Poznaniu, Gdańsku, Opolu…

Próżno przywoływać wszystkie kreacje, miejsca bowiem na pewno by zabrakło, przytoczę więc może jedną z recenzji, której komentować nie trzeba: „Łopuszańska należy do aktorek, które swe interpretacje aktorskie osiągają na drodze intelektualnych rozważań. Koncepcję każdej postaci (…) poprzedza analiza rozumowa. Zimna i trzeźwa ocena tej postaci pod kątem jej zadania w sztuce, celowości umiejscowienia jej w poszczególnych scenach, jej charakterystyki i roli w zasadniczej problematyce sztuki – oto droga, na której Łopuszańska zdobywa klucz do odkrycia sposobu, w jaki ma swoją rolę odegrać. Talent Łopuszańskiej cechują charakterystyczne: wrażliwość i subtelność, nieświadoma często lecz czuła i natychmiastowa reakcja ruchu, gestu, tonu, wyrazu twarzy w momentach psychologicznych i sytuacyjnych … Wybitny talent, ciekawa inteligencja oraz doskonałe warunki sceniczne, polegające na świetnie postawionym głosie, wyrazistej dykcji i ciekawej urodzie – oto kapitał, jaki przedstawia Stanisława Łopuszańska, jako aktorka" (1950).

Tego bogactwa talentów i umiejętności aktorka nigdy nie zmarnowała, nie tylko nadal czerpie z tych zasobów, ale (choć zdawać by się mogło, że to niemożliwe) wciąż je udoskonala.

„Epizod" opolski

Kiedy Ławscy trafili do Opola, Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej, w akcie dramatycznego poszukiwania widza, balansował między repertuarem dostępnym dla mas a szkołą myślenia. Objęcie przez Krystynę Skuszankę kierownictwa artystycznego zapoczątkowało lata rozkwitu opolskiej sceny. Głucha na propagandowe dyskusje, Skuszanka postawiła na repertuar wielki, najlepszy. To za jej trzyletnich „rządów" w Opolu debiutował Józef Szajna a scenografię do spektakli przygotowywał Tadeusz Kantor. Wprawdzie ówcześni krytycy chłodno i z dystansem recenzowali inscenizacje Skuszanki i zapraszanych przez nią twórców, wiele jednak przedstawień miało wymiar niemal historyczny. Jednym z nich była „Balladyna" J. Słowackiego w reżyserii Mieczysława Górkiewicza. Tytułowa bohaterka wykreowana przez Stanisławę Łopuszańską, była kobietą z krwi i kości, targaną nie tylko rządzą władzy ale i namiętnościami. Wiele wówczas pisano o tej roli, nawet ci „chłodni" zgodnie podziwiali talent aktorki, jej wnikliwą analizę psychologiczną bohaterki, technikę deklamacji, umiejętność stopniowania emocji, wiarygodność.

Po odejściu K. Skuszanki z Opola, Ławscy zmęczeni huśtawką repertuarową otworzyli… własną scenę: „Teatr 13 Rzędów", który, jak wspomina Stanisława Łopuszańska był „stworzony z potrzeby poszukiwań nowego języka, nowych emocji i… przekory wobec tradycyjnego teatru". I tak w kawiarni Domu Związków Twórczych, gdzie mieściło się 13 rzędów krzeseł (po 10 w każdym) powstała pierwsza tego typu scena w Polsce. Zainaugurowała ją 16 maja 1958 r. premiera sztuki „Freuda teoria snów" Antoniego Cwojdzińskiego w reż. Stanisława Igara. Twórcy teatru planowali kontynuować repertuar współczesny, preferując dramaturgię XX wieku. 63 przedstawienia obejrzało 13 tys. widzów. Jesienią Jerzy Grotowski zrealizował tu autorską adaptację „Rodziny pechowców" Jerzego Krzysztonia. Założycielom sceny entuzjazmu nie zabrakło, ale swój zapał zmierzyć musieli z topniejącymi środkami finansowymi. Wiosną 1959 r. kierownictwo teatru przejęli Jerzy Grotowski i Ludwik Flaszen, którzy 6 lat później rozstali się z nieprzyjaznym im Opolem, by we Wrocławiu kontynuować działalność w Teatrze Laboratorium…

Fot. Krzysztof Lisiak

„5 razy Albertyna" M. Tramblaya, reż. Gabriel Gietzky, Teatr Śląski w Katowicach, 2010

ale to już zupełnie inna historia. Opole opuścili także Stanisława i Eugeniusz Ławscy. Tym razem na horyzoncie pojawiła się stolica Śląska.

Koncertowe role na śląskich scenach

W Katowicach, Sosnowcu, Bielsku-Białej, Chorzowie, Częstochowie… – zawsze, kiedy po długiej nieobecności aktorka pojawia się w którymś z teatrów, w którym grywała ongiś, publiczność wita ją burzliwymi oklaskami i spektakl na chwilę zamiera. Kreacji stworzonych bowiem przez Stanisławę Łopuszańską nie sposób zapomnieć. Toteż nic dziwnego, że bywalcy teatrów od Częstochowy po Bielsko-Białą zwykli mówić o Stanisławie Łopuszańskiej: *nasza.*

W katowickim teatrze aktorka świętowała jubileusz 40. lecia pracy na scenie rolą *Alicji* w „Tańcu śmierci" A. Strindberga, pięć lat później rolą *Pani Warren* w „Profesji Pani Warren" G.B. Shawa obchodziła 45. lecie. Jak tu nie wspomnieć o znakomitych kreacjach *Babci Eugenii* w „Tangu" S. Mrożka (pierwsza w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu, w reż. H. Adamka, nagrodzona Złotą Maską, druga w Teatrze Śląskim w reż. Filipa Bajona) czy poruszającej roli w „5 razy Albertyna" M. Tremblaya.

Nie można także nie wspomnieć o udziale aktorki w spektaklach chorzowskiego Teatru Rozrywki, gdzie podziwialiśmy ją w roli *Oliwii Dubuk* w tragifarsie „Szwagierki*"* M. Tremblaya, *Hrabiny Przełęskiej* w „Dyzmie – musicalu" W. Młynarskiego i W. Korcza, *Macaj Obracaj* w *„Producentach"* M. Brooksa.

W Teatrze bez Sceny stworzyła poruszająca postać *Alice* w spektaklu „Wszystkie dni, wszystkie noce" Margaret Garpe – za tę kreację otrzymała kolejną Złotą Maskę.

Zapisała się Stanisława Łopuszańska także w polskiej kinematografii. Zadebiutowała w pierwszej części cyklu filmowego „Zdaniem obrony", w 2005 wystąpiła w nagradzanym „Diable" w reżyserii Tomasza Szafrańskiego, wielu z nas pamięta *Helenę* w serialowej „Plebani", *Panią Gienię* w „Kopciuszku", *Gertrudę Zellerstein* w horrorze Grzegorza Kuczeriszki czy jako *Matkę Zygmunta* w „Kreci" Rafaela Lewandowskiego…

* * *

Często rozmawiamy przez telefon, szczególnie po premierze w którymś z teatrów. Pani Sława słucha z uwagą, cieszy się, jeśli spektakl „był dobry" i bardzo przeżywa, gdy coś nie „zaiskrzyło", bez względu czy to teatr bliski czy daleki. Ten podział dla niej nie istnieje. Teatr jest jeden. Kiedy wymawia to słowo, niemal słyszę jak z estymą artykułuje go wersalikami. Kocha wszystko, co z teatrem się wiąże. Sceny, garderoby, przymiarki a najbardziej… próby, burzę mózgów, akt tworzenia. Do każdej roli przygotowuje się niezwykle sumiennie, szpera w literaturze, szuka kontekstów, buduje postać dbając o najmniejszy szczegół. O sztuce, w której gra, musi wiedzieć wszystko, także o autorze, poprzednich inscenizacjach, szuka klucza do postaci… dyskutuje z reżyserami. Wielu z nich bardzo sobie to ceni i bywa, ulega sugestiom aktorki, trudno się dziwić, wszak wszyscy dobrze wiedzą, że Stanisława Łopuszańska… *czarowała* i *czaruje wdziękiem, inteligencją i erudycją.* Każda premiera jest wielkim przeżyciem ale i żalem, że coś się skończyło, podobno trema nigdy pani Sławy nie opuszcza, ale jak widać po spektaklach, to dobry „towarzysz" jej talentu.

Wielką radością i jak się okazało spełnieniem marzenia Jubilatki jest jej obecność na *Facebooku,* dzięki Marcie Fox przybywa na niej zdjęć, fotosów, recenzji. Po kilku dniach pojawiło już blisko 400 *lajków*, a będzie ich z pewnością znacznie więcej. Pani Sława zdradziła mi, że pracuje nad nową rolą. Obiecałam nie ujawniać tajemnicy – gdzie i w czym zobaczymy Damę Polskiej Sceny, dotrzymuję więc słowa.

Dlaczego *pani Sława*, a nie Stanisława? Sympatię do imienia: *Sława* odziedziczyłam po mojej serdecznej przyjaciółce, Marcie Kotowskiej, znakomitej aktorce dramatycznej, toruniance, która zakochała się w Sosnowcu i wierną pozostała mu nawet po śmierci. Otóż Marta wielbiła Sławę Łopuszańską, nie tylko podziwiała ją, ale z wielką pokorą i szacunkiem słuchała wszystkich jej uwag, ceniła jej erudycję, oczytanie i niezwykłą elegancję… zwykła o niej mówić: *To jest prawdziwa dama!* Panie spotkały się wielokrotnie (w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, Teatrze Śląskim, Teatrze Polskim w Bielsku-Białej).

Sława Łopuszańska cieszy się każdą recenzją i każdym znakiem pamięci. Z dziecięcą wręcz nieśmiałością, ale i ze wzruszeniem przeczytała mi (przyznaję, że z trudem to wyprosiłam) list prezesa Związku Artystów Scen Polskich Olgierda Łukaszewicza z gratulacjami z okazji jubileuszu 70. lecia pracy scenicznej, nie byłaby jednak sobą, gdyby nie skomentowała listu z niedowierzaniem… *że też pamiętali.*

Pani Sławo!

Dziękujemy za wszystkie mądrości, którymi nas Pani uraczyła, uracza i uraczać będzie, dziękujemy za chwile wzruszeń i oczarowania teatrem, życzymy zdrowia i wszelkiej pomyślności.

■

Szansa na powrót do śląskiej szkoły słuchowiska

Przed mikrofonem. Na zdjęciu artyści Teatru Polskiego Radia w Katowicach: J. Krosicki, J. Szczawiński i J. Nowak (1952)

To, co jest ukryte

JANUSZ ŁASTOWIECKI

Na tegorocznej edycji sopockiego festiwalu Dwa Teatry pojawiła się nagroda im. Ireny i Tadeusza Byrskich, która ma zadanie promować regionalny wymiar słuchowisk. Zatem grunt pod nowe, lokalne rozdanie już jest. Czekam tylko, aż horyzont śląskich realizacji radiowych się rozszerzy i dojdą nowi, żądni teatru w radiu i radia w teatrze, ludzie.

Kiedy myślę o śląskim słuchowisku, przypominam sobie w sposób szczególny trzy foniczne obrazy. Pierwszy to rozmowa pięćdziesięcioletniego Karola z dwudziestoletnim ojcem – Niemcem ze słuchowiska Feliksa Netza „Urodzony w święto zmarłych". Błąd logiczny? Otóż nie. Sytuacja wybitnie radiowa. Porozmawiać z młodszym ojcem, wejść w wąską koleinę czasoprzestrzeni – tak, aby zjawa spotkała swoją ziemską kontynuację. Drugi obraz to korytarz jednego z hospicjów w Chorzowie. Tam dzieje się radiowa wigilia, w której czas z kolei zakrzywia się, by odczarować śmierć. Mowa o słuchowisku „Stille nacht" Ingmara Villqista. Trzeci wątek, iście diabelski, to kościelny ołtarz, na którym dokonuje się spotkanie z „czarnym" głosem piekieł. To z kolei awangardowy teatr audio Krzysztofa Kiczka o tytule „Bestiariusz". Te właśnie mikrosytuacje stanowią dla mnie najważniejsze punkty śląskiej mapy głosów. Siłą tych produkcji była właśnie niebanalna gra z czasem – zarówno fabularnym, jak i percepcyjnym. I to wszystko zatopione w ciszy. To ona pomaga odbiorcom w słuchowej orientacji i umożliwia przekaz podobny do rozmowy. Netz nie bał się mówić wprost o istnieniu metafizycznej sfery radia. O ile łatwo w interpretacjach o banał, tak w tym przypadku teza katowickiego pisarza znalazła trafną, godną do zapamiętania eksplikację: „w słuchowisku nie idzie tylko o to, aby coś opowiedzieć, ważniejsze jest to, co jest *ukryte*, to, ku czemu zmierzamy, nie mówiąc o tym wprost". Nie wypada z tym dyskutować. Te słowa Netza wynikają bowiem z wieloletniej praktyki w pisaniu właśnie dla radia. Z praktyki i wrażliwości słuchowca.

Jednocześnie, te dwie wrażeniowe kategorie: czas i cisza – choć pochodzą z zupełnie innych, autorskich wrażliwości (autor jak kraj – co jeden, to obyczaj), stanowią o wyjątkowości w śląskiej topografii słuchowiska. Trzy elementy składowe. Zdarzenie, atmosfera i przeżycie. I to w atmosferze, esencji dźwiękowej struktury kryje się najistotniejsza sfera, którą Netz tak wyraźnie określił metafizyką. Radio nie może kopiować kina, schlebiać gustom czytelników. Ma tworzyć swój indywidualny przekaz, zanurzony w tym, co przeżywamy i towarzyszący temu, co można by nazwać „akcją" – a co nie jest wypowiadalne. „Jedno mi pan Bóg ofiarował. Byłam z moim mężem w godzinę, sekundę jego śmierci. Jak spadał z tego szybu" – mówi Kinga Należniok w słuchowisku o pacyfikacji „Wujka". Śmierć górnika jest tu tragedią, która stanowi tylko punkt wyjścia i prowadzi do zaklętej w ciszy tajemnicy kilku życiorysów. Utwór jak wyszeptana (głosem Kingi Preis) msza. Ta jedna sekunda powoduje o kilkudziesięciu minutach słuchowiska, jest rozwijana i okrążana z różnych stron. Prawda radia zaczyna się tam gdzie kończy się panowanie czasu, którego nie można traktować linearnie.

Słuchowisko umożliwia podróż przez czas jak w opisach Schulza. Uwypukla detal. Dlatego jest mu bliżej do poezji, jak zaznaczał Netz.

Historia słuchowiska katowickiego (nadawanego na antenie lokalnej) urywa się w kalendarzu ramówkowym w roku 2006, przy okazji premiery „Pokoju z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską" Netza. To symptomatyczne, że po tak głośnym słuchowisku następuje długa i przenikliwa pauza w eterze. Słuchowiska znikają z Radia Katowice. Pomijam prozaiczne powody tego stanu rzeczy. Tak stało się przecież w wielu rozgłośniach regionalnych.

Szybko pojawiło się pytanie: co po Netzu? Trzeba było chwilę poczekać, by pojawili się ludzie, którzy wywodząc się z regionu, przypomnieli o mocnej radiowej tradycji tego regionu. Tam, gdzie mogą, prezentują swoje spektakle i kontynuują, już poza Katowicami, radiowy teatr czasu i ciszy.

Jest Villqist, który zrealizował w radiowej „centrali" kilka swoich śląskich tekstów („Beztlenowców" czy „Echneatona i Eris"). Pojawił się Kiczek, który zdążył przed śmiercią Netza złożyć kilka jego utworów poetyckich i prozatorskich w radiową całość i zaprezentować w tak zwanym „offie" – w nowym, pięciokanałowym formacie z wykorzystaniem akustycznych plenerów Bazyliki św. Ludwika. Zupełnie inne światy radia. Chronometryczny, wyciszony Villqist, który pod dialogami swoich słuchowisk opowiada o świecie ze szkła. Zza radiowej szyby mówią postaci skrzywdzone, dotknięte jakimś nowym światłem, jak tytułowy bohater z „Nocy Helvera". Poprzez kontakt z nasłuchującym, zamknięte w radiowym pudełku postaci mogą poczuć się choć poprzez moment wolne („Kompozycja w słońcu") i chwilę pooddychać (koncertowi Marek Kalita i Jacek Poniedziałek w „Beztlenowcach"). Jednocześnie, radio zamknięte w szpitalnych, wilgotnych szpitalach staje się miejscem ucieczki, tak jak dzieje się to w „Echneatonie i Eris", a więc radiowej legendzie o katowickim malarzu, Andrzeju Urbanowiczu. Artysta, przykuty do łoża śmierci przez „pikającą" aparaturę zostaje poderwany do lotu poprzez monolog boskiej Eris. W tym mitologicznym świecie Villqist nie gubi jednak tego, co śląskie, co korzenne. Znajduje sposób, aby opowiedzieć o tym miejscu w sposób uniwersalny. Myślę, że ten trop jest potrzebny w budowaniu nowoczesnej marki lokalnego radia, świadomego swoich znaczeń na ogólnopolskiej arenie.

Redakcja literacka (1977), od lewej: Mieczysław Brzoza, Aleksander Widera, Jerzy Bilewicz, Leopold Kurek, Bogdan Widera, Anna Sekudewicz, Andrzej Babuchowski (kierownik redakcji). Nieobecna: Krystyna Broll-Jarecka

Z drugiej strony jest Kiczek, zbuntowany, zdolny do przekraczania poprawnych granic w słuchowisku, ryzykant i wielbiciel potencjometrów. Zachował dla pamięci potomnych muzykę Józefa Skrzeka i połączył ją z efektami chóralno-blackmetalowymi (uszy słuchacza trenują kompozycje zespołu Thaw). „Bestiariusz", jak i wcześniejszy „Grymas O", potwierdzają synkretyczne zapatrywania Kiczka. Tam, gdzie dokumentalny *soundscape* łączy się z narracją, zaczyna się wyobraźnia tego twórcy. W tej awangardowej optyce widzę szansę na nawiązanie do coraz popularniejszego trendu w europejskich produkcjach radiowych, opierających się na teatrze naturalnym, gdzie postaciami słuchowiska mogą się stać przypadkowi przechodnie. Liczę, że Kiczek wyłowi dla ogólnopolskiego słuchacza regionalną rytmikę, oryginalne ścieżki muzyczne i nierozpoznawalne jeszcze głosy aktorskie, a szczególnie wykorzysta potencjał Dariusza Chojnackiego, który w „Bestiariuszu" unosi się ponad słuchowisko i staje obok siebie, niczym duch z Netza. Jak zrozumieć ciszę, o której pisałem na początku, gdy mamy do czynienia z reżyserem tak muzycznie szpikującym swoje nagrania? Wypadałoby wrócić do tekstów Zbigniewa Herberta, który pisał, że krzyk też dotyka ciszy, poprzez ochrypnięcie. Villqist i Kiczek dają więc światło na to, że historia śląskiej idei teatru radiowego będzie zapisywana dalej.

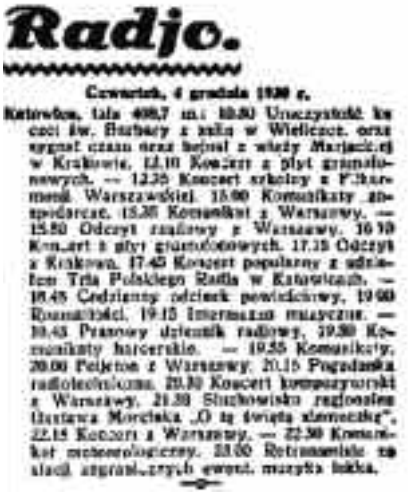

Radjo.

Czwartek, 4 grudnia 1930 r.

Katowice, fala 408,7 m.: 10.30 Uroczystość ku czci św. Barbary z kaplicy w Wieliczce, oraz sygnał czasu oraz hejnał z wieży Mariackiej w Krakowie. 12.10 Koncert z płyt gramofonowych. — 12.35 Koncert szkoły z Filharmonii Warszawskiej. 15.00 Komunikaty gospodarcze. 15.35 Komunikat z Warszawy. — 15.50 Odczyt rolniczy z Warszawy. 16.10 Koncert z płyt gramofonowych. 17.35 Odczyt z Krakowa. 17.45 Koncert popularny z udziałem Trio Polskiego Radia w Katowicach. — 18.45 Codzienny odcinek powieściowy. 19.00 Rozmaitości. 19.15 Intermezzo muzyczne. — 19.45 Prasowy dziennik radiowy. 19.50 Komunikaty harcerskie. — 19.55 Komunikaty. 20.00 Feljeton z Warszawy. 20.15 Pogadanka radiotechniczna. 20.30 Koncert kompozytorski z Warszawy. 21.30 Słuchowisko regionalne Gustawa Morcinka „O tę świętą ziemeczkę". 22.15 Koncert z Warszawy. — 22.30 Komunikat meteorologiczny. 22.35 Retransmisja ze sfali zgromadzonych gwoźd. muzyka lekka.

Zapowiedź słuchowiska regionalnego: „O tę świętą ziemeczkę" Gustawa Morcinka

Rysują się nowe szlaki geografii śląskiego słuchowiska. Gatunek ten przechodzi dziś znaczącą transformację. Musi dostosować się do reguł, jakie wyznaczają mu „nowe media". Promocja tego gatunku wymaga wyjścia do widowni, a niszowe inicjatywy, przesłuchania i emisje, wydawnictwa płytowe i internetowe akcje to przyszłość radiowego teatru. Nie znaczy to jednak, że brak słuchowiska na antenie radiowej jest czymś nieodwracalnym. Wzmożona aktywność takich ośrodków jak Kraków, Olsztyn, Rzeszów, Koszalin czy Gdańsk pokazuje, że nawrót do tradycji lokalnych scen w eterze jest możliwa. Pojawia się coś na kształt mody na sztukę radiową z regionalnym emblematem. Na tegorocznej edycji sopockiego festiwalu Dwa Teatry pojawiła się nagroda im. Ireny i Tadeusza Byrskich, która ma zadanie promować regionalny wymiar słuchowisk. Zatem grunt pod nowe, lokalne rozdanie już jest. Czekam tylko, aż horyzont śląskich realizacji radiowych się rozszerzy i dojdą nowi, żądni teatru w radiu i radia w teatrze, ludzie. W dobie ogłupiających komunikatów wizualnych mówienie o tym, co „ukryte", a o czym tak przenikliwie mówił Netz, jest otwarta. Potrzebujemy tych, którzy do nas mówią właśnie tak. Jak syn pytający o trzydzieści lat młodszego ojca: „Tato, jak żyć". ■

Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie

Fot. Piotr Dłubak

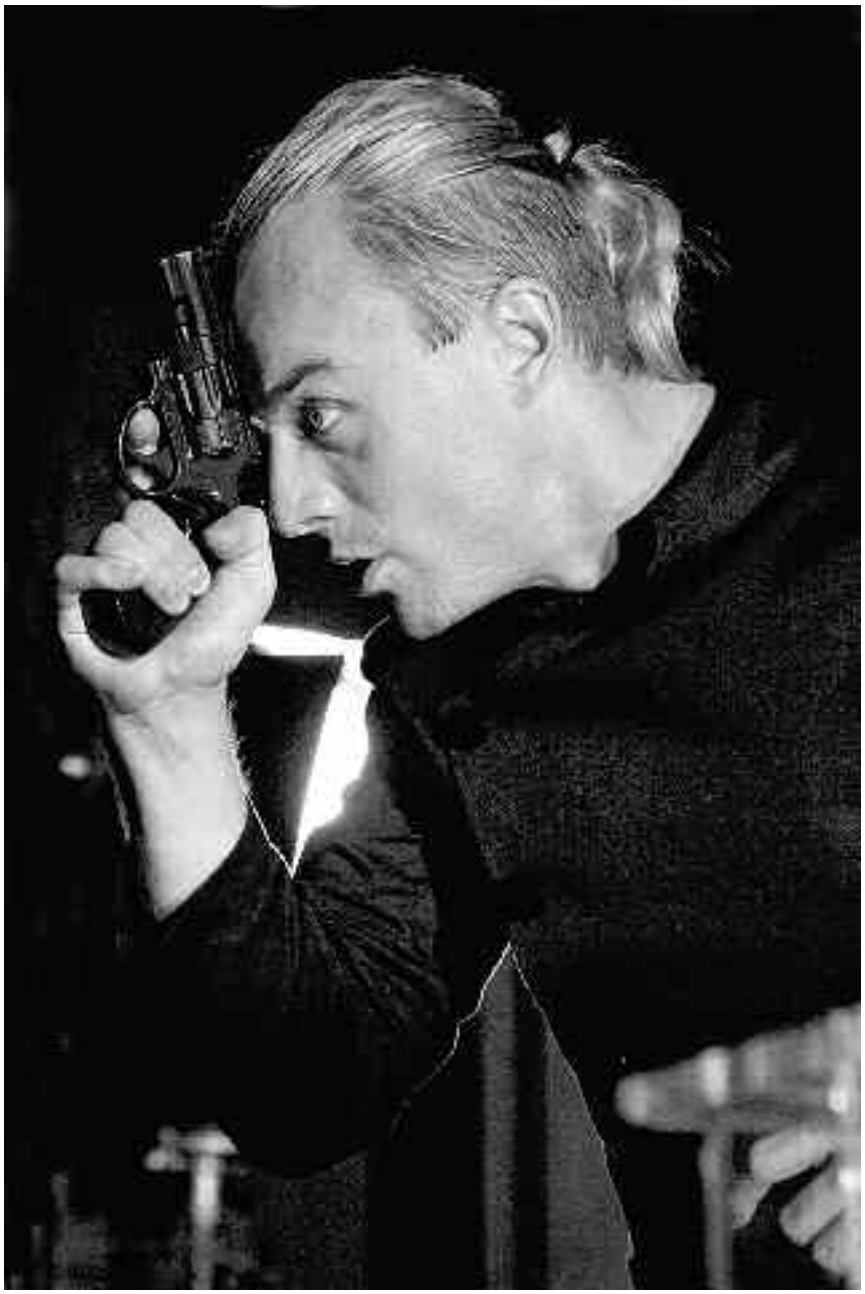

„Hamlet" Williama Szekspira, reżyseria: A. Hübner-Ochodlo, premiera wrzesień 2014 r., w tytułowej roli Maciej Półtorak.

JOANNA WAROŃSKA

Konsumpcja czy partnerstwo?

Co jest główną wartością w teatrze? Aktor, publiczność, tekst, a może współczesne dyskursy np. polityczny czy społeczny, w których artyści próbują zaznaczyć swoje stanowisko, podejmując się ich inicjowania i animowania. Odpowiedź dookreśla odmianę rodzajową teatru, model ku któremu konkretna placówka zdąża, m.in. laboratorium, buda jarmarczna, świątynia, trybuna. Oczywiście, wskazane przykłady to jedynie typy idealne, które w realizacjach łączą się ze sobą, tworząc rozmaite konstelacje, ze względu na procentowy udział każdego z czynników.

Najtrudniej chyba przyznać się do publiczności. Buda jarmarczna przywodzi bowiem na myśl negatywne konotacje, zbytnią emocjonalność, nadmiar rozrywki łatwej i nieco przejaskrawionej. Coś, czego intelektualiści chętnie by się wyzbyli. Dowartościowanie publiczności w teatrze utożsamiane jest z jej panoszeniem się, które nieuchronnie prowadzić musi, zdaniem krytyki, do uproszczenia sztuki, która jednak często potrafi zarobić na siebie, a nawet na te „bardziej ambitne" pozycje.

A jednak u progu kolejnego sezonu teatralnego, tuż po zatwierdzeniu na najbliższe trzy lata na stanowisku dyrektora Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, Robert Dorosławski w rozmowie z dziennikarką „Gazety Wyborczej" wyznał, że teatr robi się przede wszystkim dla widza, także w teatrze państwowym. Po prostu! A publiczność częstochowskiego teatru, jej oczekiwania oraz gusty Dorosławski zna jak mało kto. Wkrótce będzie przecież najdłużej pełniącym funkcję dyrektora w naszym teatrze – na razie wyprzedzają go – Edmund Kron (1951–1962) i Andrzej Uramowicz (1966–1976) – a do jego stażu należy doliczyć również lata, gdy pełnił funkcję zastępcy dyrektora, Marka Perepeczki, a wcześniej kierownika literackiego oraz kierownika działu promocji i sprzedaży za Henryka Talara. W sumie około 20 lat. To naprawdę dużo.

Repertuary ostatnich sezonów Robert Dorosławski wraz z dyrektorem artystycznym, Piotrem Machalicą, budują bardzo rozważnie. Kilka premier w sezonie (dla porównania Kazimierz Brodzikowski, przejmując teatr po Iwo Gallu w 1935 roku, zobowiązywał się do dwóch premier miesięcznie, ale po pierwsze nie w liczbie siła, a po drugie teatr częstochowski podawany był wówczas jako negatywny przykład traktowania aktorów) odpowiada na zapotrzebowanie napływające z różnych stron – jest więc niemal obowiązkowa bajka dla dzieci, jakaś komedia albo farsa na czas karnawałowy, czasami połączona z motywami znanymi z *Opowieści wigilijnej* Charlesa Dickensa, czasami jakiś klasyk, ale w odnowionej

inscenizacji, jak *Hamlet* Williama Szekspira w reżyserii André Hübnera-Ochodlo (2014) czy wcześniej *Wieczór Trzech Króli* (reż. Gennady Trostyanieckiy, 2011), znacznie rzadziej albo prawie wcale teksty niemal interwencyjne, odpowiadające wydarzeniom znanym z mediów – taka była chyba *Znikomość*, wstrząsający monodram Macieja Półtoraka, wyreżyserowany przez André Hübnera-Ochodlo (2011).

Poza Szekspirem wśród klasyki w ostatnich latach pojawiła się adaptacja Christophera Hamptona *Niebezpiecznych związków* Pierre'a Choderlosa de Laclosa w reżyserii Ingmara Villqista. Natomiast z polskiej dramaturgii mogliśmy zobaczyć wyłącznie teksty XX-wieczne, począwszy od *Moralności pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej w reżyserii Eweliny Pietrowiak (2014) i dwa spektakle wg tekstów z dwudziestolecia międzywojennego: *Ferdydurke* w reżyserii Bogdana Michalika (2010) i *Hemar w chmurach* w reżyserii Piotra Machalicy i Roberta Dorosławskiego (2012).

W repertuarze dominują więc teksty współczesne, często przynajmniej fragmentami grane w sposób komediowy, ale bez zbyt jaskrawej aktualizacji. Najczęściej jest to opowieść o jakimś odrębnym, ale interesującym świecie, więc widz czuje się bezpiecznie i z pozycji swojego fotela może podziwiać talent i pomysły artystów… A ponieważ w zespole nie brak osób dobrze śpiewających, tu można by wymienić wiele nazwisk, począwszy od Piotra Machalicy, pojawiają się więc również widowiska muzyczne albo przedstawienia z piosenkami. Aktorzy śpiewają, muzykują, a także komponują – Sebastian Banaszczyk (Bionulor) tworzy muzykę elektroniczną, wykorzystaną m.in. w *Koriolanie* Szekspira w Teatrze im. Zygmunta Hübnera w Warszawie przez Gabriela Gietzkiego (2011) oraz w naszym teatrze w sztuce Yasminy Rezy *Życie: trzy wersje* przez Piotra Machalicę (2015).

Sztuki wystawione w ostatnich latach nie są uzależnione wyłącznie od teatralnych mód. Pojawiają się prapremiery – *Znikomość*, *N@pisz do mnie*, albo teksty już trochę zapomniane w teatrze, jak *Śmierć* Woody'ego Allena wcześniej wystawiana w Teatrze Telewizji w 1991 roku. Można powiedzieć, że to praktyka znana w naszym teatrze od dyrekcji Iwo Galla (1932–1935). Ten doskonały scenograf, ale przede wszystkim człowiek całym sercem zaangażowany w sprawy teatru i kultury przygotował po raz pierwszy w Polsce inscenizację sztuk Józefa Wasowskiego, Antoniego Czajkowskiego, Jerzego Zawieyskiego, Ewy Szelburg-Zarembiny oraz Gustawa Beylina. Niektóre z tych nazwisk niewiele dziś mówią nawet miłośnikom teatru. Również po II wojnie

Fot. Piotr Dłubak

Życie: trzy wersje Y. Rezy, reż. Piotr Machalica (2015).

kontynuowano tradycję prapremier; tu można wymienić m.in. *Załogę* Zdzisława Skowrońskiego i Józefa Słotwińskiego (1950), *Tai Yang budzi się* Friedricha Wolfa (1950), *Niebezpieczny wiek* Bohuslava Březovsky'ego (1962), *Dzień oczyszczenia* Jerzego Przeździeckiego (1962), *Kanada* Jana Kurczaba (1963), *Post u ludożerców* Joanny Gorczyckiej (1963), *Dymy i ludzie* Jerzego Kiersta (1963), *Garść piasku* Jerzego Przeździeckiego (1963), *Stworzenie świata* Izydora Stoka (1964; polska prapremiera), *Akt oskarżenia* Juliana Kawalca i Ryszarda Smożewskiego (1964), *Medeę* Jana Parandowskiego (1964), *Naszego przyjaciela Kain* Jerzego Przeździeckiego (1965), *Psalmy* Macieja Zenona Bordowicza (1965), *Antykwariat przy ulicy Barbarossy* Jana Pierzchały (1965), *Zamek* Ivana Klimy (1966), *Czarnego Anioła* Jana Pierzchały (1966), *Krokodyla* i *Męża pod łóżkiem* Fiodora Dostojewskiego (1965), a z ostatnich propozycji także monodram Bartosza Kopcia *...do ojca* (2007) na podstawie *Listów do ojca* Franza Kafki (scenariusz i reżyseria Gabriel Gietzky).

Oczywiście, w częstochowskim teatrze pojawiają się również spektakle niemal pisane na scenie, jak np. *Tango FM*, gdy opowieści między poszczególnymi numerami wokalnymi mogą być każdorazowo modyfikowane.

Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie kultywuje swoją historię. Świętuje kolejne rocznice i jubileusze aktorów tworzących zespół, przypomina ważne osobowości z przeszłości (w 2012 roku wraz z Akademią im. Jana Długosza w Częstochowie upominał się o pamięć o Iwo Gallu), dba o przypominanie tych, którzy odeszli, m.in. Bonifacego Dymarczyka, Andrzeja Iwińskiego, Marka Perepeczkę czy Adama Hanuszkiewicza (koncert przygotowany wraz z Teatrem Nowym w Warszawie). W ten sposób aktywnie podejmuje dziedzictwo pierwszego stałego zespołu, stworzonego w międzywojniu przez Jana Otrembskiego. Pierwsze pokazy odbywały się jeszcze w sali przy ul. Strażackiej, (teatr Rozmaitości rozpoczął działalność *Ślubami panieńskimi* Aleksandra Fredry 15 marca 1927, a sztukę tę później, z okazji 75-lecia zespołu przygotował Andrzej Łapicki), do nowego budynku, na rogu ulic Kilińskiego i Jasnogórskiej, zaprojektowanego przez warszawskich architektów, inż. Józefa Krupę i Teodora Łapińskiego, teatr wprowadził się w 1930 roku (salę kameralną oddano do użytku 15 lutego). Prace budowlane rozpoczęły się w 1928 roku, a ukończenie budowy zapowiadano na 1 listopada 1929. Nie obyło się bez trudności. W 1933 zabrakło funduszy na wykończenie budynku. Ostatecznie gmach oddano 16 września 1938. Od kilku lat powraca temat remontu, choć jego rozmiar i kształt wciąż są dyskutowane.

Historia częstochowskiego teatru jest niezwykle ciekawa, ukazuje sposób funkcjonowania tej instytucji w prowincjonalnym mieście, jest pełna drobnych sukcesów i porażek, osobowości o sławie ogólnopolskiej, jak Halina i Iwo Gallowie czy kolejny dekorator Feliks Krassowski, także przecież kojarzony z Redutą Juliusza Osterwy i Mieczysława Limanowskiego, a wcześniej z kijowskim teatrem „Studia" Stanisławy Wysockiej. W sezonie 1936/1937 opracował dla naszej sceny scenografię dla wielu spektakli, m.in. *Firma* Hemara, (reż. Jan Bonecki), *Klub kawalerów* Michała Bałuckiego, *Zemstę* Aleksandra Fredry czy *Serce na wolności* Stefana Kiedrzyńskiego (wszystkie w reżyserii Kazimierza Vorbrodta).

Poza pojawiającymi się niemal od początku gwiazdami teatralnymi (dekoratorami, a potem aktorami i reżyserami, po II wojnie to m.in. Tacjanna Wysocka, Karol Borowski, Zbigniew Kopalko, Józef Szajna, Feliks Falk, Wojciech Pokora, Andrzej Łapicki, Ignacy Gogolewski czy Anna Badora, dyrektor teatru w Grazu, która przygotowała jeden z czytanych dramatów) niemal od samego początku ważna była potrzeba zbudowania wokół teatru grupy

współpracowników – dramaturgów i scenarzystów, muzyków, malarzy…

Jak na razie najsłabiej przedstawia się udział częstochowian w budowaniu repertuaru teatralnego. W początkach działalności stałego zespołu kilkakrotnie sięgnięto po teksty Jana Barylskiego, znanego dziennikarza i felietonisty, urodzonego w Radomsku w 1890 roku. Były to komedie: *Miłość XX wieku* (marzec 1929 roku) oraz *Fatalna wizja* (czerwiec 1931). Po II wojnie wystawiono także: *Pamiętnik narkomanki* wg prozy Barbary Rosiek z piosenkami Edwarda Stachury (1996) oraz teksty Łukasza Wylężałka, wyreżyserowane przez autora – *Alibi* (2007) i *Nowonarodzony. Moje wigilie poemat dygresyjny* (2007). W czasie jubileuszu 50-lecia pracy artystycznej, obchodzonego na scenie teatru 19 września tego roku, Henryk Talar wyraził ubolewanie, że nie wystawił żadnego z utworów Andrzeja Kalinina.

Oczywiście na scenie nie mogło zabraknąć *Obrony Częstochowy* Ewy Bośniackiej. Przygotował ją Ryszard Krzyszycha w 1991 roku, a wcześniej, jeszcze w 1905 roku, dramat został wystawiony przez objazdowy zespół F. Felińskiego.

Z teatrem współpracują natomiast częstochowscy plastycy; po II wojnie scenografię tworzyli m.in. Władysław Wagner (do 1990 roku), Stanisław Kulczyk, ale sporadycznie również Marian Panek (*Edyp królem*, reż. Wojciech Kopciński, 1979) czy Mariusz Pala (absolwent częstochowskiego plastyka, uczeń Krystyny Zachwatowicz), m. in. prace nad *Alibi* Wylężałka (2007) oraz *Zabawy na podwórku* w reż. Katarzyny Deszcz (2007). Poza tym miejscowi artyści projektują też afisze teatralne, m.in. Magda Kmieć, Arek Zając, Jacek Pałucha, Szymon Parafiniak, Jacek Łydżba czy Jacek Sztuka, i przygotowują wystawy prac malarskich i fotografii m.in. Ryszarda Osadczego czy *Ojcowizna* Piotra Dłubaka (w czasie premiery monodramu Bartosza Kopcia).

W działalność teatru włączyło się również środowisko muzyków. Od czasów międzywojnia do 1972 roku z teatrem współpracował Zygfryd Jałowiecki – komponował, pełnił funkcję kierownika muzycznego, ale zdarzało mu się także zagrać role muzyków. W ostatnich latach poza zespołem, który towarzyszy aktorom w czasie przedstawień, w teatrze gościł Janusz „Yanina" Iwański, który w latach 1996–2007 przygotował muzykę, m.in. do *Lotu nad kukułczym gniazdem* (1996), *Panny Julii* (2001, 2003), *Lęków porannych* (2005) oraz prapremier Łukasza Wylężałka, Siegiej Wowkotrub (kierownik muzyczny spektaklu *Pod niebem Paryża* 2005), a Tomasz Kmiecik współpracował z teatrem regularnie w latach 1983–2002.

Obecnie dyrektorzy zapowiadają także współpracę z absolwentami szkół teatralnych wywodzącymi się z Częstochowy i okolic. Takie działania zostały już podjęte. Na scenie pojawili się do tej pory: uznany już aktor Sambor Czarnota (*Trener życia*), Hanna Zbyryt-Giewont (*Przyjazne dusze*), Ewelina Rucińska (*Moralność pani Dulskiej*), Martyna Kowalik w *Hamlecie*, a w *Starych dekoracjach*, pierwszej premierze sezonu 2015/2016, Mateusz Trzmiel.

Historia częstochowskiego teatru wciąż stanowi ciekawy temat dla badaczy, oferując wiele tematów niedopracowanych lub w ogóle niepodjętych. To nie tylko potrzeba rekonstruowania poszczególnych spektakli, ale także wskazania osób zaangażowanych w teatr, np. kierowników literackich, wśród których warto wymienić m.in. Wilhelma Szewczyka w latach dyrektorowania Edmunda Krona czy Jana Pierzchałę (1964–1966).

Zastanawiając się nad sposobem budowania przez częstochowski teatr upodobań publiczności, nie można pominąć szeroko rozumianych działań edukacyjnych – Klub Belfra, czytanie współczesnego dramatu, Salon poezji, Salonik poezji dla dzieci, spektakle kierowane do różnych grup – uczniów, seniorów, które są poprzedzone wykładem lub zakończone rozmową z widzami.

Ważną inicjatywą jest również Przegląd Przedstawień Istotnych „Przez dotyk", zainicjowany przez Roberta Dorosławskiego i Piotra Machalicę. Jest to okazja, by poznać wybrane przez dyrekcję spektakle przygotowane w Polsce, a czasami także za granicą – kilka lat temu przyjechał Schaupielhaus z Grazu z *Wertherem*.

Wskazane działania potwierdzają, jak wielką wartością jest dla częstochowskiego teatru publiczność, publiczność rozumiana nie tylko jako konsument gotowych produktów, konkretnych spektakli wystawianych na sprzedaż, ale również jako partner inicjatyw oraz podmiot tworzący teatralną atmosferę miasta. ■

---

m:k

W muzeach nie wszystkie eksponaty można zawsze oglądać. Postanowiliśmy pokazywać niektóre na naszych łamach. Dziś pocztówka ze zbiorów Muzeum Historii Katowic.

Niedawno stary piękny katowicki dworzec zakupiła firma, która obiecała przywrócić mu dawną świetność. Ostatnio mogliśmy zobaczyć intensywne prace od ul. Woajewódzkiej. Więc może ten zabytkowy obiekt będzie znów wyglądał tak jak na pocztówce ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Fot. Tomasz Zakrzewski

Najwspanialszy chyba spektakl w całym 70-leciu Opery Śląskiej – „Don Carlos" Verdiego (reżyseria i scenografia Waldemara Zawodzińskiego, 2011 r.)

Wielki jubileusz nie Wielkiego Teatru

MAREK BRZEŹNIAK

Do bytomskiej Opery zacząłem chodzić wcześniej niż do szkoły. Mieszkaliśmy niedaleko, a dziadek był perkusistą orkiestry operowej. I zabierał wnuka.

Najwidoczniej pochłaniała mnie ta sztuka, skoro już jako dzieciak byłem bardzo zdumiony reakcją kuzyna, którego podczas wizyty w operze, oczywiście razem z rodzicami, zdecydowanie więcej niż to, co się dzieje na scenie, fascynowały światełka na dole schodów, zabezpieczające przed potknięciem kogoś, kto nagle chciał, bądź musiał wyjść w trakcie przedstawienia.

Do I klasy mama zapisała mnie jednak do najbliższej domu (chyba była rejonizacja) szkoły na placu Sikorskiego, do której chodziłem całe dwa tygodnie. Może nie tyle dziadek, co jego koledzy zaprotestowali wówczas: – *Jak to, wnuk muzyka chodzi do „zwykłej" szkoły, kiedy obok znajduje się ta „nasza", muzyczna.* Dziadek zabrał mnie wówczas do dyrektora tejże, a ten, aby sprawdzić mą muzykalność zażądał, abym odśpiewał jakąś piosenkę, po czym zostałem… przyjęty, ku swojej zresztą niechęci. Chyba obydwóch panów połączyła „nić muzyczna", bo nie sądzę, by zadecydowało o tym moje wykonanie dość prymitywnej i łatwiutkiej piosenki ludowej.

Obok zaskoczenia zachwytem kuzyna światełkami przy schodach widowni, zapamiętałem jeszcze jedno zdziwienie, tym razem nie własne, ale kolegi z klasy. Gdy opowiadałem mu przedstawienie „Toski", opery, której pierwszy akt rozgrywa się w kościele otwierał oczy ze zdumienia: – *Jak to, na scenie pokazano kościół?* Musiało to być przed 1956 rokiem, bo po Październiku już by się zapewne tak nie dziwił. A może zaraz po Październiku, skoro druga bytomska inscenizacja „Toski" miała swoją premierę 28 października 1956 roku, a śpiewali w niej Bogdan Paprocki *Cavaradossiego* i Andrzej Hiolski *barona Szarpię*. Nic dziwnego, że wersja ta osiągnęła 273 przedstawień.

Właśnie z powodu zaistnienia w Bytomiu Opery trafiłem tu ze Lwowa, w którym zdążono mnie jeszcze ochrzcić. Dzieje Opery Śląskiej dokumentują trzy wydawnictwa jubileuszowe: na 10-lecie, 40-lecie i 55-lecie. Brak aktualnego podsumowania ostatnich 15 sezonów jest coraz bardziej odczuwalny. Ta pierwsza książka w ogóle pomija fakt, że Opera, która błyskawicznie po powstaniu osiągnęła niewiarygodnie wysoki, jak na ówczesne możliwości poziom, mogła to zdziałać głównie dzięki „desantowi" polskich pracowników ówczesnej, już ukraińskiej, Opery Lwowskiej. Trudno się jednak dziwić, skoro rzecz została opublikowana w… Stalinogrodzie.

30 lat później Tadeusz Kijonka, kierownik literacki Opery zamówił u mnie do drugiego wydawnictwa tekst o początkach Opery. Tam już nie miałem żadnych ograniczeń, by pisać o owej niepożądanej przez jej uczestników tzw. repatriacji. Był to rzeczywiście ostatni moment. Co prawda od lat 80. ukazało się kilka bardzo cennych prac o dziejach polskiego teatru operowego we Lwowie, ale pisanych już przez historyków. A ja trafiłem jeszcze na autentycznych świadków tamtej „przeprowadzki". Najwięcej informacji przekazał mi wtedy Tadeusz Bursztynowicz, dyrektor administracyjny Opery do 1949 roku, prywatnie mąż Jadwigi Lachetówny, jednej z dwu pierwszych odtwórczyń roli Halki – samą premierę, 14 czerwca 1945 roku w Katowicach, zanim jeszcze przekazano Operze budynek bytomskiego, poniemieckiego teatru, śpiewała Wiktoria Calma. Gdy mój tekst został opublikowany, Tadeusz Bursztynowicz już nie żył.

Nawet gdyby mnie dziadek nie zabierał do Opery i tak obok jej gmachu codziennie przechodziłem do szkoły. Stał się jakby moim drugim domem. Ten prawdziwy – kamienica przy ul. Karola Miarki 20, też właściwie był „operowy". Ówczesne władze miasta przydzieliły ją Operze, a ta zasiedliła budynek swoimi pracownikami, głównie tymi bez mieszkań, a więc lwowiakami. Nad nami mieszkało małżeństwo chórzystów – Wenzowie, a nad nimi także chórzyści – Harasymowiczowie. Śpiew operowy z otwartych w lecie okien słychać było codziennie.

Samego Didura, założyciela śląskiej sceny nie mogłem zapamiętać, skoro zmarł gdy miałem pół roku. Umarł w trakcie lekcji śpiewu w katowickim konserwatorium. Zaskakujące, że ten sposób „odchodzenia" w pełni sił, podczas pracy, powtórzy po latach długoletni i nieodżałowany dyrektor bytomskiej placówki Napoleon Siess, który zasłabnie podczas próby scenicznej w 1986 roku. Pracując nad wspomnianym wyżej tekstem o początkach Opery Śląskiej usłyszałem od Olgi Szamborowskiej,

pierwszej powojennej *Zofii* w „Halce", wzruszające wspomnienie, jak podczas któregoś z przedstawień opery Moniuszki mistrz podszedł do niej i Hiolskiego za kulisami, objął oboje i patrząc na śpiewających Lachetównę i Finzego powiedział – *Jak w dużym, prawdziwym teatrze.*

Artysta, który przez ćwierć wieku śpiewał w nowojorskiej Metropolitan, występował na scenach czołowych i największych europejskich i amerykańskich teatrów operowych zestawił z nimi malutki, jakby nie było, budynek bytomski. Wierzę, że poziom tej placówki był wtedy bardzo wysoki, rzeczywiście europejski. Ale wielkość była przecież ta sama, co dziś, choć na tle zniszczonego po wojnie kraju gmach mógł się wydawać bardziej reprezentacyjny.

Witold Rudziński: Janko muzykant. Prapremierowa realizacja tej nowej opery polskiego kompozytora zaliczana jest do najpoważniejszych sukcesów artystycznych Opery Śląskiej. Na zdjęciu jedna ze scen tego aktu. Po lewej: Wanda Wieczyńska (Janko) o Olga Didur (Matka), w głębi ludowa grupa baletowa. Oryginalny podpis z książki jubileuszowej 10-lecia Opery, wydanej w Stalinogrodzie

Od 17 lat szczycimy się piękną siedzibą Biblioteki Śląskiej, od roku jedną z najwspanialszych na świecie sal koncertowych (NOSPR), a jeśli chodzi o Operę, wciąż bez zmian. Mimo kilkukrotnych, jak pamiętam, przymiarek do tego tematu, które jednak zawsze kończyły się na zapowiedziach prasowych. A bywają takie spektakle, kiedy wszyscy chcą na nich być, konkretnie na nich, a już nie na powtórkach. Tak, jak w 1990 r., kiedy wszyscy chcieli zobaczyć podczas prapremiery opery francuskiego kompozytora Dominique'a Probsta „Maksymilian Kolbe", autora libretta tejże, wielkiego Eugene'a Ionesco. Ostatecznie nie przyjechał. Pomińmy już fakt, że dla tak szczupłej widowni nie za bardzo kalkuluje się ściąganie gwiazd z La Scali, czy z Metropolitan.

Przelatuję z jednej epoki w drugą, ale nestorowi chyba wolno. Didura, jak rzekłem nie pamiętam, ale Włodzimierza Ormickiego, dyrektora artystycznego w latach 1953–1963, już tak. Podobnie jak ekscentrycznego reżysera Bolesława Fotygo-Folańskiego, zawsze w berecie i w pelerynie, z monoklem w oku i fajeczką w zębach, jakby „przeniesionego" na górniczy Śląsk lat 50. z młodopolskiego Krakowa przełomu XIX i XX wieku. Swego czasu Bogdan Paprocki opowiadał mi anegdotę, niekoniecznie dla siebie przychylną, co zresztą stanowiło jej dodatkowy urok. Otóż Fotygo-Folański chciał, by na premierze „Fra Diavola" Aubera (1953 r.) tytułową rolę śpiewał Sławomir Żerdzicki, ale Włodzimierz Ormicki wybrał Paprockiego. I wtedy Folański przebrany za rycerza próbował widzów „zawrócić" halabardą. – *Nie idźcie na dzisiejsze przedstawienie* – które przecież sam reżyserował – *nie warto. O, jutro to będzie dobry spektakl.*

Z czasów Ormickiego i swego dzieciństwa zapamiętałem opery, których już nigdy potem nie było mi dane oglądać. „Rusałkę" Aleksandra Dargomyżskiego (jej polska premiera miała miejsce w 1951 r.) chyba wystawioną w naszym kraju tylko ten jeden raz. Poza Rosją na świecie przyćmiła ją imienniczka – „Rusałka" Dvořáka. Ale dobrze przynajmniej, że istnieją nagrania, oczywiście rosyjskie. Nagrań natomiast nie doczekała się inna opera, także rozgrywająca się w młynie i też wystawiona w Bytomiu po raz pierwszy – „Zaczarowane koło" Jerzego Gablenza (prapremiera w 1955 r.). Wspomnę tu o jeszcze jednej prapremierze „Janku muzykancie" Witolda Rudzińskiego (1953 r.), chyba najlepiej adresowanej do ośmioletniego melomana, który cierpień miłosnych bohaterów innych oper za bardzo nie rozumiał.

Dyrekcja reżysera Bolesława Jankowskiego była wprawdzie krótka (1967–1971), ale istotna. Nie tylko dała nam polską prapremierę arcydzieła Verdiego „Falstaff" (75 lat po mediolańskiej!), ale wprowadziła na bytomską scenę utwory Richarda Straussa, jego dwie opery najbardziej zdominowane rytmem walca: „Arabellę" (też polska prapremiera) i „Kawalera srebrnej róży". Za kadencji Jankowskiego odbyła się też prapremiera „Magnusa" Józefa Świdra z tekstem Tadeusza Kijanki, długoletniego naczelnego miesięcznika „Śląsk". Piękno tej muzyki objawił nam przed rokiem na tzw. Festiwalu Otwarcia (chodzi o otwarcie nowej siedziby NOSPR) Piotr Beczała wykonując sławiącą śląską ziemię arię *Zbigniewa*.

W 1971 roku rozpoczęła się kadencja dyrektorska Napoleona Siessa, długoletnia, przerwana jego wspomnianą śmiercią w 1986 roku i owocna. Owocna oczywiście jak na ówczesne możliwości, kiedy do dwóch Teatrów Wielkich w Warszawie i w Poznaniu doszedł trzeci – w Łodzi. I ten Tercet Teatrów Wielkich skutecznie ściągał talenty z mniejszych, w tym także bytomskiego.

Podczas kilkunastu lat szefowanie Operze Śląskiej przez Napoleona Siessa byłem chyba najmocniej związany z nią zawodowo, jako publicysta i recenzent „Trybuny Robotniczej", choć pierwsze recenzje – m.in. z otwierającej Siessowy rozdział premiery „Fausta" Gounoda w 1971 roku pisałem jeszcze do „Życia Bytomskiego". Gdybym miał wymienić najważniejsze tytuły wystawione przez Napoleona Siessa tym razem nie sięgałbym do prawykonań, ale do „odkurzeń" dwu włoskich oper stylistycznie zbliżonych do siebie – wszak wczesny Verdi to prawie jak *bel canto*. Rzecz dotyczy „Normy" Belliniego (1973) i oczywiście „Nabucca" Verdiego (równe 10 lat później, w 1983).

W „Normie" śpiewały dwie ówczesne primadonny – Ewa Karaśkiewicz rolę tytułową i Stanisława Marciniak *Adalgizę*. W kolejnych przedstawieniach Stanisława Marciniak kreowała także *Normę*. Dziś można jedynie żałować, że jej wspaniałego głosu nie utrwalono w liczących się i dostępnych dla odbiorców nagraniach. Ewa Karaśkiewicz, która ustępowała Stanisławie Marciniak głosem, „przebijała" ją aktorsko, zasługując raczej na nagrania wideo, lub DVD. Kiedy zapytałem niedawno reżysera i choreografa Henryka Konwińskiego, czy istnieje jakaś rejestracja zrealizowanej przez niego w 1980 r. opery Rimskiego-Korsakowa „Kościej nieśmiertelny" odpowiedział: – *Takich możliwości wówczas nie było.*

Jeśli chodzi o „Nabucca" chyba najdłużej utrzymywał się na scenie i Opera objechała z nim prawie całą Europę. Gdy bezpośrednio po bytomskiej premierze

A bywają takie spektakle, kiedy wszyscy chcą na nich być, konkretnie na nich, a już nie na powtórkach. Tak, jak w 1990 r., kiedy wszyscy chcieli zobaczyć podczas prapremiery opery francuskiego kompozytora Dominique'a Probsta „Maksymilian Kolbe", autora libretta tejże, wielkiego Eugene'a Ionesco. Ostatecznie nie przyjechał.

zaprezentowała rzecz Warszawa gdzie, podobnie jak w Bytomiu, bisowano sławny chór niewolników „Va pensiero", był to pierwszy po wojnie bis chóru operowego w stolicy.

Po jednym z wyjazdów zagranicznych, ale nie z „Nabucco", lecz z „Halką", którą Opera Śląska pokazała w Kanadzie i w Stanach w 1986 r., krótko przed śmiercią dyrektora Siessa, konferencja prasowa odbyła się w moim mieszkaniu. Z dyrektorem mieszkaliśmy bowiem w tym samym katowickim „mrówkowcu", a redakcja naciskała, aby na drugi dzień po powrocie już ukazała się informacja. I zadzwoniłem do dyrektora mówiąc: – *Zdaję sobie sprawę, że ma pan po powrocie rozgrzebane mieszkanie, a skoro redakcje i tak nie dadzą panu spokoju, to niech pan już zejdzie do mnie.* W międzyczasie doszli Marek Skocza z „Dziennika Zachodniego" i Grażyna Brewińska z radia katowickiego. Telewizja nie, dzięki czemu nie musiałem przestawiać mebli z jednej ściany na drugą.

W 1989 roku dyrekcję Opery objął Tadeusz Serafin (wychowanek Napoleona Siessa, któremu wcześniej asystował) i sprawuje ją do dziś. W tymże roku rozpoczęła się w naszym kraju transformacja ustrojowa, a więc nastała nowa rzeczywistość ekonomiczna, niekoniecznie sprzyjająca placówkom artystycznym utrzymywanym z budżetu państwa. Na dodatek 7 lat temu Opera Krakowska doczekała się wreszcie swojej, już całkowicie własnej, nowej siedziby. Dwa teatry operowe położone tak blisko siebie, to trochę jak dwa lotniska. Co prawda Balice i Pyrzowice jakoś nienajgorzej konkurują ze sobą, ale to raczej sytuacja wyjątkowa.

I jeszcze jedno – przed 10 laty w wybranych kinach rozpoczęto transmitować na żywo przedstawienia z Metropolitan Opera. Mimo że nie zasiadamy na nowojorskiej widowni, świadomość, że w tym samym czasie spektakle te ogląda publiczność 60 krajów w 1900 kinach, powoduje, że „psychologicznie" jesteśmy prawie, prawie w prawdziwej Metropolitan.

Konkurencja większa, fundusze mniejsze. Widać to wyraźnie w ilości premier, niegdyś czterech w sezonie, dziś dwu. Niemniej Tadeuszowi Serafinowi udał się najwspanialszy chyba spektakl w całym 70-leciu Opery Śląskiej – „Don Carlos" Verdiego (2011 r.). „Nabucco" z czasów Siessa, to było znakomite „odkurzenie" zapomnianego przez lata dzieła, ale w „Don Carlosie" reżyseria i scenografia Waldemara Zawodzińskiego po prostu zapierają dech. Do tych wielkich produkcji zaliczyłbym też „Tannhäusera" Richarda Wagnera (2001) w reżyserii Laco Adamika. Teatr bytomski wykazał się tu pewną odwagą – w czasach wystawiania oper w językach oryginałów, tak bardzo „niemieckiego" Wagnera zaprezentował w polskim przekładzie. I okazało się to rozwiązaniem całkiem udanym. Na dodatek… świeżym, bo od dawna niespotykanym, choć ongiś przecież tak grywano.

Jerzy Gablenz: Zaczarowane koło. Drugą prapremierą dzieła polskiego kompozytora było wystawienie zapomnianej i nieznanej zupełnie opery J. Gablenza. Prapremierę przygotował muzycznie Wł. Ormicki, inscenizacyjnie i reżysersko J. Zegalskie, scenografię zaprojektował J. Kłosowski (debiut). Na zdjęciu obraz IV. Po lewej Jasiek (ST. Babis) i Młynarka (Maria Vardi). Oryginalny podpis z książki jubileuszowej 10-lecia Opery, wydanej w Stalinogrodzie

Tadeuszowi Serafinowi udał się najwspanialszy chyba spektakl w całym 70-leciu Opery Śląskiej – „Don Carlos" Verdiego (2011 r.). „Nabucco" z czasów Siessa, to było znakomite „odkurzenie" zapomnianego przez lata dzieła, ale w „Don Carlosie" reżyseria i scenografia Waldemara Zawodzińskiego po prostu zapierają dech.

Wspomnieniowy i osobisty (może nawet za bardzo) tekst jubileuszowy nie może konkurować ilością informacji z wielostronicowym wydawnictwem. I tak poza kilkoma nazwiskami praktycznie pominąłem tu solistów, nawet swą ulubioną primadonnę – Natalię Stokowacką. Wspomnę jedynie, że po Wielkim Kwintecie z pionierskich lat bytomskiej placówki (Stokowacka, Szczepańska, Paprocki, Hiolski i Majak) przez scenę tę przewinęło się niemało znakomitości, m.in. Krystyna Szostek-Radkowa, Wiesław Ochman – nie tylko wspaniały tenor, ale i przystojniak w których bujały się wszystkie dziewczyny w mojej szkole od 10 roku życia, czy inny tenor Józef Homik, który po krótkim pobycie w Bytomiu wyjechał do rodziny w Stanach i… słuch o nim zaginął.

Aktualny gwiazdor polskiej wokalistyki, zwycięzca ostatniego Konkursu Didurowskiego, pochodzący z Ukrainy baryton, występuje w Operze Krakowskiej jako Stanisław Kufluk, w bytomskiej Kuflyuk, a właściwie powinien być pisany (i bywa, ale w Operze Poznańskiej), jako Kufliuk, bo to zmiękczenie po „l" wyraźnie słychać. Ot i dzisiejsze problemy. Z nazwiskami dawnych lwowskich polsko-ukraińskich śpiewaków jakoś ich nie było. ■

Fot. Tomasz Zakrzewski

Do wielkich produkcji Opery Śląskiej zaliczyłbym także „Tannhäusera" Richarda Wagnera w reżyserii Laco Adamika (2001)

Teresa Adamkiewicz instruuje Natalię i Szymona

Lekki Teatr Przenośny

KATARZYNA BERETA

Natalia podczas próby

Czwartkowy wieczór. Trzecie piętro dawnego Domu Ludowego, a obecnie Chorzowskiego Centrum Kultury. Trwa próba Lekkiego Teatru Przenośnego. Na scenie Beata i Jacek, na krześle reżysera Mirosław Orzechowski. Na swoją kolej czekają Natalia, Elżbieta i Szymon. Pachnie świeżą farbą. Pomarańczowa barwa stołów, krzeseł oraz skrzyń doskonale kontrastuje z czernią ścian oraz żółcią i zielenią podłogi. Reflektory skierowane w dół, dają światło odbite od linoleum. Na półkach i w kątach poukładane sterty rozmaitych rekwizytów i bibelotów, gromadzonych latami skąd się da. W teatrze przyda się wszystko.

W tym jest to widoczne jak na dłoni. Widz bowiem zostaje wprowadzony nie tylko na widownię i scenę, przez którą trzeba przejść, by zająć miejsce, ale także do garderoby, charakteryzatorni, rekwizytorni i malarni. Ogląda teatr z wszystkich stron i perspektyw równocześnie. To nadaje zarówno samej przestrzeni, jak i tworzonej w niej sztuce magiczny charakter. Z jednej strony bierzemy udział w misterium i mistyfikacji, które próbują naśladować, podglądać i odbijać rzeczywistość. Z drugiej – oglądamy podszewkę tej misternie skrojonej szaty, zaglądamy eleganckiej damie pod halkę, szperamy artyście w jego pracowni, patrzymy Demiurgowi na palce.

Wróćmy jednak na czwartkową próbę. Panuje podczas niej prawdziwie teatralna atmosfera. Czuje się grę w powietrzu. Nawet uwagi reżysera przekazywane są za pomocą scenicznych gestów. Ważny jest każdy ruch, mimika, intonacja głosu, postawa. Nic nie umyka uwadze Mirosława Orzechowskiego. Wszyscy bawią się wyśmienicie, choć założyciel LTP nie jest pobłażliwy dla błędów swojego zespołu. Także Teresa Adamkiewicz, instruktorka teatralna i człowiek orkiestra w LTP, nie daje nikomu taryfy ulgowej, a jednak widać wyraźnie, że każdy czuje się tutaj dobrze sam ze sobą i z innymi. Na twarzach można wszakże dostrzec zmęczenie, bo ktoś przyszedł na próbę po całym dniu uczenia niesfornych uczniów, roznoszenia listów albo wspierania psychoterapią autystycznych dzieci, a są i tacy, których czeka jeszcze nocna zmiana w samolocie w charakterze stewardesy, jednak spod tego zmęczenia przebija radość budowania roli i kreowania innej niż codzienna rzeczywistości.

Potwierdzają to odpowiedzi aktorów-amatorów na pytanie: co wam daje teatr? Urozmaicenie w życiu. Większą swobodę w towarzystwie. Odprężenie po pracy. Odskocznię od problemów. Ćwiczenie wymowy. Zapomnienie. Osobisty rozwój. Pozwala poczuć emocje, które w codziennym życiu są niedostępne. Teresa Adamkiewicz dodaje, że często słyszy, iż gra w Lekkim Teatrze Przenośnym jest dla ludzi swoistą terapią różnych życiowych niepowodzeń. Daje też przykład jednej z uczestniczek, która początkowo przychodziła jedynie pod pretekstem przyprowadzania córki na zajęcia. Przez blisko dwa lata nie dawała się namówić na grę, aż w końcu przekonała się do tej idei. Dzięki pracy w zespole przeszła zupełną metamorfozę: od osoby silnie zablokowanej do duszy towarzystwa, pewnej siebie kobiety i żywiołowej aktorki. Teresa i Mirosław podkreślają zgodnie, że teatr pozwala stworzyć siebie na nowo.

Na krześle reżysera Mirosław Orzechowski, na scenie Beata i Jacek, w tle Elżbieta

Zdjęcia: Katarzyna Bereta

Natalia i Szymon pod bacznym okiem Mirosława Orzechowskiego, Elżbiety i Jacka

A początki LTP były zdawałoby się prozaiczne. W 1998 roku Anna Wójtowicz poprosiła Mirosława Orzechowskiego, wówczas nauczyciela w Grodkowicach, by przygotował kilka scenek z okazji 800-lecia Targowiska w powiecie wielickim. Przedstawienie przeszło do historii, a trupa pozostała i działała dalej. W 2004 roku Lekki Teatr Przenośny jako nową siedzibę wybrał Chorzów. I tak pozostało do dzisiaj. Od 2005 roku naddyrektorem LTP i jego duchową siłą przewodnią jest Teresa Adamkiewicz. Z zespołem związanych było krócej lub dłużej ponad 100 osób. Byli to ludzie rozmaitych profesji, w różnym wieku i o różnym statusie społecznym. Obecnie oprócz aktorów biorących udział w próbie stale udzielają się: Nina, Ewa, Magda, Żaneta i Ania. Zawodowo trupa jest niezwykle zróżnicowana. Znaleźć można w niej nauczycielki, księgową, pracownika biurowego, handlowca, listonosza, stewardesę, maklera oraz psychologa-psychoterapeutę.

LTP ma w swoim dorobku kilkanaście premier, m.in.: *Szczęście, Ku pokrzepieniu tym, którym się wydaje, że go jeszcze nie posiedli* (Grodkowice − luty 2001, Chorzów − marzec 2006, Chorzów − maj 2012), *Polityka w interpretacji freudowskiej* (Chorzów − kwiecień 2006), *Druga strona obrazu* (Chorzów − styczeń 2009), *Dojenie kanarków* (Chorzów − czerwiec 2010), *Made in Czechoslovakia* (Chorzów − październik 2011, luty 2013), *Parada z paradami* (Chorzów − listopad 2011, luty 2013), *Tragedia prześlicznej Ulijanki i dojrzałego Edmunda* (wraz z Redutą Śląską, Chorzów − luty 2013), *Scenariusz dla samotnych kobiet* (Chorzów − listopad 2013), *Spod latarni* (Chorzów − marzec 2003, październik 2015). Reżyserem, scenografem i autorem większości tekstów, a jeśli nie autorem, to przynajmniej ich adaptatorem, jest Mirosław Orzechowski. O przygotowanie aktorskie, właściwy nastrój oraz wszystko inne dba Teresa Adamkiewicz.

Po jedenastu latach obecności w Chorzowie Lekki Teatr Przenośny zdobył już własną stałą publiczność, która nie tylko przychodzi obejrzeć kolejne spektakle, ale też coraz częściej zostaje po nich, by porozmawiać z aktorami i reżyserem np. o tym, skąd Mirosław Orzechowski tak dobrze zna kobiety. Owa wierna publika cieszy twórców LTP, bo jest owocem ich wytężonej pracy nad stworzeniem teatralnej przestrzeni w Chorzowskim Centrum Kultury. Dziś zespół wyjeżdża również ze swoimi przedstawieniami do miast ościennych. Podczas 6. Metropolitalnej Nocy Teatrów 26 września br. wystąpił w Miejskim Centrum Kultury im. H. Bisty w Rudzie Śląskiej, gdzie zaprezentował *Scenariusz dla samotnych kobiet*. Przygotowuje też obecnie kolejny spektakl, który po raz pierwszy wystawiony będzie 22 października w Chorzowskim Centrum Kultury. Będzie to *Kriss* według opowiadań Agnieszki Osieckiej. Swój przyjazd na premierę zapowiedziała Agata Passent.

Repertuar Lekkiego Teatru Przenośnego to nade wszystko komedie i tragikomedie. Tę skłonność do żartobliwego traktowania sztuki i życia wyczuwa się także podczas próby i w rozmowie z odpowiedzialnymi za LTP. Trudno więc nie wspomnieć na koniec anegdoty, która jest dowodem na sugestywność aktorskiej gry zespołu. Pierwszą widownią przez lata byli mieszkańcy okolicznych kamienic oraz wieżowca znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy (obecnie jest to utrudnione z racji na czarne rolety w oknach). Podczas próby sztuki *Szczęście* jedna z postaci krzyczała dość niepokojącą kwestię: „Ludzie, on mnie kiedyś zabije!". Ktoś potraktował tę scenę jako rzeczywistą przemoc i wezwał policję. Na pytanie funkcjonariuszy: gdzie jest ofiara?, portier odpowiedział, że przed chwilą wyszła cała i zdrowa.

Teatr może zatem być terapią poważnych problemów życiowych, może stworzyć nas na nowo, ale może także po prostu bawić − zarówno widownię, również tę przypadkową, jak i samych aktorów. Ci ostatni są w tym przypadku amatorami, ale czy to oznacza, że ich teatr jest gorszy lub mniej ważny od profesjonalnego? Biorąc pod uwagę to, co zobaczyłam podczas próby − zaangażowanie występujących i profesjonalizm prowadzących, stwierdzam, że teatr jest możliwy wszędzie tam, gdzie spotykają się jego prawdziwi amatorzy, czyli miłośnicy, i pozwalają mu się porwać bez reszty. ■

Fot. z mat. Teatru Korez

„Cholonek". Historia wdziera się siłą do tej świętkowej kuchni

Śląsk mój w teatrze widzę ogromny

MAREK MIERZWIAK

Fot. z mat. Teatru Korez

„Cholonek". Najbarwniejszą postacią jest Świętkowa, świetnie zagrana przez Grażynę Bułkę, i uosobienie mądrości – ojciec rodziny (Mirosław Neinert)

Ostatnimi czasy Śląsk, ze swoją przeszłością, teraźniejszością i przyszłością stał się modny. A może trzeba zapisać „modny" szczególnie przed wyborami. Jeszcze niedawno o tej krainie zapomnianej przez wieki i lata pisali konsekwentnie Kazimierz Kutz i Michał Smolorz. Dziś wystarczy spojrzeć na plakaty wyborcze, aby na każdym znaleźć słowo „Śląsk" w różnych konfiguracjach i odmianach stylistycznych.

Ale dużo wcześniej, niż politycy, po historię tej krainy i ludzi tutaj żyjących sięgnęli artyści. Dwa słowa zatem o dwóch spektaklach, które nie tyle wstrząsnęły teatrem, ile pokazały jak barwna, a jednocześnie jak tragiczna jest to ziemia. Kiedy w 2004 roku szedłem na premierę „Cholonka" do teatru Korez myślałem, jak na tak małej scenie uda się pomieścić to wszystko co Janoch zawarł w swojej książce. Tyle wątków, obrazów, przeżyć. Po spektaklu i ja, i widzowie, byliśmy wniebowzięci i oczarowani.

Przedstawienie Mirosława Neinerta i Roberta Talarczyka (obaj reżyserowali ten spektakl) było jak porażenie piorunem. Zobaczyliśmy na tej maleńkiej scenie „Śląsk piękny, Śląsk przeklęty", a co ważniejsze, zobaczyliśmy ludzi z krwi i kości. Ich tragedie, rozterki i szczęścia małe, i duże. To było przedstawienie, na które czekaliśmy od lat. Nie mdłe pokazywanie losów Ślązaków, schematyczne i jednowymiarowe, ale ujrzeliśmy te pogmatwane losy ludzkie w całej złożoności. Najbarwniejszą postacią jest *Świętkowa*, świetnie zagrana przez Grażynę Bułkę, która została odkryta przez realizatorów tego spektaklu jako aktorka mówiąca w gwarze. Okazało się to jej wielkim atutem.

Sypie ona, jak z kapelusza swoimi mądrościami, które raz powodują gromki śmiech, raz zadumę nad losem nie tylko jej rodziny i całego Śląska. Zresztą na scenie pojawiają się postaci, które tyleż śmieszą, co czasami irytują, bądź wzruszają. Ojciec rodziny grany przez Mirosława Neinerta to człowiek uosabiający mądrość, a jednocześnie potrafiący przewidzieć, co stanie się za chwilę. Jego pykanie z fajki i od czasu do czasu rzucane dobre rady pozwalają nam spojrzeć i na naszą rodzinę. Czy aby i my nie mieliśmy takiego starzyka, który mówił mądrze, a którego nie słuchaliśmy goniąc w poszukiwaniu innego świata.

Każda z postaci stworzona przez Janocha, a ożywiona na korezowej scenie uwodzi nas swoim zachowaniem. Roztrzepotane córki, dla których jest coś ważniejszego niż bycie w domu, ufryzowany *Dietlev*, który potrafi ożywić każdą dyskusję, nawet kosztem doprowadzenia swoich rozmówców do wściekłości albo i śmiechu, czy wreszcie *Stanik* będący człowiekiem tyleż zrównoważonym, co szalonym.

Widzimy śląską rodzinę w kuchni, w której dzieje się ich życie. Mijają dni, a oni ciągle chcą być razem, wierząc w poprawę swojego losu. Pierwsza część

spektaklu wywołuje salwy śmiechu, druga jest bardziej stonowana, żeby nie powiedzieć okrutna. Historia wdziera się siłą do tej świętkowej kuchni, wyziera spod stołu i wyłazi z kredensu. Mamy zatem dojście Hitlera do władzy, kolaboracje z Niemcami, zmiany przynależności narodowej, wojnę, która powoduje pustkę i tragizm ludzi tutaj mieszkających, wreszcie niby wolność, która nastała wraz z wejściem Armii Czerwonej na te tereny.

Historia nie oszczędzała ani bohaterów tej sztuki, ani ludzi tutaj mieszkających. Ileż to razy musieli dokonywać wyborów, czasami nie za bardzo moralnych, a jednak w konsekwencji ratujących im życie, ileż razy musieli czapkować władzy nie ich, ileż razy siadając wspólnie przy stole unikali spojrzeń w oczy wiedząc, że w tych oczach może być strach, cierpienie, często łzy.

Dlatego mimo ułomności ci ludzie sportretowani doskonale przez Janosza, a później przez dwójkę reżyserów i aktorów – grających perfekcyjnie – stali się ulubieńcami publiczności. Bo to ona w tych zawiłych losach, pokazanych na scenie, częstokroć odnajdywała swoje życie, nie za dobre, nie za szlachetne a jednak toczące się z dnia na dzień. To publiczność śmiejąc się i płacząc na przemian wstawała po zakończeniu spektaklu i owacyjnie przyjmowała to, co przed chwilą zobaczyła.

Od premiery minęło 11 lat, a ciągle „Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny" grany jest w Korezie przy kompletach publiczności. Jeździ po Śląsku odwiedzając małe miasta i gminy. Spektakl pokazywany jest w domach kultury i remizach strażackich wzbudzając wszędzie zachwyt i aplauz publiczności. Dostał kilka znaczących nagród, między innymi Złotą Maskę za najlepszy spektakl roku 2004, nagrodzono Złotymi Maskami Grażynę Bułkę i Roberta Talarczyka, a na Festiwalu Teatrów Europy Środkowej „Sąsiedzi" w Lublinie w roku 2008 nagrodzono „Cholonka" Perłą Sąsiadów.

Nagrody są ważne, ale nie najważniejsze. Istotne jest to, że po raz pierwszy pokazano spektakl mówiący o tej ziemi w całej złożoności. Tej trudnej, tragicznej, o której przez lata milczano, i tej humorystycznej, śmiesznej, która powstawała, jakby przy okazji normalnego życia. „Cholonek" uwrażliwił tak twórców jak i publiczność na Śląsk, który okazuje się materią dla teatru doskonałą.

Zatem zaczęły powstawać inne przedstawienia nawiązujące do historii tej ziemi, jak chociażby „Polterabend" Stanisława Mutza. Jednak to wszystko były tylko nieudolne naśladowanie „Cholonka". Musieliśmy poczekać kilka lat, aby znowu na deskach, tym razem Teatru Śląskiego, móc zobaczyć prawdziwą historię i ludzi krwistych, też nie jednoznacznych w czynach, ale żywych w swym postępowaniu, cierpieniu i radości.

Kazimierz Kutz, który zachwycał się „Cholonkiem" opisując spektakl słowami: „teatralny cud" czy „objawienie" przez lata pisał może książkę swojego życia – „Piątą stronę świata". Znając doskonale realia śląskie potrafił je pokazać Polsce już przed laty, kiedy realizował swoją śląską trylogię: „Sól ziemi czarnej", „Perłę w koronie" i „Paciorki jednego różańca". Tymi filmami uwiódł Polskę, która zobaczyła po raz pierwszy jak złożone jest życie na tym kawałku jego ojczyzny, jak żyli i żyją tu ludzie czasami odsądzani od czci i wiary, a czasami wychwalani pod niebiosa. Jak grano Ślązakami przez lata i jak gra się nimi w dalszym ciągu.

O tym jest również i jego książka, pokazująca nie tylko stalowych bohaterów z Szopienic, ale i ludzi małych, skarlałych, ze swoimi małostkami, przywarami, podłościami. Taki portret wielostronny nieczęsto zdarza się, dlatego pozycja ta natychmiast została rozchwytana przez czytelników i zakwalifikowana jako książka znacząca (niektórzy mówili nawet arcydzieło). Zatem nie powinno dziwić, że i teatr natychmiast sięgnął po nią, adaptując na potrzeby spektaklu.

Robert Talarczyk podjął się tego karkołomnego dzieła, mówiąc, że Kazimierz Kutz nie ingerował w jego adaptację i jego widzenie tej rzeczywistości śląskiej. Może tak faktycznie było, ale słyszałem, że kilka wersji scenariusza powstało i z wielką obawą, ale też i nadzieją oczekiwaliśmy tej premiery w Śląskim 16 lutego 2013 roku (zbiegła się ona z 84. urodzinami Kazimierza Kutza).

Kiedy dowiedziałem się, że książka ma być adaptowana na spektakl, pomyślałem tylko, że to niemożliwe oddać jej ducha i to wszystko, co autor na tych kilkuset stronach nam przedstawił. Przecież w niej nie ma prawie dialogów, są tylko opisy sytuacji, są zdarzenia, i są rozważania autora na określone tematy. Jak z tego zrobić spektakl? A jednak twórca potrafi. Pełen uznania byłem dla Roberta Talarczyka po tym co zobaczyłem na scenie. *Narrator* (w tej roli świetny Dariusz Chojnacki) opowiada nam prostym językiem historię ziemi i jego rodziny. Widzimy jak w kalejdoskopie to wszystko, co dla bohatera było ważne od chwili narodzin. Postaci przesuwają się jak na karuzeli, spokojnie wypowiadając swoje kwestie. I to nie był tylko spektakl o Ślązakach, o dwóch przyjaciołach, którzy popełnili samobójstwo – to był spektakl o nas wszystkich, tych którzy tutaj urodzili się, i o tych, którzy tu przyjechali za lepszym życiem, a nagrody jakie zebrał w Polsce świadczą o tym, że to i spektakl o tych, którzy żyją w tym kraju i borykają się z takimi samymi problemami.

Historia, niezależnie gdzie mieszkamy, lubi przetaczać się po nas, jeździ po naszym życiu jak po narowistej kobyle, dlatego to co opisywał Kutz, a co pokazał Talarczyk jest tak ważne i przejmujące. Filozofa z hałdy możemy spotkać i na Śląsku i na Maurach, mimo że tam hałd nie ma, ale są te same problemy, przyjaciół samobójców takoż, a czy tylko tutaj marzą się niektórym udomowione małpki? Wreszcie opowieść o dziadku – powstańcu, która aktualna jest w Szopienicach i Katowicach, ale też dotyczyć może poznaniaka i kaliszanina. Uniwersalne spojrzenie na człowieka – to największe atuty „Piątej strony świata" w wydaniu papierowym i scenicznym.

Fot. K. Lisiak, z mat. Teatru Śląskiego

„Piąta strona świata". To był spektakl o nas wszystkich, tych którzy tutaj urodzili się…

Kazimierz Kutz pisze na początku, że wszystko zależy w orkiestrze od tego pierwszego dmuchu: *Każdy muzykant od instrumentu dętego wiy, że wszystko zależy łod tego, jak pójdzie ci pierwszy dmuch. Teraz mie czeko take zadanie: skąd go wziąć? Ten dmuch*! Autorowi udał się i pierwszy dmuch i następny też. Tak było również z dmuchem teatralnym. Wspaniały pierwszy dmuch czyli „Cholonek" i równie wspaniały drugi – „Piąta strona świata". To jakby partytura, na której można w przyszłości grać, rozszerzając brzmienie tej śląskiej orkiestry o smaki i smaczki muzyczne.

Co prawda już próbowano zagrać na tej partyturze pokazując nam inne kolory i obrazy Śląska, ale były one daleko odbiegające od tych dwóch dmuchów. Bo pokazać to jeszcze nie znaczy stworzyć – takiej scenicznej rzeczywistości, która pozostanie w nas na lata. Będziemy do niej wracać i odwoływać się w naszych rozmowach, wspomnieniach, postępowaniu. Dwa dmuchy śląskie, które zmieniły obraz teatralny tej ziemi, pokazując Polsce, jej nie tyle krystaliczną piękność, co rzeczywistość utkaną ze snu, jawy, marzeń, śmiechu, dobroci, podłości i łez. Ot – Śląsk piękny i święty, ale i przeklęty.

■

Zdjęcia: Maciej Stobierski/z mat. Teatru Zagłębia

Momentem przełomowym był „Korzeniec", spektakl stanowiący adaptację prozy Zbigniewa Białasa, przywołującej przedwojenne dzieje Sosnowca

Zespół, który nie boi się wyzwań

MAGDALENA FIGZAŁ

Jeśli chcieć wskazać największego triumfatora ostatnich sezonów teatralnych na Śląsku bez wątpienia byłby to Teatr Zagłębia w Sosnowcu. Laur Konrada, Złote Maski i szereg innych wyróżnień zdobytych niedawno przez zespół potwierdzają jego widoczność na teatralnej mapie Polski.

Trwająca dobra passa sosnowieckiego teatru rozpoczęła się w 2011 roku, kiedy nowym dyrektorem sceny został Zbigniew Leraczyk, wieloletni aktor Teatru Zagłębia. Wówczas też funkcję zastępcy dyrektora ds. artystycznych objęła Dorota Ignatjew, aktorka i reżyserka, przez wiele lat związana z Teatrem Polskim w Warszawie. Pomysł nowego kierownictwa na odświeżenie wizerunku teatru od początku wydawał się opierać na wzbogaceniu repertuaru większą liczbą tekstów współczesnych – zarówno najnowszą polską dramaturgią, jak i nowatorskimi adaptacjami współczesnych dzieł prozatorskich. Cykl ten rozpoczęły dwie premiery: sztuka *Między nami dobrze jest* Doroty Masłowskiej oraz *Piaskownica* Michała Walczaka. Oba przedstawienia przygotowały grunt pod kolejne realizacje – bardziej eksperymentalne w warstwie inscenizacyjnej i odważne w zakresie przedstawianej treści.

Momentem przełomowym był bez wątpienia *Korzeniec* – spektakl stanowiący adaptację prozy Zbigniewa Białasa, przywołującej przedwojenne dzieje Sosnowca. Zróżnicowana stylistyka tej kryminalnej powieści znalazła swe odbicie w inscenizacji Remigiusza Brzyka (reżyseria) i Tomasza Śpiewaka (dramaturgia), którzy lokalną historię opowiedzieli nowoczesnym językiem teatralnym, tworząc oryginalny i intrygujący obraz sceniczny. To właśnie w *Korzeńcu* po raz pierwszy tak wyraźnie objawił się nowy wymiar zespołowości teatru, która od tej pory stała się jego znakiem rozpoznawczym. Aktorzy Teatru Zagłębia, wcześniej przyzwyczajeni raczej do klasycznego repertuaru i realistycznego aktorstwa, dość szybko odnaleźli się nie tylko w nowej linii programowej, ale również w nowym kształcie inscenizacyjnym widowisk, daleko wykraczającym poza tradycyjny model teatru mieszczańskiego. Dla wielu aktorów, szczególnie tych starszego pokolenia, zapewne wiązać się to musiało z pewnym przedefiniowaniem sztuki scenicznej, a także ustanowieniem na nowo relacji między sceną a widownią. Nietrudno zauważyć, że w nowych przedstawieniach teatru stawia się przede wszystkim na prowadzenie szeroko pojętego dialogu z publicznością.

Za sprawą *Korzeńca*, wyróżnionego szeregiem nagród na ogólnopolskich festiwalach teatralnych, o sosnowieckim Teatrze Zagłębia zrobiło się głośno. Zespół nie spoczął jednak na laurach i udowodnił, że nie był to sukces jednego sezonu. Wkrótce po spektakularnej adaptacji powieści Białasa uwagę widzów przykuł *Bobiczek* według sztuki Hanocha Levina oraz *Zaćmienie*, stanowiące kompilację opowiadań Antoniego Czechowa. Kolejny wielki sukces przyniósł jednak zespołowi spektakl *Koń, kobieta i kanarek*, zrealizowany w 2014 roku, ponownie przez tandem Brzyk/Śpiewak. Inscenizacja, podobnie jak wcześniejszy *Korzeniec*, wpisana została w lokalny koloryt, jednakże uniwersalny i aktualny temat spektaklu, jak również sposób jego prezentacji, każą rozpatrywać tę współczesną opowieść o patriarchalnej rodzinie w znacznie szerszym kontekście kulturowo-społecznym.

Nawiązanie współpracy z poszukującymi oryginalnych form wyrazu reżyserami oraz dramaturgami, czuwającymi nad adaptacją prezentowanych tekstów, zaowocowało nie tylko nową estetyką i wysoką jakością artystyczną przedstawień, ale też dużo bardziej zróżnicowanym i odpowiadającym różnym potrzebom widza repertuarem.

Dziś publiczności sosnowieckiego teatru nie stanowią już tylko mieszkańcy Zagłębia, ale w repertuarowych propozycjach odnaleźć można wiele pozycji podejmujących dyskurs lokalno-tożsamościowy. Przed *Korzeńcem* były to *Chłodne poranki* Jacka Rykały – poetycka, wielopokoleniowa opowieść o losach mieszkańców Zagłębia, zrealizowana z okazji jubileuszu 115-lecia teatru. Zupełnie inny pod względem estetyki okazał się spektakl *Czerwone Zagłębie* w reżyserii Aleksandry Popławskiej i Marka Kality, stanowiący realizację zamówionej przez teatr sztuki Jarosława Jakubowskiego. Tutaj w sposób bardziej wyraźny indywidualne życiorysy mieszkańców regionu determinuje historia: najpierw walki narodowowyzwoleńcze podczas rewolucji 1905 roku, następnie złote dla Sosnowca czasy PRL i rządów Edwarda Gierka. Nie brakuje też odniesień do współczesności i wciąż silnie obecnych antagonizmów między Zagłębiem a Górnym Śląskiem. Największym jednak atutem przedstawienia Popławskiej i Kality jest jego nowatorska forma i dynamiczność – reżyserzy spekta-

klu nie tylko płynnie przechodzą między scenami rozgrywającymi się w różnych okresach historycznych, ale też zręcznie żonglują nastrojami, mieszając patos i tragizm z humorem i parodią. W sposób groteskowy, na granicy realności i fantazji, ukazane zostają między innymi postacie historyczne związane z regionem: pierwszy sekretarz, czy też doktor Widera „sosnowiecki Judym". Podobnie, jak we wcześniejszym „Korzeńcu" lokalność ukazana zostaje tutaj poprzez splot melancholijnych i parodystycznych tonów.

Choć przedstawienia wpisujące się w nurt lokalny (jednym z nich jest również propozycja dla młodszych widzów – spektakl „Wakacje z duchami" w adaptacji Piotra Rowińskiego i reżyserii Jerzego Jana Połońskiego) zajmują ważną część repertuaru sosnowieckiej sceny, to jednak nie można powiedzieć, że stanowią one dominantę. Na plan pierwszy wysuwają się tu bowiem utwory o zdecydowanie bardziej uniwersalnym przekazie, podejmujące dialog z otaczającą nas rzeczywistością i jej aktualnymi problemami.

Przywołany wcześniej spektakl *Koń, kobieta i kanarek* nie jest jedynie regionalnym freskiem, przedstawiającym życie śląskiej rodziny – problemy, które ukazuje dramat, a zatem kwestia aborcji oraz przemocy w rodzinie, powodują, iż włącza się on w ważną debatę polityczno-społeczną na temat praw kobiet. Kopalnia, w której rozgrywa się duża część akcji spektaklu, funkcjonuje tu raczej jako metafora tej sfery życia społecznego, która dostępna jest tylko mężczyznom – staje się ona synonimem męskiej władzy i reguł wyznaczanych przez patriarchalny porządek. Mimo wielu sugestywnych obrazów, sosnowiecki spektakl daleki jest od projektowania gotowych odpowiedzi i wydawania jednoznacznych sądów. Zastosowane przez twórców zabiegi sceniczne wzmacniają dystans widza do przedstawianej historii, do końca nie pozwalając mu ani współczuć, ani też identyfikować się z bohaterami. Choć na pierwszym planie tej opowieści sytuuje się sprawczyni całego zamieszania – znakomita Edyta Ostojak w roli *Córki Sztygara*, to jednak każda z kreacji stworzonych w przedstawieniu (dotyczy to również ról drugoplanowych) pozostaje w pamięci.

O tym, że Teatr Zagłębia nie spuszcza z tonu, eksplorując kolejne trudne tematy, świadczy ostatnia premiera minionego sezonu – *Sala Królestwa*, napisana i wyreżyserowana przez Tomasza Śpiewaka. Tym razem debiutujący w roli reżysera dramaturg portretuje rzadko opisywaną przez teatr grupę religijną, jaką stanowią Świadkowie Jehowy. Sprawą kontrowersyjną jest w tym wypadku nie tyle hermetyczność i specyfika działania zboru, ale obowiązujący jego członków zakaz transfuzji krwi, nawet w obliczu zagrożenia życia. Sympatyczni, zawsze pomocni i uśmiechnięci bohaterowie, jakich wprowadza do swej sztuki Śpiewak, potrafią też z bezwzględnością usunąć ze wspólnoty osobę, która dopuściła się przekroczenia panujących w niej zasad. Z determinacją walczą też o swoje przekonania religijne, nawet jeśli muszą przepłacić je życiem swoim bądź bliskich. Schemat przedstawiania, jaki zastosowany został w *Sali Królestwa* przypomina strategię z *Konia, kobiety i kanarka* – mamy tu stopniowe wprowadzanie w specyfikę środowiska; wyodrębnienie się jednostki sprzeciwiającej się panującym w nim regułom; kontrargumenty; i wreszcie finał, w którym to widz sprowokowany zostaje do obrania własnego stanowiska. Godny wyróżnienia jest w spektaklu sposób gry aktorów, którzy po raz kolejny stawiają na zbiorową kreację – znakomicie partnerują sobie na scenie, jednocześnie nawiązując dialog z widzem.

„Bobiczek" według sztuki Hanocha Levina przykuł uwagę widzów

Prócz nurtu lokalnego oraz tekstów współczesnych autorów w repertuarze Teatru Zagłębia wyodrębnić należałoby również spektakle dla dzieci oraz inscenizacje dzieł klasyków. Do tej drugiej grupy zaliczyć można *Zaćmienie* według opowiadań Czechowa, *Sen nocy letniej* Szekspira, czy wreszcie inscenizację Gogolowskiego *Wija*. W tym ostatnim przedstawieniu wyreżyserowanym przez Łukasza Kosa porządek realistyczny łączy się nieustannie z tym baśniowym, obfitującym w szereg fantastycznych zdarzeń. Pierwszy objawia się przede wszystkim za pośrednictwem scenografii oraz kostiumów Pawła Walickiego – noszą one bowiem znamiona czasu i miejsca akcji. W kreacji drugiego porządku pomaga natomiast niepokojąca muzyka autorstwa Adama Świtały. To właśnie szczególna sensualność oraz harmonijne zestrojenie audialnej i wizualnej warstwy spektaklu stanowią o sile oddziaływania sosnowieckiego *Wija* oraz czynią z inscenizacji Kosa ciekawą kontrpropozycję dla tych przedstawień Teatru Zagłębia, które oscylują wokół tematów lokalnych bądź publicystycznych. Bo choć to właśnie one przysporzyły sosnowieckiej scenie nowych widzów, to jednak jedynie zróżnicowany tematycznie i formalnie repertuar pozwoli zatrzymać ich na dłużej. ■

Kolejny wielki sukces przyniósł zespołowi spektakl „Koń, kobieta i kanarek"

Zdjęcia: z archiwum GTL

Aleksander Widera

Wspomnienie z antraktów

BOGDAN WIDERA

Po raz pierwszy zostałem dostarczony do teatru w wieku 3 lat. Spod rodzinnego domu przy ul. Kochanowskiego 2 do odległego o trochę ponad 100 metrów Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum" przy ul. Jana 10 zajechałem autem. Teatr miał wtedy nazwę krótszą i – choć nadal znajduje się w tym samym miejscu – mieścił się przy ul. 15 grudnia (to data zjednoczenia PPR i PPS w jedną partię – PZPR). Samochodem, który mnie zawiózł do kukiełkowego teatrzyku, był wóz transmisyjny Radia Katowice marki robur, znacznie większy od dzisiejszych „dostawczaków". Mój ojciec Aleksander pracował w katowickiej rozgłośni, zajmował się tam m.in. teatralnymi recenzjami, a ponieważ nie było wówczas magnetofonów przenośnych, do nagrania trzyminutowego fragmentu przedstawienia potrzebnego do dźwiękowego zilustrowania tekstu wysyłano taki wcale niemały wehikuł. Technicy rozwijali kable łączące auto ze sceną, sprawdzali mikrofony i nagrywali na taśmach magnetycznych rzekomo kawałek premiery. W rzeczywistości ta operacja odbywała się przed albo po przedstawieniu. Nie pamiętam, co za sztukę wtedy grano, kto był autorem, było to jednak dla mnie ogromne przeżycie. Po spektaklu dyrektor Jerzy Zitzman zajrzał do radiowego pojazdu i usiłował wypytać mnie o wrażenia, ale niewiele się dowiedział, tak bardzo byłem oszołomiony.

W kilka lat później ojciec zaczął mnie zabierać do „dorosłych" teatrów. Dzięki temu doktor Cofalik, u którego zdawałem egzamin wstępny do liceum, zetknął się z czternastolatkiem – wybrykiem natury. Chłopak zrozumiał coś z *Kordiana* i nie mógł tylko pojąć, jak panicz, co się zastrzelił, wdrapuje się na Mont Blanc, rozmawia z papieżem itd.

Grupa

Premierowa publiczność – to byli sami znajomi. Jednak po jakimś czasie spostrzegłem, że podczas antraktów zbiera się często grupa (praktycznie – grupka) w stałym składzie. To byli zawodowi recenzenci, teatralne wyrocznie, premierowy „trybunał". Tworzyły go trzy panie – Maria Podolska, Irena Sławińska i Renata Zwoźniakowa oraz Bolesław Surówka i mój ojciec. To nie były jakieś sformalizowane spotkania, po prostu ci, którzy na piśmie, bądź w eterze będą osądzać dany spektakl, chcieli wymienić uwagi, podzielić się na gorąco odczuciami, zwrócić uwagę na jakiś szczegół. Przebywałem „przy ojcu", więc i „przy grupie", słuchałem rozmów i uczyłem się. Dlaczego inscenizacja jest dobra? Czemu taki a taki aktor rolę położył? Czy reżyser zrobił autorowi krzywdę? Jakie drobiazgi mają istotny wpływ na ocenę całości?

Nie był to żaden systematyczny wykład. Wystarczyło, że Bolesław Surówka wypowiedział jakąś złośliwą i bardzo dowcipną uwagę. On był w tym towarzystwie moim idolem, ze względu na błyskotliwe poczucie humoru właśnie. Zanim poznaliśmy się osobiście z wielkim entuzjazmem czytałem jego felietony, podpisywane pseudonimem „niejaki X". Byłem chowany w kulcie Mickiewicza, więc z radością przeczytałem niby-literacką analizę opowieści wieszcza o Almanzorze. „Już w gruzach leżą Maurów posady" – to znaczy, że przedstawiciele tego ludu stracili etaty… itd. itp. W czasie tych antraktowych „sympozjonów" Surówka był bardzo krytyczny, ale i dowcipny. Pani Maria Podolska właściwie podzielała jego opinie, ale formułowała je delikatniej, nie sięgała po satyryczne ostrza. A Renata Zwoźniakowa była – tak można to określić – rewizjonistką. Jej przewrotny umysł felietonistki podsuwał jej pomysły na to, co tak naprawdę autor miał na myśli, choć tego nie napisał. Zastanawiała się, czy czarny charakter jest rzeczywiście taki zły, a bohater – bohaterski. Z przekory potrafiła bronić kiepskiego aktorstwa dorabiając do porażki teorię o nowej koncepcji roli itd. To było bardzo zabawne, ale jednocześnie jakoś tam pouczające. Mój ojciec był recenzentem rzetelnym i zasadniczym, a jeśli premiera odbywała się w niedzielę – także zestresowanym, bo wiedział, że w nocy musi napisać tekst, który musiał być nadany w poniedziałkowej *Kronice kulturalnej*. Ciekawe, że nie zapamiętałem, co mówiła Irena Sławińska. Może nic?

Wesoły autobus

Katowiccy recenzenci w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych obsługiwali teatry z całego województwa. Warto zwrócić uwagę na to, że ówczesne dzienniki, zideologizowane przecież, miały swoje działy kulturalne i zatrudniały w nich kompetentnych dziennikarzy. Wychodziło w Katowicach pismo społeczno-kulturalne *Poglądy* (tam swoje recenzje drukowała Zwoźniakowa), a w programie Radia Katowice też były stałe nisze dla działu artystycznego. Kultura była w komunistycznych mediach stale obecna. A dziś? Łza się w oku kręci…

Recenzenci mieli wtedy prestiż (i etaty), cieszyli się także przywilejami. Jeśli np. w Częstochowie miała się odbyć premiera, było pewne, że na 2 godziny przed spektaklem, w Katowicach przy ul. Teatralnej na szanownych krytyków będzie czekał teatralny autobus, który zawiezie ich na miejsce, a po przedstawieniu odwiezie do domu. Pojazd zabierał jednak nie tylko recenzentów. Do wypra-

wy dołączali inni ludzie ze środowiska. Aktorzy, którzy akurat u siebie nie grali, plastycy (częstym pasażerem był prof. Jan Dutkiewicz, który zajmował się również scenografią oraz świetny scenograf Wiesław Lange), literaci (Aleksander Baumgardten, Józef Ponitycki), dziennikarze, muzycy, nawet urzędnicy „od kultury", którzy wtedy jeszcze do teatru uczęszczali.

Teatralne autobusy (prywatne auta były rzadkością) kursowały na trasach Katowice – Bielsko-Biała – Zabrze – Sosnowiec i wspomniana już Częstochowa. Na dłuższych dystansach były to takie kawiarnie artystyczne bez kawy, w których rozmawiano nie tylko o teatrze, ale też sztuce w ogóle, o literaturze, a czasem – choć dość ostrożnie – o polityce. No i opowiadano dowcipy, dzięki czemu było wesoło. W drodze powrotnej mówiono czasem o premierach przed chwilą zobaczonych, zwłaszcza jeśli budziły jakieś emocje.

Czego zabronił krytykowi lekarz

Teatry, jak widać, były w tamtych czasach opiekuńcze. Ale nie tylko dowoziły i odwoziły recenzentów. W przerwie wybranych gości zapraszano na dyrektorskie pokoje. Dziś po wernisażu, spektaklu, odczycie, czy koncercie niemal normą jest jakiś bogaty poczęstunek. Trochę mnie to denerwuje, bo wygląda na to, że człowiek dzisiejszy nie jest w stanie przeżyć jakiegoś wydarzenia kulturalnego bez następującego zaraz potem cateringu. Łyknąłeś, biedny człecze, trochę „kultury", to możesz za darmo zjeść śledzia, kawałek szynki, czy pasztetu, albo nawet przekąsić coś na ciepło, boś się przecież namęczył. W tamtych czasach w dyrektorskim gabinecie czekał w antrakcie na recenzentów pełny kieliszek koniaku. Myślę, że było to raczej brandy albo winiak. Sądzę też, że ten obyczaj jakoś tam wprowadził Bolesław Surówka, który często powtarzał:

– Lekarz zabronił mi surowo picia alkoholu, z wyjątkiem koniaku, za który nie płacę.

Ten antrakt, za sprawą panów dyrektorów, bywał czasem dłuższy niż normalnie, bo przecież miło się wymieniało ploteczki, anegdoty i nowiny.

Kraina łagodności

W latach siedemdziesiątych ojciec przeszedł na emeryturę, a ja odziedziczyłem po nim radiową obsługę teatrów z regionu. Tak stałem się pełnoprawnym członkiem grupy krytyków. Wtedy też spotkał mnie ogromny zaszczyt – pan Bolesław Surówka przepił ze mną bruderszaft. To było dla mnie trudne. Siwowłosy, starszy pan, będący dla mnie autorytetem, takim „guru" (a jeszcze wtedy nie wiedziałem, że był dziennikarzem w *Polonii* Korfantego, nie znałem też je-

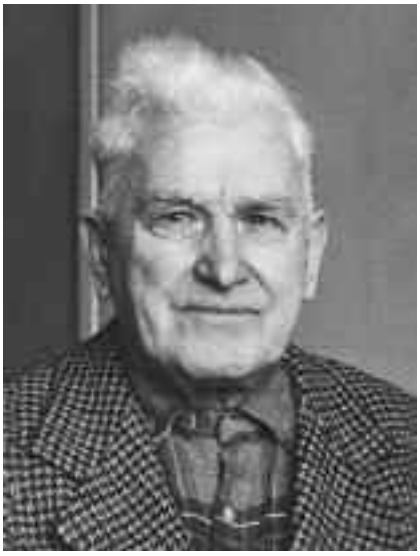

Bolesław Surówka

go autobiografii *Było, minęło*) dopuszcza mnie, wtedy smarkacza, do takiej konfidencji. Nie umiałem się zdobyć na „tykanie", wreszcie mnie ofuknął, że dla mnie jest Bolek i tyle.

Surówka potrafił złośliwie skomentować spektakl, ale te jego krytyczne uwagi rzadko pojawiały się w druku. Powiedział, że coś jest kiepskie, natomiast w recenzji można było przeczytać: „Czarująca Pani Iks była przekonywająca w roli – dajmy na to – Ofelii" a „Pan Igrek dał pełnokrwistą postać – dajmy na to – Otella". Czytając te teksty myślałem, że pozostał w poetyce przedwojennej krytyki teatralnej. Teraz zastanawiam się, czy nie pisał tak, bo go to po prostu bawiło, czy czasem świadomie nie tworzył recenzyjnych pastiszów.

Renata Zwoźniakowa starała się znaleźć, zwłaszcza w sztukach współczesnych „coś". Czasem jej wywód był mocno zagmatwany. Rzadko kiedy pastwiła się nad dramatem, reżyserią, grą aktorów. Podobnie Maria Podolska i Irena Sławińska. To ja byłem ten „młody, gniewny", potrafiący „zjechać" bez litości marne moim zdaniem przedstawienie. Kiedy dziś zastanawiam się, z czego brała się ta łagodność krytyki prasowej, nie potrafię rozstrzygnąć, czy wynikało to z faktu, że ludzie teatru byli z sobą wtedy zaprzyjaźnieni (a przyjaciołom nie robi się przykrości), czy też piszący nie chcieli, aby do władzy docierała informacja, że państwowe pieniądze wyrzucono w błoto. A może po prostu doświadczenie życiowe podpowiadało krytykom, że lepiej o kulturze mówić „pianissimo", wtedy nie drażni się chętnych do zbudowania nam wszystkim szczęśliwego świata.

Konny pomnik regenta

Pewnego razu nasi przyjaciele-aktorzy z Teatru Zagłębia w Sosnowcu zaprosili nas do siebie, na sztukę, której nie będzie. Sławomir Mrożek pisał bardzo szczegółowe didaskalia. Drzwi z prawej, okno na wprost, stół tu, sofa tam. W Sosnowcu wystawiono jego *Policję*. I pani Teresa Targońska, scenografka wybitna, absolutnie rozwaliła koncepcję autora. On napisał, że w pomieszczeniach (mieszkanie sierżanta-prowokatora, komenda policji) ma wisieć portret wuja-regenta z infantem). Ona na środku sceny ustawiła ogromny pomnik konny. Rumaka dosiadał regent, który w wyciągniętej dłoni dzierżył maleńkiego infanta. Z jednej strony cokołu znajdowało się mieszkanko policjanta, z drugiej – klitka będąca komisariatem. Okna tych wnętrz wychodziły oczywiście na pomnik. Ta scenografia najlepiej pokazuje państwo, w którym odbywa się akcja. A Mrożek opowiada o tragicznym kryzysie policji politycznej, co wynika z faktu, że społeczeństwo opisywanego kraju stało się „bestialsko lojalne" wobec władzy. Niestety, sztukę wystawiono tuż przed wyborami. W dodatku publiczność zaczęła klaskać w „nieodpowiednich" miejscach. Zdjęto rzecz po zaledwie kilku przedstawieniach. Nie było premiery oficjalnej, nie było prasowej. Przytaczam tę historię, bo nikt z bohaterów moich wspomnień jej nie opisał. Gdzie mógłby ją opublikować?

Wspominam grupę katowickich krytyków teatralnych z wielkim sentymentem. To byli ludzie wykształceni, mądrzy, wrażliwi i bardzo oczytani. Po obejrzeniu jakiegoś przedstawienia natychmiast przypominali sobie wcześniejsze realizacje, znali wybitnych twórców teatralnych, dramaturgów, w świecie teatru czuli się „u siebie". Słyszy się ubolewanie, że po aktorze teatralnym nie zostaje nic, że jego sztuka jest ulotna. Myślę, że podobnie przepada dzieło recenzentów. Chciałem, żeby ten materiał choć trochę przypomniał krytyków, których praca przemijała wraz z gazetą codzienną, audycją radiową. ■

Kiedy dziś zastanawiam się, z czego brała się ta łagodność krytyki prasowej, nie potrafię rozstrzygnąć, czy wynikało to z faktu, że ludzie teatru byli z sobą wtedy zaprzyjaźnieni (a przyjaciołom nie robi się przykrości), czy też piszący nie chcieli, aby do władzy docierała informacja, że państwowe pieniądze wyrzucono w błoto. A może po prostu doświadczenie życiowe podpowiadało krytykom, że lepiej o kulturze mówić „pianissimo", wtedy nie drażni się chętnych do zbudowania nam wszystkim szczęśliwego świata.

Foto z mat. „Camerata Silesia”

„Camerata Silesia”... „niech nam żyją i śpiewają” – jak głosi pierwszy wers utworu-dedykacji, którą napisał „kameratczykom” Henryk Mikołaj Górecki.

Artystyczny fenomen

MAGDALENA DZIADEK

25 lat „Cameraty Silesii”

Ćwierćwiekowe dzieje światowej klasy zespołu, jakim jest „Camerata Silesia” to autorskie dzieło Anny Szostak-Myrczek. Od założycielki i szefowej „Cameraty” można się uczyć, jak zrobić karierę, dysponując muzycznym talentem, dobrymi chęciami oraz cechami osobowości, które chętnie postrzegamy jako typowo śląskie: pracowitością, solidnością, twardym chodzeniem po ziemi.

Bo zespół Anny Szostak to nie tylko artystyczny fenomen – to również firma, której tworzeniu i rozwijaniu poświęciła szefowa nie tylko zawodowe, ale i osobiste życie. Firma po części rodzinna – nie byłoby bowiem „Cameraty” – grupy, która długo borykała się ze zmiennością składu, co jest w zasadzie gwarancją braku sukcesu – gdyby nie jej dwie podpory: obdarzona świetnym sopranem siostra szefowej Magdalena i jej mąż Adam Myrczek – równie świetny bas.

Przed „Cameratą” był Studencki Zespół Muzyki Dawnej „Madrygaliści”, który Anna Szostak założyła w 1978 roku, jeszcze jako studentka Wydziału Wychowania Muzycznego Filii UŚ w Cieszynie (dziś Wydział Artystyczny UŚ). Miała 21 lat, zero funduszy, niewielkie oparcie w uczelni i mnóstwo zapału, którym potrafiła zarazić swoich kolegów. Pracowano w spartańskich warunkach – próby odbywały się przeważnie w domu dyrygentki w Czechowicach-Dziedzicach. Czechowice i pobliskie śląskie miasta były miejscami pierwszych koncertów „Madrygalistów”. Zgodnie z nazwą, śpiewano głównie muzykę dawną. Po kilku latach wytrwałej pracy przyszedł pierwszy poważny sukces – w roku 1984 „Madrygaliści” otrzymali prestiżową nagrodę – Brązową Lutnię – na dorocznym Międzynarodowym Festiwalu Chórów „Legnica Cantat”, najbardziej liczącej się chóralnej imprezie w Polsce. Po tej dacie zespół zaczął się rozwijać w błyskawicznym tempie. Poszerzono repertuar, nawiązano kontakty z instytucjami muzycznymi, a przede wszystkim z kompozytorami. Okazało się bowiem, że czechowiccy śpiewacy potrafią śpiewać muzykę współczesną, taką, której trzeba się długo uczyć, ponieważ są świetnie wykształceni technicznie – na tyle, by móc śpiewać zarówno w grupie, jak i solo, co w muzyce awangardowej jest warunkiem *sine qua non*, a w praktyce „zawalatych” polskich chórów utrzymywanych przez filharmonie niemożliwe do osiągnięcia. Anna Szostak wykryła i sprawnie zagospodarowała tę lukę, przekształcając „Madrygalistów” w zespół kameralny o profesjonalnym poziomie wykształcenia w dziedzinie kształcenia słuchu (tak się dziś nazywa przedmiot zwany niegdyś solfeżem). Było to możliwe dzięki angażowaniu profesjonalnie wykształconych wokalistów, studentów i absolwentów uczelni muzycznych.

Zmiana profilu repertuarowego na awangardowy została przypieczętowana zmianą nazwy na Chór Kameralny „Camerata Silesia”. Nastąpiło to w 1990 roku. Zespół, liczący 16 członków, związał się z Towarzystwem Muzycznym założonym wówczas przez Andrzeja Krzanowskiego (kompozytora pochodzącego również z Czechowic-Dziedzic). Niestety, Andrzej Krzanowski zmarł w październiku 1990 roku i „Camerata” została znów „na lodzie”. Ale tylko pod względem organizacyjnym, bo jego kariera zaczęła się spektakularnie rozwijać. Śpiewacy regularnie brali udział w polskich festiwalach chóralnych, zaczęli też wyjeżdżać za granicę: do Austrii, Francji, Niemiec, Włoch, zdobywając aplauz publiczności i uznanie krytyki. Pojawili się w polskim radiu i telewizji, a w roku 1993 nagrali pierwszą płytę, na której znalazły się, poza utworami Palestriny, Verdiego i Mikołaja Zieleńskiego, pierwsze światowe nagrania *Missa brevis* Romana Palestra i *Pieśni do Maryi Panny* Andrzeja Panufnika – dwóch kompozytorów odkrywanych wówczas na nowo po latach przymusowej nieobecności w PRL. Tuż po sukcesie tej płyty przyszła prestiżowa nagroda zdobyta w kategorii profesjonalnych chórów na festiwalu we włoskiej Gorizii oraz

debiut na „Warszawskiej Jesieni", i to od razu z całym koncertem pieśni. Odbył się on w warszawskim kościele ewangelicko-reformowanym. Poza „przydzielonymi" przez organizatorów festiwalu kompozycjami niemieckich twórców awangardowych Helmuta Zapfa, Georga Katzera i Lothara Voigtländera „kameratczycy" wykonali pieśni Witolda Szalonka, Andrzeja Krzanowskiego i Zbigniewa Penherskiego. Od tej pory ciągle pojawiali się na warszawskim festiwalu, uczestnicząc m. in. w wykonaniach kantat Weberna (1995), *Trzech poematów do słów Henri Michaux* Lutosławskiego (1996), czy *Symfonii* Luciano Berio (1999). W tych latach można było słuchać „Cameraty" także na innych polskich festiwalach, takich jak *Gaude Mater* w Częstochowie, *Wratislavia Cantans*, Festiwal im. Ludwika van Beethovena w Warszawie, czy organizowany przez NOSPR Festiwal Prawykonań – Polska Muzyka Najnowsza w Katowicach. Z NOSPR-em jest „Camerata" szczególnie blisko zaprzyjaźniona. Grupa brała udział w wielu spektakularnych przedsięwzięciach Narodowej Orkiestry, począwszy od słynnego maratonu wykonań muzyki Henryka Mikołaja Góreckiego, który miał miejsce w 2003 roku z okazji 70. urodzin kompozytora, a zakończywszy (tymczasem) na Festiwalu otwarcia nowej siedziby NOSPR, który odprawiono w październiku zeszłego roku. „Camerata" była też zaproszona do udziału w inauguracji Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego w Lusławicach (2013).

Nie sposób omówić wszystkich programów, które zrealizowała „Camerata" od końca lat 90. do dziś. Poprzestańmy zatem na wyliczeniu najważniejszych nagrań płytowych. Na ich podstawie można dość ściśle rozeznać się w różnorodnych zainteresowaniach repertuarowych „Cameraty", która bynajmniej nie ograniczyła się do specjalizacji w muzycznej awangardzie, a wręcz przeciwnie, z czasem coraz odważniej sięgała po muzykę reprezentującą najróżniejsze nurty i gatunki, z wyjątkiem muzyki ludowej. Po debiutanckim krążku z 1993 roku ukazały się *negro spirituals* (1994) oraz polskie kolędy w opracowaniu Krzysztofa Baculewskiego (1995). Następnie wyszła ważna płyta z wyborem offertoriów i komunii Mikołaja Zieleńskiego, która uzyskała nominacje do nagród fonograficznych „Fryderyk 1996" oraz „Płyta Roku 1996" miesięcznika „Studio". Rok później zespół zrealizował entuzjastycznie przyjęte przez znawców nagranie *Missa pulcherrima* Bartłomieja Pękiela. Autorska płyta Pawła Szymańskiego, zawierająca jego *Lux Aeterna* w wykonaniu „Cameraty Silesii" otrzymała tytuł „Płyty Roku 1997" miesięcznika „Studio" oraz „Fryderyka 1997" w kategorii muzyka współczesna. Drugiego w tym samym roku *Fryderyka* przyznano dwóm cyklom *Pieśni kurpiowskich* Karola Szymanowskiego w wykonaniu „Cameraty" oraz Olgi Pasiecznik i Jozsefa Örmeny'ego. Do najważniejszych dokonań fonograficznych zespołu z początku obecnego stulecia należy także monograficzna płyta *Miserere*, zawierająca dawne i współczesne utwory skomponowane do tekstu tytułowego psalmu (2000), a także płyta z udziałem Emmy Kirkby z utworami Henry'ego Purcella, Jana Sebastiana Bacha i Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego (nominowana do nagrody fonograficznej „Fryderyk 2001"). W roku 2003 została wydana płyta *Camerata Silesia sings Chopin.*

Foto. © K. Kloch

Anna Szostak-Myrczek, założycielka i dyrygentka „Cameraty".

W omawianym czasie zespół przeszedł metamorfozę organizacyjną – uzyskał patronat Urzędu Miasta Katowice, stając się oficjalnym Zespołem Miasta Katowice. Członkowie uzyskali stałe zatrudnienie i siedzibę – początkowo były to pomieszczenia Pałacu Ślubów przy alei Roździeńskiego, następnie odrestaurowany Pałac Goldsteinów przy placu Wolności, gdzie „Camerata" urzęduje do dziś – dysponując salą koncertową, profesjonalnym biurem i innymi udogodnieniami. Miarą uznania, jakim władze miasta darzą swój zespół, było przyznanie mu w 2003 roku Nagrody Prezydenta Katowic w dziedzinie kultury.

Obecnie „Camerata" daje corocznie wiele koncertów w Polsce i poza granicami kraju, w ośrodkach o najwyższym prestiżu artystycznym, takich, jak Gewandhaus w Lipsku, Parco della Musica w Rzymie, Palais de Beaux Arts oraz Le Théâtre Royal de la Monnaie w Brukseli, Concertgebouw w Amsterdamie, Gran Teatro La Fenice w Wenecji, Mei Lanfang Theatre w Pekinie. Dwukrotnie – w 2008 i 2009 roku wzięła udział w Sommerfestspiele w Bregenz, gdzie pod batutą m.in. Carlo Rizziego i Lothara Koeniga śpiewała w przedstawieniach oratorium *Solomon* Haendla oraz oper *Tosca* Pucciniego, *Aida* Verdiego oraz *Karol V* Křeneka i *Król Roger* Szymanowskiego. Mimo że zespół nadal śpiewa praktycznie każdy rodzaj muzyki (nie stroniąc nawet od tej bardziej popularnej – śpiewano i wydano na płycie kontrowersyjną muzykę Zbigniewa Preissnera), jego wizytówkami pozostały, jak poprzednio muzyka najnowsza i dawna. W pierwszej dziedzinie „Camerata" wyrobiła sobie z latami stanowisko mecenasa muzyki polskiej. Nawiązała bliskie kontakty z polskimi kompozytorami, takimi jak Krzysztof Penderecki, Wojciech Kilar, Henryk Mikołaj Górecki, Witold Szalonek, Bogusław Schaeffer, Zygmunt Krauze, Paweł Szymański, Krzysztof Knittel, Krzysztof Baculewski, Joanna Wnuk-Nazarowa, Ryszard Gabryś, Aleksander Gabryś, Stanisław Krupowicz, Agata Zubel. W wielu wypadkach zespół inspirował powstanie nowych utworów. Na szczególną uwagę zasługuje owocna praca „Cameraty" z Krzysztofem Pendereckim. Grupa wielokrotnie uczestniczyła w prezentacjach *Pasji Łukaszowej*, *Polskiego Requiem* i *Siedmiu Bram Jerozolimy* pod dyrekcją samego kompozytora (m.in. w Münster, Krakowie i Hamburgu), a w 2006 roku uczestniczyła w wykonaniu jego *Canticum Canticorum* na „Warszawskiej Jesieni".

Na szczególną uwagę zasługuje owocna praca „Cameraty" z Krzysztofem Pendereckim. Grupa wielokrotnie uczestniczyła w prezentacjach *Pasji Łukaszowej*, *Polskiego Requiem* i *Siedmiu Bram Jerozolimy* pod dyrekcją samego kompozytora (m.in. w Münster, Krakowie i Hamburgu), a w 2006 roku uczestniczyła w wykonaniu jego *Canticum Canticorum* na „Warszawskiej Jesieni".

Drugi wyróżniający się wątek obecnego repertuaru to, jak wspomniałam, muzyka dawna.

Drugi wyróżniający się wątek obecnego repertuaru to, jak wspomniałam, muzyka dawna. Tu „Camerata" włączyła się w najbardziej dziś rozpowszechniony nurt wykonań nawiązujących do historycznego brzmienia i stylistyki muzyki renesansu i baroku, wykonując jej dzieła z towarzyszeniem kopii dawnych instrumentów – tu należą koncerty zrealizowane z udziałem słynnych śpiewaczek Emmy Kirkby i Barbary Schlick, a także prezentacje z udziałem zespołów złożonych z wybitnych muzyków polskich i zagranicznych, m.in. Il Tempo i Concerto Polacco, Arte dei Suonatori, Accademia dell'Arcadia. Na najnowszych płytach „Camerata" utrwaliła utwory odnalezione w archiwach klasztornych na Jasnej Górze i w Gostyniu, autorstwa Aleksandra Władysława Leszczyńskiego, Józefa Zeidlera i Marc-Antonia Ingegneriego. Płyta z tymi ostatnimi, nosząca tytuł *Ciemne jutrznie* (Jasnogórska Muzyka Dawna vol. 54), została w 2013 roku nominowana do nagrody *Fryderyk*.

Można by jeszcze długo wyliczać osiągnięcia „Cameraty". Na koniec chciałabym wspomnieć o tych, które mają charakter nie tak spektakularny, a wyjątkowo dobrze służą potrzebom Pani Muzyki. To nagrania mało znanych oper, które dzięki temu przywracane są do życia muzycznego (zarejestrowano na płytach opery Cherubiniego i Spohra), a przede wszystkim nieustanna gotowość do służenia talentem, umiejętnościami i pracą innym muzykom. Przynieście nuty, a my to zaśpiewamy – taki jest znany w środowisku przekaz zespołu. Zatem – „niech nam żyją i śpiewają" – jak głosi pierwszy wers utworu-dedykacji, którą napisał „kameratczykom" Henryk Mikołaj Górecki. ■

MAREK SZALSZA

Schyłek szatrangu

(Fragment powieści, cz. II)

(Wydawnictwo w Podwórku, Gdańsk 2015)

Bohater powieści, Izydor, przekonany, że padł ofiarą sprzysiężenia urzędów (w rzeczywistości padł jedynie ofiarą mętnych przepisów i bałaganu), przeszedł do kontrnatarcia i porzucił dom, żeby wyruszyć na krucjatę przeciwko instytucjom. Przyświeca mu szlachetny cel obrony innych ciemiężonych petentów. Już pierwszego dnia zdołał się wykazać, dość skutecznie wspomagając wdowy, których mężowie mają decyzją magistratu zostać przeniesieni ze swoich grobów w inne miejsce cmentarza. Noc spędził w miejskiej noclegowni.

Rozdział XXIII

Rycerz urzędów

Nazajutrz zbudziły Izydora odgłosy gwałtownej sprzeczki, która rychło przerodziła się w zbiorową bijatykę. Co najmniej sześciu bezdomnych okładało się wzajemnie w pobliżu wieszaka. Z natury niezbyt krzepcy, nie czynili sobie większej krzywdy. Po chwili kłótnia znów powróciła na płaszczyznę werbalną. Przedmiotem sporu, jak zorientował się Izydor, były jakieś „ciaćki". Mężczyźni, miotając przekleństwa, zarzucali sobie nawzajem kradzież owych ciaćków, przy czym aktualne pretensje mieszały się z zadawnionymi: „Tam żem je miał! Ja też tam! No i gdzie są teraz? Skąd mam wiedzieć? Złodziej jesteś! To ty złodziej! A co, kiełbasę też żeś mi dupnął! Ja tobie dupłem!? Ze sklepu dupnięta była, a ty ją razem ze mną żarłeś! Obaj żeście żarli!" – takie i inne jeszcze sprawki wypływały teraz na światło dzienne, aż Izydor uznał, że pora wkroczyć. Sprężyście zeskoczył z pryczy i podszedł do grupki mężczyzn, którzy umilkli, łypiąc na niego bojaźliwie.

– Moi panowie – przemówił. – Nuży mnie wasz prostacki spór, który z pewnością łatwo można zażegnać, uciekając się do sprawdzonego instrumentu rewizji osobistej. Kto jest poszkodowanym?

Bezdomni milczeli ponuro. Poszkodowanych było trzech, ponieważ jednak „ciaćki" oznaczały w ich żargonie ukradzione pieniądze, nie kwapili się do tego, by rozwiązać spór pod dyktando Izydora.

– Hy, hy, a ja wiem, kto zabrał ciaćki – odezwał się nagle młody półgłówek, któremu w nocy na chwilę wciśnięto portfel.

– Kto?

– Ten gruby, co już go ni ma – odpowiedział głuptak, wskazując pustą pryczę.

– Taa, to pewnie on – potwierdził bezzębny dziadek leżący na górze. – Jak żem go zobaczył, to żem zaraz pomyślał, że to gleptoman.

Pomstując i złorzecząc na „gleptomana", mężczyźni się rozeszli. Izydor wyraził im współczucie z powodu poniesionych strat i obiecał, że jeśli tylko natrafi na złodzieja, zmusi go do zwrotu ukradzionej kwoty.

– Ile zginęło? – spytał dla porządku. Bezdomni spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. – A więc dwieście – postanowił Izydor i zapisał sumę w brulionie. Następnie włożył płaszcz i życząc wszystkim udanego dnia, opuścił salę. Odświeżywszy się pobieżnie w umywalni, zdał szmaciany ręcznik, pożegnał zaspanego brodacza i wyszedł.

Rys. Adam Dutkiewicz

Dzień zapowiadał się pięknie. Pierwsze kwiaty zakwitały na klombach, a ptaki odprawiały hałaśliwe wiosenne rytuały. Izydor był pełen optymizmu. Ponieważ do umówionej godziny brakowało jeszcze kwadransa, przystanął na skwerku, żeby chłonąć urodę miasta. Głęboko wdychając powietrze, przyglądał się przechodniom. „Wszyscy ci maluczcy – mówił sobie – śpieszą się do pracy lub do urzędów, mijając mnie obojętnie, i nawet przez myśl im nie przejdzie, że w mojej osobie znaleźli mężnego obrońcę. Nim upłynie doba, niejeden spośród nich będzie sławił mnie pod niebiosa". Rozważania te jeszcze bardziej utwierdziły go w dobrym samopoczuciu.

Po chwili jego uwagę przyciągnęło niepokojące zjawisko. Jakieś sto metrów dalej znajdował się podziemny pasaż, zasłonięty dużą tablicą reklamową. Izydor, który nie widział osób wchodzących do tunelu, lecz jedynie fragmenty ich głów migające przez ułamek sekundy w szparze pod bilbordem, ubzdurał sobie z jakiegoś powodu, że te przemykające ciemne kształty to szczury. W ciągu paru minut naliczył ich kilkadziesiąt. Zdziwiło go, że ludzie nie wpadają w panikę. Najwyraźniej przywykli do widoku gryzoni. „Akceptacja patologii stanowi fatalny symptom społecznej bezwolności" – pomyślał. Wyjął brulion i zapisał: „Rozwiązać kwestię zaszczurzenia".

Zadowolony, że jego działalność zatacza coraz szersze kręgi, poszedł do Urzędu Miasta, gdzie czekała już na niego staruszka z petycją. W odróżnieniu od Izydora była niewyspana. Przez całą noc zmagała się z myślą, czy jednak nie zaproponować mu noclegu. Wieczorne strachy wydały jej się niedorzeczne, natomiast Izydor, oglądany w świetle dziennym, jawił się jako nieszkodliwy i zacny człowiek, któremu bez obaw mogłaby odstąpić pokój. Właściwie nie chodziło o pokój, tylko o obszerną, przeszkloną alkowę, przesiąkniętą nieusuwalnym odorem kocich sików; z tego powodu nigdy nie zdołała wynająć jej przez agencję. Pokusa dodatku do skromnej emerytury była olbrzymia. Za dwieście pięćdziesiąt złotych miesięcznie staruszka chętnie przyjęłaby Izydora – miłego, kulturalnego pana, który na dodatek okazał się tak uczynny w sprawie grobu.

Stali już bowiem oboje przed obliczem naczelnika Wydziału Geodezji, domagając się natychmiastowego anulowania decyzji o ekshumacji dziesięciu grobów. Kiedy naczelnik usłyszał, w czym rzecz, pozieleniał na twarzy i zaczął wrzeszczeć. Staruszka była szóstą czy siódmą wdową nagabującą go w tym przeklętym temacie, z którym nie miał nic wspólnego.

Izydor, spokojnie przeczekawszy wybuch urzędnika, dał mu przyjacielską radę, żeby z należytą godnością i bez wykrętów stawił czoła problemowi. Zrozumie słuszność takiej postawy, jeśli pozwoli rozsnuć przed sobą kilka refleksji dotyczących istoty uprawianego przezeń zawodu. To przecież oczywiste, że geodetą nie zostaje się z przypadku, lecz dzięki powołaniu. Naczelnik zapewne już jako mały chłopiec czuł żywsze bicie serca na widok niewymierzonych pól i ugorów. Podobnie jak poeta idący za wołaniem muzy również on musiał wsłuchiwać się w wyraźny głos dobiegający z głębin jestestwa, który wzywał go do obrania właściwej drogi. Po latach wyrzeczeń i żmudnej nauki otrzymał dyplom. Czy nie pamięta już, jak klęcząc przed rektorem, całował teodolit i wypowiadał uświęcone słowa geodezyjnej przysięgi? Gdzież podziały się jego piękne młodzieńcze ideały dzisiaj, kiedy objąwszy wysokie stanowisko w urzędzie, swymi niewczesnymi decyzjami krzywdzi niewinnych obywateli?

Naczelnik przysłuchiwał się temu z rosnącym zdumieniem. Wywołany do odpowiedzi, zdołał tylko wymamrotać, że, jak już tłumaczył wcześniej wielu osobom, ani on, ani jego departament nie ponosi żadnej odpowiedzialności za decyzję wydaną przez Wydział Infrastruktury.

– No cóż, trzeba było mówić tak od razu – rzekł Izydor, po czym skłonił się i przeszedł ze staruszką do wskazanego wydziału.

W chwilę później drugi już tego ranka urzędnik wyższego szczebla musiał wysłuchać kwiecistej przemowy Izydora. Naczelnik Wydziału Infrastruktury miał mocno skwaszoną minę. Na jego biurku leżała gazeta opatrzona wielkim nagłówkiem:

Urząd Miasta bezcześci groby

Zamieszczony poniżej artykuł w wyjątkowo niekorzystnym świetle przedstawiał działania urzędu, częściowo usprawiedliwiając rzeczywistego winowajcę, czyli kierownika cmentarza. Naczelnik wodził posępnym wzrokiem po artykule i petycji. Doświadczenie podpowiadało mu, że problem jest z gatunku nierozwiązywalnych. Rozstrzygnięcie kwestii własnościowej między urzędem i podległą mu jednostką było prawie niemożliwe, ponieważ grunty cmentarza w rzeczywistości również należały do miasta, stanowiąc własność wydzieloną z niewyodrębnionego terenu poddzierżawionego cmentarzowi przez urząd. Naczelnik poczuł, że na samą myśl o tych zawiłościach robi mu się niedobrze. W dodatku stała przed nim zapłakana wdowa oraz jej namolny adwokat, oczekujący odpowiedzi na pytanie, którego on nawet nie dosłyszał. Musiał zbyć tych dwoje jakąś obietnicą, opieprzyć albo nawet zwolnić kierownika cmentarza, a następnie zadzwonić do Kobry, którą znał z innych okazji, i poprosić ją, żeby przysłała tu swojego pismaka celem zdementowania lub wyretuszowania jego dzisiejszych wypocin.

– A zatem… – zaczął, zastanawiając się, co właściwie powiedzieć, aż rutynowa formułka w jego umyśle wskoczyła na swoje miejsce: – …nie zapuszczając się teraz w skomplikowane szczegóły prawne, przyrzekam państwu, że starannie rozważymy petycję i ustosunkujemy się do niej w miarę możności pozytywnie. Sprawą zajmę się osobiście.

Istotą tej formuły, wypracowanej i doszlifowanej wysiłkiem kilku generacji urzędników, było przemycone w środku wyrażenie „w miarę możności", które dopuszczało odrzucenie petycji pod jakimkolwiek pretekstem, na przykład ze względów formalnych. Naczelnik odetchnął głęboko: bolała go głowa i marzył o tym, żeby tamci dwoje poszli już sobie w cholerę. Tymczasem utrapiony papuga wciąż sterczał na środku gabinetu i dla odmiany bredził coś o szczurach.

– A więc nie czytał pan dzieła Erharda Overatha pod tytułem *Wpływ szczurów na rozprzestrzenienie się dżumy w Moguncji w roku 1371*? – spytał Izydor. – Wielka szkoda, powinien pan się z nim bezzwłocznie zapoznać. Jest to w pewnym sensie pański obowiązek. Książka z pewnością znajduje się w miejskiej bibliotece. Autor opisuje, jak pchła szczurza, wędrując z człowieka na człowieka, spowodowała zdziesiątkowanie ludności miasta. Co pan na to?

– To znaczy na co.

– Ma pan żonę i dzieci?

Naczelnik machinalnie skinął głową.

– I pan tu sobie tak spokojnie siedzi? – zdumiał się Izydor. – Podziwiam pańską zimną krew. Mimo to proszę mi przyrzec, że jeszcze dzisiaj uruchomi pan służby deratyzacyjne. Najlepiej od razu.

– Oczywiście – odparł naczelnik z rezygnacją, następnie sięgnął po słuchawkę i wykonał odpowiedni telefon, w nadziei, że spełniając to życzenie, szybciej pozbędzie się natrętów. I faktycznie: Izydor oraz staruszka, pożegnawszy się uprzejmie, opuścili gabinet. Naczelnik poprosił sekretarkę o lód, który przyłożył sobie do skroni, a następnie wziął słuchawkę i mieląc w ustach przekleństwa, wybrał numer zarządu cmentarza.

Wśród petentów okupujących korytarze i poczekalnię urzędu panowało dziś spore ożywienie.

– Który to jest ten pan, co pomaga załatwiać sprawy? – pytano.

– Teraz go nie ma, musiał pójść do klientki, ale obiecał, że jeszcze dzisiaj wróci.

– I naprawdę nie bierze za pomoc żadnego wynagrodzenia?

– Ani grosika! Twierdzi, że wykonuje swój moralny obowiązek.

– Coś podobnego. Że też są jeszcze tacy ludzie.

– Wszyscy powinniśmy się za niego modlić.

– To jakiś prawnik?

– Nie, to adwokat.

Pod oknem, otoczony wianuszkiem słuchaczy, stał chudy ławnik. Ponieważ widziano, jak rozmawiał wczoraj z Izydorem, mógł teraz pogrzać się nieco w blasku jego sławy. Starał się wyolbrzymić stopień ich zażyłości, sugerując, jakoby znali się z sądu.

Grupka przejętych pań komentowała sprawę planowanego zbezczeszczenia grobów.

– Tak objechał naczelnika, że ten po jego wyjściu musiał przykładać sobie lód – mówiła kobiecina, która zdołała rzucić okiem do gabinetu.

– Naczelnik zaraz zadzwonił i nawrzeszczał na kierownika cmentarza. Aż przez drzwi było słychać.

– Przy okazji wypłynęła inna, znacznie grubsza afera.

– To znaczy?

– No, sprawa tych znikających zwłok.

– Ginęli im nieboszczycy?

– Właśnie. A znowuż w niektórych barach przy deptaku pojawiły się nowe, niby egzotyczne potrawy…

– O czym pani mówi?!

– Niczego nie sugeruję. Ale weźmy na przykład kraftszmak. Albo chflafik. Kto wcześniej słyszał o czymś takim?

– Panienko Przenajświętsza!

– Teraz wszystko się wydało i kierownik wyleci z hukiem.

– Powinien pójść siedzieć.

– Dożywocie to za mało dla takiego!

Tymczasem Izydor stał ze staruszką na skwerze przed urzędem, po raz piąty przetrząsając kieszenie. Właśnie dogadali się w kwestii wynajmu alkowy za dwieście pięćdziesiąt złotych i mieli sfinalizować transakcję, kiedy okazało się, że portfel Izydora jest pusty. W staruszce zaraz odżyła wczorajsza podejrzliwość. To prawda, że pan Spędziel ogromnie jej pomógł. Dzięki niemu ekshumacja prawdopodobnie zostanie wstrzymana. Z drugiej jednak strony czy można wierzyć w tak doskonałą bezinteresowność? Telewizja codziennie informuje o zupełnie nowych rodzajach przestępstw. Nietrudno wyobrazić sobie, że oszust może pozyskać zaufanie ofiary, oddając jej na początek autentyczną przysługę. Zapewniwszy sobie wstęp do jej domu, wybiera korzystny moment, okrada ją ze wszystkich kosztowności i znika. Cóż za szczyt wyrafinowania! Chociaż akurat manewr z rzekomo zgubionymi pieniędzmi nie był zbyt oryginalny: wdowa widziała ostatnio reportaż o dwóch kanciarzach, którzy niezależnie od siebie stosowali tę sztuczkę. Jeden został schwytany, ale drugi, znacznie groźniejszy, Olaf Sk... sen (z jakiegoś powodu w telewizji jego nazwisko zawsze wypikiwano), obdarzony licznymi talentami Norweg, wciąż przebywał na wolności. Był genialnym poliglotą. Podobno nauczenie się nowego języka ze słuchu zabierało mu pięć tygodni. Jeśli nie zdołał w tym czasie opanować danej mowy w takim stopniu, że miejscowi brali go za swojego, obrażał się na kraj i nigdy już tam nie wracał. Zdarzyło mu się to zresztą tylko raz, w Chinach, gdzie zdemaskowano go jako cudzoziemca wyłącznie ze względu na kolor włosów. Sk... sen celowo wybierał państwa, w których mówi się trudnym językiem. Łatwe języki zupełnie go nie interesowały. „Angielski? Niemiecki? Któż by ich nie znał? Byle dureń mówi dziś po angielsku i po niemiecku” – oświadczył w wywiadzie, jakiego udzielił przez telefon. Język polski, uchodzący wśród obcokrajowców za wyjątkowo skomplikowany, mógł podbechtać jego ambicję. Przebiegły Norweg, mając dar zjednywania sobie sympatii, zaprzyjaźniał się z ludźmi, a następnie „odkrywszy”, że został okradziony, pożyczał od nich pieniądze i znikał na zawsze. Interpol oraz policje kilkunastu krajów dysponowały sześcioma bardzo różnymi rysopisami oszusta. Czy jej dzisiejszy dobroczyńca nie pasuje przynajmniej do jednego z nich?

Pożegnawszy się ze starszą panią, Izydor wstąpił do banku, gdzie pobrał pieniądze. Wolał nie używać karty bankomatowej, musiał więc odstać swoje w kolejce. Okazało się, że ma na koncie sto siedemnaście złotych. Wiedząc, że stan ten nie zmieni się przed końcem miesiąca, kiedy wpłynie szczupła pensyjka od matki, postanowił na dłużej zainstalować się w noclegowni. Nie przejął się tym wcale, bo nie dbał o wygody. Przy okazji poszuka swoich pieniędzy: może wpadły mu pod łóżko, a może jakiś uczciwy znalazca złożył je w portierni? Byle tylko nie stały się łupem tajemniczego „gleptomana”, który okradł też innych bezdomnych.

Dotarł właśnie przed urząd, kiedy ponownie zagadnął go koczujący tam długowłosy mężczyzna. Tym razem Izydor przystanął, żeby zorientować się, kto to taki. Mężczyzna przedstawił się jako jeden z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszy poeta w mieście. Niestety, ponieważ należy do tak zwanych artystów niewygodnych, władze na każdym kroku zwalczają jego twórczość. Przykłady prześladowań mógłby mnożyć w nieskończoność, dlatego poda tylko pierwszy z brzegu. Oto wymyślił zupełnie nową, niepowtarzalną formę dystrybucji swoich wierszy. Powiela je komputerowo na maleńkich karteczkach i przykleja do rozpiętych między latarniami lub kolumnami kilkumetrowych pasków taśmy klejącej. Przechodnie mogą zrywać sobie te karteczki, płacąc mu symboliczną kwotę pięćdziesięciu groszy za sztukę. Oczywiście Urząd Miasta (poeta z przekąsem używał nieco anachronicznego określenia „magistrat”) natychmiast obłożył jego działalność zakazem bezwzględnie egzekwowanym przez straż miejską. Jako powód podano brak regulacji podatkowej dla tej formy sprzedaży. Jest to, rzecz jasna, tylko pretekst. W rzeczywistości lokalne kacyki lękają się zawartych w jego utworach treści wywrotowych, i słusznie, bo poeta bezlitośnie chłoszcze szerzące się kumoterstwo, korupcję i bałagan.

– Chciałbym panu zaprezentować szczególnie udany wiersz, który napisałem wczoraj – powiedział, podtykając Izydorowi karteczkę. – To oda. Zawarłem w niej ripostę na spotykające mnie szykany.

Przechodnie traktowali poetę jak wariata, lecz Izydor nie zwykł stosować tej kategorii przy ocenie innych ludzi, a ponieważ interesowały go problemy każdego z nich, przejął się niedolą twórcy, który ewidentnie należał do licznego grona ofiar, i chętnie zapłacił mu pięćdziesiąt groszy za karteczkę. Przemierzając hol urzędu, odczytał następujące strofy:

Łamanie opornych to rozrywka tyrana,
Co brutalnych zbirów zatrudnia na etacie.
Lecz nie myśl, że śmiertelnie wykrwawi mnie rana,
Którą mi zadałeś, złowieszczy magistracie.

Choć chwilowo broczę, podźwignę się na przedzie,
By słowa nieśmiertelne przekuć w gromki papier.
A siła ich wnet do zguby cię przywiedzie,
Skuteczniej niż uczyniłby to srebrny rapier.

Zastanawiając się, co to znaczy, że poeta „podźwignie się na przedzie”, Izydor dotarł do pierwszego piętra. Zgromadzeni tam petenci powitali go małą owacją na stojąco. Teraz dopiero poczuł, jak radosne może być brzemię misji podjętej w służbie ludzkości. Zaraz opadł go tłum osób, z których każda zaczęła przedstawiać mu swoją sprawę. Podszedł też chudy ławnik, zresztą tylko po to, żeby wymienić z nim kordialny uścisk dłoni. Ci, którzy stali dalej, nawet nie próbowali dopchać się do Izydora. Starsze panie powtarzały mocno już przetworzoną wersję opowieści o jego interwencji na cmentarzu. Młoda matka uniosła w górę dziecko, żeby lepiej widziało bohatera. Tymczasem Izydor, niezdolny ogarnąć nadmiaru spraw, jakimi go nagle zarzucono, doszedł do wniosku, że przydałby mu się gabinet albo co najmniej zaimprowizowane biuro, w którym mógłby przyjmować zgłoszenia.

Ledwie wyraził taką sugestię, ludzie przystąpili do działania. Wysunęli stojący pod oknem stół, z którego uprzątnęli czyste formularze i dużą donicę z fikusem, znalazło się też krzesło. Już po chwili Izydor siedział na nim i zapisywał w brulionie kolejne zawiłe przypadki. Petenci, wykazując rzadką jednomyślność i dyscyplinę, ustawili się w długim ogonku. Zresztą kolejka szybko posuwała się do przodu, bo Izydor notował tylko nazwiska osób i krótkie opisy spraw. Przy nazwiskach umieszczał numerki, według których zamierzał potem wywoływać odpowiednie osoby. Wszyscy chwalili tempo i organizację jego pracy, przebiegającej, jak zgodnie twierdzono, o wiele sprawniej niż zwykła praca urzędu. Nowi petenci, którzy wchodzili na piętro, bez pytania stawali w kolejce, żeby dostać numerek. Wielu z nich wcale nie wiedziało, że Izydor nie jest tu zatrudniony. Podawali swoje dane, odbierali kwit i siadali na ławie, czekając aż nadejdzie ich kolej. Zebrawszy dwadzieścia pięć zgłoszeń, Izydor przeprosił tych, którzy nie załapali się do rejestru i obiecał wciągnąć ich przy najbliższej okazji. Następnie wywołał pierwsze nazwisko z listy. Petent wstał, Izydor zajrzał do brulionu i rzekł:

– To będzie Departament Dróg i Komunikacji. Chodźmy.

Kazus okazał się dziecinnie prosty, a petent z pewnością poradziłby sobie bez niczyjej pomocy, niemniej jednak wdzięczny był „rzecznikowi” za rzutkie i elokwentne pośrednictwo.

W ciągu następnych godzin Izydor obsłużył w ten sam sposób kilkanaście osób. Reakcje urzędników na jego obecność były podobne: wszyscy krzywili się z niechęcią, żaden nie dziwił się ani nie protestował. Petenci ograniczali się do zwięzłego wyłuszczenia sprawy, po czym szybko oddawali inicjatywę znacznie bardziej energicznemu Izydorowi. On brał na siebie całą nieprzyjemną stronę wizyty w urzędzie, odpierając wytaczane zarzuty i śmiało wytykając urzędnikom ich zaniedbania lub niekompetencję. Wszystko przebiegało płynnie, a osoba rzecznika doskonale wpasowała się w bezwładny tryb urzędowania „złowieszczego magistratu”.

■

Marek Szalsza (ur. 1967 w Zabrzu), pisarz i tłumacz. Dzieciństwo spędził w Katowicach i Gdańsku, mieszkał w Wiedniu, obecnie w Sopocie. Publikował opowiadania w czasopismach i antologiach. *Schyłek szatrangu* to jego pierwsza powieść, nagrodzona w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława Faca, która ukazała się w październiku 2015 roku nakładem Wydawnictwa w Podwórku.

Katowice, narożna kamienica przy placu Miarki i Wita Stwosza, około 1920.

Katowice za Górnika (cz. I)

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Gdy odchodził na emeryturę, miał zaledwie 42 lata. Nikt nie prosił aby powrócił na prezydencki fotel, nikt nie chciał korzystać z jego wielkiej wiedzy i bogatego doświadczenia.

Osoba, pierwsza w ponad stutysięcznym mieście, nagle, z dnia na dzień znalazła się poza nawiasem życia publicznego. Był menadżerem kompetentnym i skutecznym – fachowcem dużej klasy. Nie był defraudantem, nie wywołał skandalu, nie miał nawet wrogów. Był tak doskonale bezstronny i niezależny, że gdy już odszedł, nikt nie zauważył jego braku. Był idealnym przykładem powieściowego antybohatera. U nikogo nie wzbudził przywiązania. Miał szczególną cechę, świadomie i starannie pielęgnowaną – wyróżniał się sumiennością. Dał słowo, że jako ojciec miasta, będzie decydował bezstronnie i temu przyrzeczeniu pozostał wierny do ostatnich dni. Kierował się dobrem wszystkich obywateli. Jednak ani Niemcy, ani Polacy nie uważali go za swego.

Urodził się w polskiej rodzinie ale myślał po niemiecku. Wydawało się, że w zantagonizowanej narodowościowo wspólnocie, człowiek tego pokroju będzie najbardziej odpowiednim autorytetem, patronem i mecenasem, budującym mosty służące pojednaniu.

Alfons Górnik, student kilku uniwersytetów a potem dyplomowany specjalista w zakresie polityki społecznej, doktor rerum politicarum Wyższej Szkoły Technicznej w Berlinie – Charlottenburgu, po 8 latach nienagannego wykonywania obowiązków służbowych został potraktowany jak eksponat godny muzealnych magazynów do których nikt nie zagląda.

Wiosna 1919 Na nowej drodze życia

Po raz pierwszy to miasto zobaczył z wiaduktu nad Johannesstrasse (obecnie św. Jana). Z zaciekawieniem oglądał wyniosłą bryłę hotelu Deutsches Haus, a po przeciwnej stronie, przy ulicy dziś zwanej Dworcową, hotelik „Friedrichshof". Jechał do Mysłowic, aby zapisać się do gimnazjum, w którym później zdał maturę. Na peronie obejrzał ładnie zaprojektowane, żeliwne kolumny wspierające zadaszenie. Katowice znał wtedy z okien pociągu. Zrobiły na nim wrażenie. Czy pomyślał, że będzie ich prezydentem? Miał wtedy 15 wiosen.

Zamieszkał tutaj 18 lat później. Przeniesiony służbowo z Zabrza, gdzie był syndykiem, w kwietniu 1919. objął posadę radcy w katowickim ratuszu.

Był szatynem o dużych oczach, dobrotliwie spoglądających spod krzaczastych brwi. Nosił krótko przystrzyżony wąsik i do góry zaczesane włosy.

10 maja 1919., gdy już zakwitły białe bzy, stanął na ślubnym kobiercu obok 22-letniej Dolnoślązaczki, Elżbiety z domu Ludwig, córki kłodzkiego jubilera. W rok później przyszedł na świat ich syn Rudolf urodzony jeszcze w Gliwicach, gdzie mieli poprzednie lokum. Wynajęli apartament w katowickiej kamienicy przy Dürerstrasse 1 (obecnie Wita Stwosza). Ich sąsiadami byli m.in. prof. Feliks Bocheński, prezes sądu apelacyjnego, dr Józef Reszka, polski adwokat i dr Ernst Tichomer niemiecki notariusz.

Tutaj wychowywał się pierworodny dwojga młodych, kochających się katowiczan, po latach absolwent miejscowego gimnazjum. W tym domu z widokiem na Blücherplatz później nazwany placem Karola Miarki, Rudi i jego mama, rodowita Niemka, uczyli się polskiej mowy i modlili w katolickiej farze św. Piotra i Pawła. W narożnej, ekskluzywnej czynszówce Alfons mieszkał do ostatnich dni życia.

Pod zarządem robotników i żołnierzy

Wiosną 1919 poczytne „Głosy z nad Odry" cytowały przykłady potocznej polszczyzny dającej się zasłyszeć na ulicach miasta: „W Katowicach mam dobry anszlus, ale muszę do tribwagen umsztajgować. Hofentlich mój cug nie będzie miał ferszpetung. Należało to rozumieć jako: „W Katowicach mam dobre połączenie, ale muszę przesiadać do wozu motorowego. Spodziewam się, iż mój pociąg się nie spóźni." Wtedy dla śląskich Polaków i śląskich Niemców ten język był zrozumiały. Potrafili się nim dogadać w wielu sprawach ale były jeszcze inne domagające się pozaparlamentarnych rozstrzygnięć.

Od dnia kapitulacji II rzeszy przez Katowice, przetaczała się fala niemieckiej rewolucji listopadowej. Wybuchały strajki, na ulicach demonstrowali zbuntowani obywatele, w mieście panowały zamieszki. W hutach, kopalniach i fabrykach zawiązywały się lokalne ośrodki samorządowe.

Władza wymykała się z rąk magistratu, wojska i policji. Nadburmistrz Alexander Pohlmann pełniący obowiązki jednego z liderów dopiero co utworzonej Deutsche Demokratische Partei częściej bywał w Berlinie niż w katowickim ratuszu. Praktycznie, już od ponad roku zastępował go Edmund Leu, który wcześniej przejął obowiązki wiceburmistrza Paula Neugebauera, poległego na wojnie.

Od stycznia 1919. zarząd nad miastem znajdował się w rękach katowickiej Rady Robotniczej i Żołnierskiej zdominowanej przez socjaldemokratów. Mimo wiele obiecującego szyldu, wbrew deklarowanym ideałom, przez ponad 10 miesięcy, aż do rozwiązania w listopadzie 1919., wspierała reakcyjne partie polityczne, odtwarzała stare struktury administracyjne a jako narodowego wroga numer 1 wskazywała Polaków i komunistów „Spartakusa". Pod sztandarami walki z polsko bolszewicką inwazją, zwierała szeregi heimatstreuerów – wiernych ojczyźnie patriotów. Na jej czele stanął Otto Hörsing, z zawodu kowal, były pruski feldfebel i lider Soldatenratu w katowickim garnizonie Reichswehry, niebawem za zasługi dla ojczyzny awansowany na stanowisko Komisarza Rzeszy i Prus dla Górnego i Dolnego Śląska. Ogłosił stan oblężenia. Jego zastępcą był A. Pohlmann, pierwszym doradcą Otto Ulitz, polakożerca, inspektor miejscowej Sicherheitspolizei – SIPO. Ściśle współdziałali z katowickim komendantem policji, a zarazem Landratem Gotfriedem Schwendym. Decyzje podejmowali wspólnie z dowództwem katowickiego garnizonu Reichswehry, najliczniejszego w całym okręgu przemysłowym. Na podorędziu mieli niemieckie oddziały ochotnicze wspomnianego SIPO oraz Grenzschutz. Do Katowic zwoływali konferencje koordynacyjne niemieckich partii, władz i organizacji paramilitarnych. Całe Niemcy stawały w obronie Górnego Śląska i jego przemysłowego centrum.

Sąsiad i współpracownik

W tamtych gorących dniach wiosny 1919. dr Alfons Górnik, po raz pierwszy wszedł do gabinetu burmistrza Edmunda Leua, który witając nowego pracownika uśmiechnął się i powiedział:

– Miło mi, jesteśmy sąsiadami, pan mieszka w tej narożnej kamienicy Schwerina i Weissenberga przy Dürerstrasse a ja o dwie bramy dalej pod „piątką".

Żaden z nich nie przypuszczał, że w niecałe 3 lata później Górnik zostanie zwierzchnikiem Leua.

Usiedli w wygodnych fotelach. Burmistrz scharakteryzował obowiązki

Alfons Górnik

swego nowego pracownika zatrudnianego na stanowisku radcy miejskiego, na którym on wcześniej sam przepracował prawie 10 lat. Przedstawił sytuację w mieście, a potem zapoznał z kolegami zza magistrackich biurek. Przeglądając jego życiorys zwrócił uwagę, że pochodzi z polskiej rodziny, jest katolikiem i członkiem Ostmarkvereine. Uniósł lekko brwi, ale natychmiast ukrył zdziwienie. Wspomniał tylko, że wzorowi Niemcy z tej organizacji, wysoko cenionej przez państwo, skupiają się wokół prof. Hoffmanna, dyrektora katowickiego gimnazjum, że jej przewodniczącym jest mecenas Hugo Sachs, zięć Richarda Holtzego, a wspierają go inspektor szkolny Rzeczniczek i nauczyciel Knötel. Zastrzegł, że nie jest pewien czy jeszcze pozostają w mieście, bo w obawie przed Polakami zamierzali się ewakuować.

Dr Górnik nie zauważył zdziwienia swego przełożonego. Cieszył się z awansu i zamieszkania w mieście uchodzącym za ośrodek przemysłu i cywilizacji. Służbowe formalności chciał mieć jak najszybciej za sobą. Za kilka tygodni małżeńskim węzłem miał się połączyć ze swoją ukochaną Elle. Zanim wyjechał na ślubne ceremonie do Kłodzka, widział jeszcze jak z okazji 1. i 3. maja, na katowickim Rynku, za oknami jego gabinetu demonstrowali Polacy. Z orkiestrami i sztandarami na ulice wyległo tysiące osób, wśród nich mieszkańcy osad podmiejskich i okolicznych wsi. Ich transparenty głosiły, że chcą aby Śląsk powrócił do Polski.

Był młodym pruskim urzędnikiem z rekomendacjami. Myślał i czuł po niemiecku. Otwierały się przed nim perspektywy kariery. Rozpierała go radość i chęć życia. Nie przypuszczał, że już za rok zostanie oficjalnym pełnomocnikiem tej barwnej i rozśpiewanej gromady.

Wiosna 1920 Deus ex machina

Górnika rekomendował Korfanty. Nie wiadomo dlaczego obdarzył go wyjątkowym zaufaniem i dlaczego powierzył mu strategicznie ważne stanowisko. Po latach, były powstańczy dyktator, tak to wyjaśniał:

„Komisja Międzysojusznicza postanowiła, że przy każdym burmistrzu, prezydencie miasta samodzielnego, wydzielonego z powiatu, miał być doradca, kontroler – Polak; jako warunek stawiano, że musiał to być Górnoślązak. Wobec braku inteligencji rodzimej na Górnym Śląsku napotykałem na niezmierne trudności, gdy chodziło o obsadzenie tych stanowisk. Pamiętam jak dziś, gdy chodziło o obsadzenie takiego doradcy-kontrolera w mieście Katowicach, to absolutnie nie miałem nikogo. Zwróciłem się do Ślązaka, dr. Górnika, obecnego prezydenta miasta, żonatego z Niemką, w domu mówiącego po niemiecku i należącego do Ostmarkverein i zapytałem, czy chciałby stanąć po stronie polskiej i objąć urząd tego doradcy: mogę Pana zapewnić, dodałem, że Katowice bez wątpienia przypadną Polsce, że Pan ma wszelkie dane zostania burmistrzem. Na to otrzymałem odpowiedź od pana Górnika: proszę mi dać 24 godziny do namysłu. On był płatnym ławnikiem, urzędnikiem magistratu. Nazajutrz wrócił do mnie i oświadczył: przyjmuję."

Fałszywie brzmi frazes o „braku inteligencji rodzimej" – do dziś, bezrefleksyjnie powtarzany za pruską propagandą tamtych lat. Powszechnie wiadomo, że rdzenni Ślązacy już od schyłku XIX wieku mieli swoich księży, lekarzy, adwokatów, urzędników, przemysłowców, dziennikarzy – dyplomantów wyższych uczelni lub absolwentów gimnazjum. To był oficerski korpus miliona polskich Ślązaków, który swoją znaczącą obecność zamanifestował w latach 1918-1921. Dość wymienić dr. Adama Kocura, ks. dr. Józefa Gawlinę (później biskupa i generała) czy kpt. Karola Grzesika – tak jak Górnik pochodzących z Kuźni Raciborskiej. W czasie powstań pełnili funkcje dowódców, kierowali służbami powstańczymi itd. Sprawdzali się w praktyce życia codziennego. Byli czynni zawodowo i nie ukrywali swojej polskiej narodowości. Wielu z nich mieszkało w Katowicach bądź innych miastach Śląska. Stanowiąc wspólnotę, utrzymywali

koleżeńskie, towarzyskie i rodzinne kontakty. Zabrakło w niej Alfonsa Górnika i to stało się powodem dla którego potem przypinano mu łatkę: „Deus ex machina".

U boku dowódcy miasta

W maju 1920. dr Alfons Górnik znalazł się w samym środku areny na której rozstrzygały się losy polskości Katowic. Wojciech Korfanty, wówczas komisarz kierujący narodową akcją plebiscytową na całym Górnym Śląsku, mianował go mandatariuszem i pełnomocnikiem miejscowych Polaków. Z jego rekomendacji został polskim doradcą technicznym kontrolera powiatowego płk. Blancharda, który jako przedstawiciel Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej pełnił funkcję wojskowego dowódcy miasta; nadzorował pracę niemieckiego samorządu i niemieckich urzędników zatrudnionych w magistracie. Czuwał nad przestrzeganiem rygorów stanu wojennego. Wydawał pozwolenia na organizowanie zgromadzeń i manifestacji publicznych. Jednak, w istocie rzeczy sprawował formalną kontrolę w sprawach cywilnych.

Biuro jego komendantury, chronione przez żołnierską kordegardę znajdowało się w dawnej willi Deutsche Volksbanku, przy Friedrichstrasse 7 (obecnie: Warszawska). Czuwało nad tym aby niemieccy urzędnicy nie podejmowali stronniczych decyzji. Głównym jego zadaniem było stworzenie warunków, dla sprawnego i prawidłowego przeprowadzenia plebiscytu.

O ciężarze gatunkowym biurokratyczno-nacjonalistycznych zagrożeń, jako jeden z wielu dokumentów, zaświadcza raport płk. Thomasa, Anglika, szefa wywiadu Międzysojuszniczej Komisji, tak raportującego o niemieckich urzędnikach: „Ich starannie zaplanowane zdradzieckie poczynania oplatają nas zewsząd niczym pajęcza sieć. Wynikłe z tych działań przeszkody, czynią bezowocnym wszelki wysiłek na rzecz wzniesienia się ponad partykularne podziały".

„Cały aparat administracyjny był i pozostał na wskroś niemiecki. Społeczeństwo niemieckie, żyjące de facto w ramach państwa niemieckiego było doskonale zorganizowane i cieszyło się oczywiście wszechstronnym poparciem swojej administracji. (…) Panami położenia w sensie politycznym i administracyjnym byli Niemcy" – wspominał Jan Keller, jeden z katowickich powstańców i polski oficer alianckich służb specjalnych.

Kontroler powiatowy i jego dwaj doradcy reprezentujący zwaśnione nacje Niemców i Polaków, współdziałali z mecenasem Stanisławem Kobylińskim i redaktorem Edwardem Rybarzem, którzy w hotelu „Residenz" przy św. Jana 10, prowadzili Centralne Biuro Informacyjne, powołane w celu inwentaryzacji dowodów nadużyć władz niemieckich wobec ludności polskiej przed, podczas i po pierwszym powstaniu. Dr Górnik współpracował z dr. Henrykiem Jarczykiem, komisarzem demokratycznie, przez Polaków, wybranego Polskiego Komitetu Plebiscytowego na powiat katowicki, oficjalnie zakwaterowanego w hotelu Guttfelda.

Sprzymierzeńców dr Górnik znalazł też wśród siedmiorga Polaków, którzy kilka miesięcy wcześniej, stworzyli frakcję polską w łonie rady miasta Katowice. Należeli do niej: działaczka narodowa Aleksandra Szyperska, dyrektor Banku Ziemskiego Jan Piechulek, lekarz Andrzej Mielęcki, redaktor Jan Brzeskot, Wawrzyniec Widuch, kupiec Franz Maska i mistrz budowlany Leopold Dembiński. W codziennych kontaktach z tymi ludźmi, dawniejszy pruski urzędnik ulegał coraz pełniejszej duchowej i mentalnej repolonizacji.

Od maja 1920. jako pracownik Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu, przeprowadzał inspekcje, kontrolował dokumenty i co tydzień swoim mocodawcom składał raporty charakteryzujące sytuację społeczno-ekonomiczną Katowic i uzasadniające obronę interesów ludności polskiej. Lojalności i oddaniu się ich sprawie dowiódł podczas wypadków sierpniowych tamtego roku, gdy niemieckie bojówki zamordowały dr. Andrzeja Mielęckiego, napadły i okaleczyły jego kolegę dr. Henryka Jarczyka a następnie urządziły pogrom polskojęzycznych katowiczan, niszcząc ich sklepy, biura i lokale. Nie szczędził detali dotyczących zamachu na siedzibę redakcji „Gazety Ludowej" a następnie na usytuowane naprzeciwko – lokum Polskiego Komitetu Plebiscytowego przy Heinzelstrasse 1 (obecnie: Plebiscytowa). Z niepokojem obserwował bezradność swego współpracownika płk. Blancharda a potem determinację zastępującego go gen. Julesa Gratiera ogłaszającego stan oblężenia dla Katowic. Relacja dr. Górnika była wyczerpująca. Wskazywała przyczyny terrorystycznych ataków i wymieniała winowajców.

Od wiosny 1921. gdy Komisja Międzysojusznicza powołała do życia wydział parytetyczny złożony z 5 Niemców i 5 Polaków, kolejny organ stojący na straży obywatelskiego równouprawnienia niemieckich i polskich mieszkańców Katowic, dr Górnik współdziałał także z budowniczym Fritzem Weigmannem i finansistą Janem Piechulkiem, stojącymi na czele Wydziału.

Wiosna 1921 Jeden z dwunastu

Po ogłoszeniu wyników marcowego plebiscytu i zakończeniu majowego powstania w rejencji opolskiej zapanowały tygodnie militarnej ciszy. Zakończyła się 50-letnia wojna o Śląsk, jaką Bismarck Polakom wypowiedział w 1871. Po krwawych zmaganiach wiosennego dramatu, w gabinetach i na zebraniach ożywiło się tempo politycznych negocjacji i projektowania śląskiej dzielnicy powracającej w granice odrodzonej Rzeczpospolitej. Polski Komisariat Plebiscytowy przekształcono w cywilną Naczelną Władzę dla Górnego Śląska a następnie w Naczelną Radę Ludową. Jednym z jej 12 członków został dr Alfons Górnik, a wraz z nim Michał Grajek, ks. Teodor Kubina, Emil Caspari, Jan J. Kowalczyk, Józef Grzegorzek i inni. Od sierpnia 1921 nowej instytucji przewodniczył Józef Rymer. Pod koniec grudnia jej siedzibę z hotelu „Lomnitz" w Bytomiu przeniesiono do hotelu Deutsches Haus w Katowicach.

Podziurawione kulami karabinów ściany, drzwi i okna przypominały Górnikowi o tragedii urzędującego tu przedtem katowickiego zarządu Polskiego Komitetu Plebiscytowego, rok wcześniej, zaatakowanego przez bojówkarzy Stosstrupps. To była ostatnia runda przewlekłej, półwiecznej wojny o polskie Katowice.

Teraz w tym gmachu, na drugim piętrze, znów miał gabinet. Z jego okien widział wiadukt kolejowy i szczyty kamieniczki głównego odwachu francuskiej misji wojskowej, a dalej, przy Dworcowej 11 hotel „Central", skąd jeszcze do niedawna komisarz Kurt Urbanek, sterował propagandową machiną Niemieckiego Komisariatu Plebiscytowego całej rejencji opolskiej. Podczas drugiego powstania, dr Górnik ustalał z nim tekst odezwy apelującej do wszystkich Ślązaków aby zaprzestali walk zbrojnych. Potem podpisały ją obydwa komisariaty – niemiecki w Katowicach i polski w Bytomiu. Korfantego, Urbanka i kilku trzeźwiej myślących, partyjnych przywódców przeraziły rozmiary tragedii i ludobójczej katastrofy, do jakiej doszło na ulicach Bytomia, Katowic, Zabrza i innych miast. Zgodnie apelowali: „Dosyć grozy i rozlewu krwi! Przedstawiciele sprawy niemieckiej i polskiej zbliżyli się do siebie, ażeby naszemu ludowi przywrócić spokój, ład i niezamąconą możliwość pracy. Wszyscy pragniemy przywrócenia prawnych stosunków." ■

Foto: Muzeum Śląskie

Fragment ekspozycji „Podziemne światło" Lecha Majewskiego w Muzeum Śląskim.

O poszukiwaniu samego siebie

Leszek Kołakowski w „Kompletnej i krótkiej metafizyce" pisał: „Na czterech węglach wspiera się ten dom, w którym, patetycznie mówić, duch ludzki mieszka. A te cztery są: Rozum, Bóg, Miłość, Śmierć. Sklepieniem zaś domu jest Czas, rzeczywistość najpospolitszą w świecie i najbardziej tajemniczą". O Rozumie, Miłości i Śmierci mówił tak: „Rozum ma nam służyć do tego, by wykrywać prawdy wieczne, oporne na czas. Bóg albo absolut jest tym bytem, który nie zna przeszłości ani przyszłości, lecz wszystko zawiera w swoim „wiecznym teraz". Miłość, w intensywnym przeżyciu, także wyzbywa się przeszłości i przyszłości, jest teraźniejszością, skoncentrowaną i wyłączną. Śmierć jest końcem tej czasowości (…). Wszystkie zatem wsporniki naszej myśli są narzędziami, za pomocą których uwalniamy się od przerażającej rzeczywistości czasu, wszystkie zdają się temu służyć, by czas prawdziwie oswoić".

Cytowane słowa Leszka Kołakowskiego przyszły mi na myśl po obejrzeniu prezentacji w Muzeum Śląskim projektu multimedialnego autorstwa Lecha Majewskiego zatytułowanego „Podziemne słońce". Stojąc pośrodku ogromnej, ascetycznej przestrzeni wypełnionej ze wszystkich stron dziełami artysty, można było poczuć siłę tego przekazu. Kolejność oglądania określił artysta na specjalnie opracowanym planie. Gigantycznych rozmiarów ruchome obrazy wideo-artów, których projekcja odbywała się na okalających tę przestrzeń ścianach (zauważyć trzeba, że dopiero w nowym Muzeum Śląskim możliwa stała się prezentacja przygotowanego w ten sposób projektu), jakby zamykały w swoim wnętrzu kameralne, wyciszone rzeźby oraz instalacje przypominające o upływie czasu. Otaczały też widza, który niezależnie od ustalonego porządku, mógł swobodnie decydować o kolejności oglądania poszczególnych elementów. Na „Podziemne słońce" złożyły się: tryptyk z cyklu „Ćwiczenia z Bruegla", „Katedra" i „Sąd Ostateczny" Memlinga z cyklu „Supermarket Dante", „Pociąg", „Kochanka", „Obiad" i „Straż" z cyklu „Krew Poety", „Orka" z cyklu „Supermarket Dante", „Las" – dyptyk z cyklu „DiVinities", tryptyk: „Jaguar", „Ukrzyżowanie i „Źródło młodości") z cyklu „Krew Poety" oraz „Polana" – dyptyk z cyklu „Supermarket Dante". W przestrzeni tej znalazło się też kilka rzeźb, wśród nich: Kuros, Sznurówki, Lektura, Plac zabaw. Jedna z rzeźb (człowiek z papierową torbą na głowie) stanowiła swego rodzaju monument wieńczący cztery wideo-arty z cyklu „Krew Poety", przedstawiające dramatyczne sceny z życia rodziny – jednego z głównych tematów twórczości Lecha Majewskiego (wystarczy chociażby przywołać niezwykłe widowisko „Pokój saren", określane przez autora jako opera autobiograficzna).

Wszystkie obrazy (filmowe i rzeźbiarskie) to filozoficzne traktaty, to znaki zapytania stawiane przez artystę, to poszukiwanie tego, co sam nazywa tajemnicą ludzkiego bytowania, tajemnicą sztuki, tajemnicą istnienia w ogóle. W jednym z wideo-artów zatytułowanym „Katedra" wykorzystał wnętrze zabytkowej sosnowieckiej katedry – niezwykłe wnętrze, bo nacechowane symbolami patriotycznymi z okresu Młodej Polski. To tu dokonuje się swoiste oczyszczenie – spływająca lawinowo woda znad ołtarza, wpadająca pod stopy wiernych to nowy chrzest, nowe narodzenie. A jaka jest rzeczywistość? Jej unaocznieniem jest ustawiony na konsekrowanym ołtarzu nowy bożek, kreator naszej codzienności – telewizor, który jak złoty cielec przeczy idei świątyni. To pytanie o wyznawane wartości, o fundament. Jest też ten obraz niezwykłym manifestem Lecha Majewskiego, jest swoistym wyznaniem wiary i deklaracją postawy. Jest dyskusją z czasem dzisiejszym – realnym, a tym wyobrażanym pod postacią kanonów wiary trwającym od tysiącleci. „Sąd Ostateczny" Memlinga – malarza obok Bruegla niezwykle bliskiego Majewskiemu, zestawiony z tandetnym telewizorem – oknem na świat współczesnego człowieka, to dramatyczna próba pokazania zagubienia i życia w natłoku informacji, w świecie bez prawdziwych wartości – wartości chrześcijańskich, stanowiących podwaliny sensu istnienia. Lech Majewski przypomina o wartościach niepodważalnych – jakimi według artysty są Wiara i Ojczyzna.

„Podziemne słońce" pokazane w niegdysiejszej kopalni, na poziomie „-4" obecnego Muzeum Śląskiego, w wyrobiskach i w chodnikach, w której pracowali prości górnicy, dla których w pozdrowieniu „Szczęść, Boże!" zawierała się cała filozofia życia, nabrało wymiary symbolicznego: oto praca w pocie czoła robotnika przeniosła się na płaszczyznę zmagań artystycznych, a dzieło stało się jeszcze jedną egzemplifikacją duchowości twórcy, jego niepokojów, widzenia świata – tego materialnego i tego wymykającego się wszelkiemu opisowi. W tym tkwi owa TAJEMNICA. Jednym ze słów, które ją opisuje jest NIEMOŻNOŚĆ: odkrycia, poznania, nazwania, opisania. Pozostaje jedynie doznanie, przeżycie, kontemplacja. Pozostaje jedynie teologia tajemnicy i pytanie o miejsce i czas w którym żyjemy, o samych siebie, kim jesteśmy, o oddalanie się i o ucieczkę – także od samego siebie, o zdolność odróżniania złego i dobrego, erzatza od prawdziwej wartości. Życie życiem prawdziwym czy udawanym, zapożyczonym albo narzuconym – to dylemat współczesnego świata.

Czas oswojony Leszka Kołakowskiego, ale spowity tajemnicą, wydaje się być jednym z kluczy do twórczości Lecha Majewskiego – artysty totalnego. Jak powiada sam twórca, sztuka powinna być tajemnicą. Bo tylko wówczas każdy, kto staje oko w oko z dziełem próbuje dokonać odkrycia tajemnicy. Odbiorca – dzieło – dwie postawy, dwie tajemnice. A skoro sztuka jest tajemnicą, to i człowiek ją tworzący też jest tajemnicą. Zatem czymże jest owa tajemnica? „Podziemne slońce" trzeba by obejrzeć jeszcze wiele razy – moze namiastka odpowiedzi znajdzie się gdzieś na przecięciu tych wszystkich obrazów, a może w niewypowiedzianych słowach, które nie padają z żadnego z ekranów, albo w telewizorze ustawionym na ołtarzu sosnowieckiej katedry…

WIESŁAWA KONOPELSKA

Tryptyk z cyklu „Ćwiczenia z Breugla”, wideo-art

LECH MAJEWSKI

PODZIEMNE SŁOŃCE

WIDEO-ART, RZEŹBA

Muzeum Śląskie Katowice

Fragment ekspozycji

Kuros, rzeźba

„Las”, dyptyk z cyklu „DiVinities”, wideo art

Zdjęcia: Muzeum Śląskie

Hans Bellmer, **DÉSHABILLAGE, 1951,** (**Rozbieranie**), litografia
wł. Muzeum Historii Katowic

Hans Bellmer, **LE BON SENS, 1964**
(tytuł wieloznaczny: **Dobry sens,** ale też: **kierunek, zmysły…**)
akwaforta, akwatinta, wł. Muzeum Historii Katowic

Hans Bellmer/Visat

Muzeum Historii Katowic

Zdjęcia: Piotr Sobański

Hans Bellmer, **LA PAUVRE ANNE, 1968,** (**Biedna Anna**), heliograwiura
wł. Muzeum Historii Katowic

Fot. Piotr Sobański

Wystawa Bellmer/Visat w MHK, prototyp rzeźby Hansa Bellmera pt. „Les mains immobiles”, 1971, („Ręce nieruchome”), drewno, wł. Suzanne Visat

Europejczyk z Katowic

BOGDAN WIDERA

Ojciec Hansa Bellmera bardzo nie chciał, żeby jego syn został artystą. Ten urodzony i wychowany w Katowicach młodzieniec rozpoczął już pracę twórczą. Dokładnie nie wiadomo, czy to jego gwasze (prace niestety zaginęły) okazały się sztuką tak zdegenerowaną, że zaprowadziły debiutującego grafika do katowickiego aresztu, czy też uwięzienie zostało spowodowane jego zaangażowaniem politycznym, dokładnie – anarchistycznymi ekscesami. Tak, czy inaczej troskliwy rodzic wysłał go do Niemiec, do szkoły inżynierskiej. Jednak zamiast zająć się techniką – wynalazkami, konstrukcjami, wkładem w rozwój przemysłu, Bellmer zdobytą wiedzę wykorzystał w swojej działalności artystycznej. Dostrzegł, że ludzkie ciało, konkretnie – stawy, zbudowane zostało z uwzględnieniem zasad mechaniki. Łokcie i kolana to po prostu organiczne łożyska kulkowe, szkielet jest konstrukcją niemal inżynierską, a elementy rysunku technicznego mają, o ile się tego pragnie, samodzielną wartość estetyczną.

Katowice, choć księża z otaczających centrum dzielnic ostrzegali swoich parafian przed odwiedzaniem tej siedziby zgorszenia, istnej Sodomy i Gomory, w rzeczywistości były miastem bardzo porządnym. Bellmer musiał dotrzeć do Europy, do tego gniazda zepsucia, gdzie już czaiła się psychoanaliza Freuda, solidną akademicką sztukę dekonstruowali twórcy rozmaitych –izmów, a swoboda obyczajowa, dekadentyzm i antymieszczański bunt kształtowały nowe modele życia. Artysta świetnie się do tamtej epoki nadawał. Grzebanie w podświadomości, naruszanie rozmaitych tabu, odważne wkraczanie w sferę ludzkiej seksualności, wreszcie znalezienie dla siebie kierunku poszukiwań – surrealizmu, wszystko to sprawiło, że zbudowana została jego pozycja w świecie sztuki.

W 150. rocznicę urodzin stolicy województwa śląskiego Muzeum Historii Katowic zorganizowało wystawę prac najsłynniejszego katowiczanina w dziejach historii sztuki europejskiej. Po niedawnym pokazie dzieł Witkacego, jest to już druga, świetna i znacząca ekspozycja w tej placówce. Kuratorkami wystawy *Bellmer/Visat* są Natalia Kruszyna oraz Katarzyna Łata-Wrona. Pora wyjaśnić ten złożony tytuł. Otóż organizatorzy zdecydowali się na pokazanie mniej znanych, no i mniej skandalicznych prac twórcy, który mocno związał się z wydawnictwem artystycznym Georgesem Visatem, a także z galerią prowadzoną przez jego żonę Susanne Visat. Wokół tego małżeństwa skupiali się surrealiści oraz intelektualiści paryscy w latach 60. i 70. A mieli ważne powody. Oglądając wystawę szybko je się zrozumie. Wydawca mianowicie wykonywał dla wielu osób z tego środowiska odbitki, które potem włączano do książek… Nie do ksiąg, arcydzieł sztuki drukarskiej i introligatorskiej, albo też pozostawiano luzem, oprawiając tylko do publicznej prezentacji.

Bellmer skandalistą i prowokatorem niewątpliwie był. Czy – jak fama niesie – był również pedofilem polującym na małoletnie dziewczynki? Natalia Kruszyna nie potwierdza ani nie zaprzecza. Zwraca jedynie uwagę na fakt, że nigdy nie był oskarżony ani aresztowany. Ale faktem jest, że fascynowała go twórczość markiza de Sade, którą ilustrował. Wiadomo tylko, że całe to środowisko żyło dość swobodnie obyczajowo, nie gardziło alkoholem i narkotykami. Czy nasz katowiczanin w tym uczestniczył? Kruszyna uważa, że raczej był outsiderem. Ale artyści potrafili się w razie potrzeby skrzyknąć, aby coś wspólnie zrobić. Na katowickiej wystawie można obejrzeć rezultaty dwóch takich akcji. Pierwsza to hołd dla Marcela Duchampa, dla którego wybitni surrealiści przeznaczyli hołd w postaci prac. Druga – bardzo podobna – dedykowana była Maxowi Ernstowi. Dzięki temu na wystawę w MHK trafiły nie tylko prace Hansa Bellmera, ale i innych bardzo wybitnych artystów. Wspomnianego już Ernsta, Mana Raya, Roberto Matty no i Jeana Miró. W albumach surrealistów dominują prace mężczyzn, dopiero w czasie tej wystawy zorientowałem się, że w całej tej bohemie było mnóstwo kobiet, tworzących rzeczy równie świetne. Głównym bohaterem jest jednak oczywiście Bellmer, tu głównie jako autor subtelnych, precyzyjnych i pięknych miedziorytów. Warto również zwrócić uwagę na to, że poza odbitkami organizatorzy pokazują także matryce – miedziane blachy, na których zachowały się wyryte rysunki.

Wystawa prezentowana będzie do 17 stycznia 2016 roku. Ale dwa dni wcześniej odbędzie się promocja katalogu. Mam też informację, że organizatorom udało się pozyskać kilka nowych „bellmerów” do swoich zbiorów. ■

W ogrodzie pamięci

ŁUKASZ KARKOSZKA

Śladami pamięci o tarnogórskich Żydach wybrała się dwójka młodych zapaleńców – Marek Panuś i Krzysztof Stręcioch. Chcąc ocalić od zapomnienia historię społeczności żydowskiej w mieście gwarków zrealizowali wyjątkowy film „Żydzi tarnogórscy. Historia i pamięć". Premierowy pokaz dokumentu, przy nadkomplecie widzów, odbył się 9 września w przestrzeni domu przedpogrzebowego żydowskiego cmentarza w Tarnowskich Górach.

Śladami wspomnień

– W tym roku przypada dwusetna rocznica powstania gminy żydowskiej w Tarnowskich Górach. Pomyśleliśmy więc, że dobrze by było upamiętnić tę społeczność. Zależało nam, by opracowany już naukowo temat pokazać w atrakcyjnej formie, która zainteresowałaby współczesnego odbiorcę. Film wydał nam się najlepszym pomysłem – opowiada Marek Panuś, historyk związany z Tarnowskimi Górami od urodzenia.

– Aby nasza produkcja była ciekawa i nie składała się tylko z suchych faktów, zaczęliśmy poszukiwać ludzi, którzy pamiętaliby jeszcze czasy przedwojenne. Udało nam się dotrzeć do paru osób, które w pamięci zachowały obraz płonącej synagogi czy dramatyczne chwile wojenne – dodaje Krzysztof Stręcioch, projektant graficzny, realizator filmu.

W produkcji udział wzięli eksperci historii, kultury i architektury żydowskiej, a także mieszkańcy – świadkowie historii. Twórcom udało się też spotkać z Gerdą Panofsky – wdową po Erwinie Panofskym – światowej sławy historyku sztuki, którego rodzina związana była z miastem. Ojciec słynnego ikonografisty – Alfred należał do wpływowej rodziny żydowskiej, która w okolicach Tarnowskich Gór posiadała kopalnię węgla i wapiennik, a także istniejącą do dziś kamienicę przy ulicy Zamkowej 6. Z miastem związani byli również, wspominani w filmie: Siegfried Halbreich – aptekarz, autor książki „Before-During-After. Surviving the Holocaust", dr Alexander Kohut – jeden z czołowych uczonych żydowskich oraz Philipp Roth – światowej sławy kompozytor, nauczyciel muzyki. W filmie poruszona została również historia niezwykłej przyjaźni: Niemca Ericha Scholza i Karla Ernsta Panofsky'ego żydowskiego pochodzenia. Przed wojną ich rodziny mieszkały w jednej kamienicy. Ich przyjaźń przerwała polityczna zawierucha lat 30. i II wojna światowa. Scholz został... esesmanem, a rodzina Panofsky musiał uciekać przed Niemcami.

Atutem produkcji są też zebrane liczne materiały archiwalne, pochodzące ze zbiorów m.in. Muzeum w Tarnowskich Górach, Muzeum w Gliwicach, Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu czy Jewish Historical Museum w Amsterdamie.

Gerda Panofsky, wdowa po Erwinie Panofskym – światowej sławy historyku sztuki, którego rodzina związana była z Tarnowskimi Górami.

Film spotkał się z ogromnym zainteresowaniem mieszkańców miasta.

– To ważne, by pamiętać i przypominać kolejnym pokoleniom o tym, że na rozwój naszego miasta wpływ miała także społeczność żydowska. Film idealnie to zadanie spełnia – jest kompendium wiedzy o obecności tej nacji w mieście gwarków – mówi Anna Pawełczyk, rodowita tarnogórzanka.

Twórcom udało się też spotkać z Gerdą Panofsky – wdową po Erwinie Panofskym – światowej sławy historyku sztuki, którego rodzina związana była z miastem. Ojciec słynnego ikonografisty – Alfred należał do wpływowej rodziny żydowskiej, która w okolicach Tarnowskich Gór posiadała kopalnię węgla i wapiennik, a także istniejącą do dziś kamienicę przy ulicy Zamkowej 6.

Dziś o żydowskiej przeszłości miasta przypomina niszczejący cmentarz.

Trochę historii

Żydzi pojawili się w Tarnowskich Górach już w XVII wieku. Początkowo była to niewielka grupa, jednak dynamiczny rozwój miasta sprawiał, że zaczynały osiedlać się tutaj kolejne rodziny mojżeszowego wyznania. W 1815 roku powstaje w mieście gmina żydowska. Jej powstanie było możliwie, dzięki ogłoszonemu trzy lata wcześniej edyktowi emancypacyjnemu. W 1885 r. było ich już około sześciuset (stanowili wówczas około 10% ludności). W 1864 r. powstała okazała synagoga, która przetrwała do 1939 r. (po wkroczeniu niemieckich wojsk została podpalona i zniszczona). Wybudowano także rytualną łaźnię (mykwę) i cmentarz. W mieście działała szkoła żydowska. Tarnogórscy Żydzi byli zintegrowani z lokalną społecznością. Należeli do zamożniejszej warstwy społeczeństwa. Parali się handlem i świadczeniem specjalistycznych usług. Wielu związanych było również z przemysłem górniczym, by wymienić chociażby rodzinę Cohnów, zajmującą się eksploatacją rud żelaza. Z początkiem XX wieku liczba Żydów zmniejszała się – wiele rodzin wyjechało w poszukiwaniu lepszego życia. W okresie międzywojennym ich liczba znacznie zmalała. Dramatyczne dzieje II wojny światowej sprawiły, że część wyznawców judaizmu, którzy nie zdołali uciec trafiła do obozów zagłady.

O ich dawnej obecności w mieście świadczą dziś jedynie kamienice, niszczejący cmentarz i niewielki pomnik, autorstwa Artura Lubosa. Monument w kształcie kolumny znajduje się na placu Targowym, na którym niegdyś mieściła się synagoga.

Od kilku lat pamięć o dawnej obecności społeczności żydowskiej w mieście przywraca Tarnogórska Fundacja Kultury i Sztuki. Jedną z akcji, jakiej podjęli się aktywiści fundacji było zaproszenie osadzonych z Aresztu Śledczego do prac porządkowych na tarnogórskim kirkucie. Mimo początkowych obaw, pomysł spotkał się z życzliwym przyjęciem aresztantów. W mieście organizowany jest też Kolaż Kultur – interdyscyplinarne wydarzenie, za pomocą którego próbuje się przypomnieć tarnogórzanom bogate tradycje wielokulturowości. Przez kilka wieków obok siebie mieszkali bowiem ludzie różnych wyznań i różnych narodowości. Szczególnie mocno swoją obecność obok katolików zaznaczyli właśnie Żydzi i protestanci.

Film „Żydzi tarnogórscy. Historia i pamięć" to ważna lekcja historii, nie tylko dla tarnogórzan, ale mieszkańców całego regionu. Produkcja, jak zapowiadają jej twórcy, w najbliższym czasie udostępniona zostanie w internecie. ■

JAN MIODEK

Od *Ochodźca* do *Ochojca*

Słowa *objazd, ujazd* oznaczały większy obszar ziemi, któremu zakreślono granice przez objazd, w chwili kiedy obdarowany obejmował ten teren. Stąd się wywodzą takie nazwy miejscowe, jak *Objazd, Objazda, Ujazd, Ujazdek, Ujazdowo, Ujazdów, Ujazdówek, Ujazdy, Ujeździec.* Jest ich w Polsce około 40, z czego na Śląsku – 11.

Ochodza z kolei oznaczała mniejszy obszar ziemi, któremu zakreślono granice przez obejście w chwili obejmowania darowizny. Ten wyraz dał początek kilku nazwom miejscowym – także w postaciach wariantywnych *Ochodze* i *Ochodno* (pierwsza z nich – na Opolszczyźnie – wspominana jest w zredagowanej przez Krzysztofa Ogioldę i Krzysztofa Zyzika książce „Arcybiskup Nossol. Radość jednania", Opole 2012).

Zacząłem dzisiejszy odcinek od przywołania form tego typu, bo pod względem znaczeniowym należy do tej samej grupy toponimicznej *Ochojec* – nazwa dzielnicy Katowic, o której etymologię prosi Pani B.J. z Będzina. Strukturalnie natomiast – nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – jest *Ochojec* rezultatem typowej dla polszczyzny morfologicznej ewolucji prymarnego brzmienia *Ochodziec.* A jak doszło do przekształcenia pierwotnego *Ochodźca* w *Ochojec*?

Zacząć wypada od refleksji ogólniejszej natury, że w swoich dziejach był nasz język bardzo podatny na różnego typu uproszczenia trudniejszych do wymówienia grup głoskowych (można by poświęcić tym procesom bardzo długi artykuł). Na potrzeby dzisiejszego odcinka wystarczy przytoczyć grupę spółgłoskową „ćc", „dźc", która od XV wieku zaczęła się w wielu słowach zmieniać na łatwiejsze artykulacyjnie „jc" (nad czym bardzo ubolewał mistrz Jan Kochanowski – dopowiedzmy). I tak np. *winowaćca* stał się *winowajcą,* a logicznie wywiedzione od czasowników *zdradzić* i *radzić* rzeczowniki *zdradźca* i *radźca* przyjęły wtórne, ale od wieków obowiązujące postacie *zdrajca, rajca* (dodajmy, że *miejsce* to kontynuant pierwotnego *mieśćca*, a przymiotnik *zamojski* – prymarnego brzmienia *zamośćski* – od *Zamościa* wywiedzionego).

Możemy teraz wrócić do naszej wyjściowej nazwy *Ochodziec* i uzmysłowić sobie, że od dopełniacza w dół przyjmowała ona deklinacyjne formy *Ochodźca, Ochodźcowi, Ochodźcem, w Ochodźcu,* w których musiało dojść do wymiany połączenia „dźc" na „jc": *Ochojca, Ochojcowi, Ochojcem, w Ochojcu.* A że tych wtórnych brzmień w całej odmianie było więcej, nie ostał się mianownikowy *Ochodziec*, który również zmienił się w nazwę z wtórnym „j" – *Ochojec.*

Identyczna jest interpretacja wariantów nazewniczych *Grodziec – Grójec.* Oczywiście, oba wywodzą się od podstawy słowotwórczej *gród.* Ale pierwotny jest *Grodziec* – etymologicznie „mały gród". Tenże *Grodziec* – tak samo jak *Ochodziec* – w przypadkach zależnych miał formy *Grodźca, Grodźcowi, Grodźcem, w Grodźcu* – także z „dźc", które musiało przejść w „jc". I znów przewaga brzmień z wtórnym „jc" doprowadziła do powstania wtórnej mianownikowej formy *Grójec,* którą przyjęło wiele młodszych nazw (najstarsze *Grodźce* są do dziś *Grodźcami*, a nie *Grójcami*).

„Ach, mój Jezu, jak Ty klęczysz, w Ogrojcu zekrwawiony" – słyszymy w pieśni wielkopostnej. Ten *Ogrojec//Ogrójec* to w punkcie wyjścia *Ogrodziec* – „mały ogród" (tak jak *Grodziec* – „mały gród"); *Ogrodziec,* a dalej w odmianie *Ogrodźca, Ogrodźcowi, Ogrodźcem, w Ogrodźcu* – z „dźc" przekształconym w „jc", które powędrowało do mianownika, dawny *Ogrodziec* zmieniając w *Ogrojec//Ogrójec.*

Pyta mnie wielu Słowian: skąd się wzięło – jedyne na obszarze naszej rodziny językowej -„j" w polskim rzeczowniku *ojciec*?! I ono jest wtórne – jak w *zdrajcy, rajcy, Ochojcu, Grójcu* czy *Ogrojcu//Ogrójcu.* Najpierw był przylegający morfologicznie do innych tworów słowiańskich *ociec.* Ale że od dopełniacza w dół musiał on przyjmować postacie *ośca, oścu, ośca, oścem, o oścu, oścze,* aż w sześciu przypadkach gramatycznych doszło do powstania wtórnego połączenia głoskowego „jc". Mianownikowy *ociec* w tej sytuacji frekwencyjnej nie miał szans – chciałoby się powiedzieć: „j" wkradło się i do niego, czego efektem jest ów *ojciec,* tak intrygujący naszych braci Słowian.

■

Portret wybitnego matematyka

„Lubię tylko trudne tematy, łatwe zostawić początkującym (którzy zresztą też nieraz zrobili coś trudnego). W każdym razie brać się za trudniejsze od tych, które zrobiłem. Jest to jednak przyjemność (walki z trudnościami) połączona z nieprzyjemnością, gdy się jest całkiem bezradnym" – mówił prof. Zygmunt Zahorski.

Profesor Zygmunt Zahorski, to ważna postać w historii Wydziału Matematyki Stosowanej Politechniki Śląskiej (nazwa obecna – wcześniej od momentu powstania w 1969 roku Wydział Matematyczno-Fizyczny). Należał do grona matematyków współuczestniczących w formowaniu charakteru i klimatu Wydziału, był i pozostał dla swoich studentów i współpracowników niekwestionowanym autorytetem.

Asystent prof. Stefana Banacha

Zygmunt Zahorski urodził się 30 kwietnia1914 roku we wsi Szubina (niedaleko Kutna), w której jego ojciec był nauczycielem. Ojciec zmarł, gdy Zygmunt Zahorski miał siedem lat, co odbiło się mocno na sytuacji materialnej rodziny na wiele kolejnych lat. W roku 1932 ukończył gimnazjum w Pułtusku, gdzie uznawany był za najlepszego matematyka. Następnie zdał z wyróżnieniem egzamin konkursowy na Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej. W czasie pierwszych dwóch lat studiów problemy finansowe znacząco odcisnęły się na jego sytuacji życiowej. Dopiero w 1934 roku, po przyznaniu mu stypendium miejskiego, sytuacja ta uległa poprawie. W tym samym roku, równolegle, rozpoczął studia na kierunku matematycznym Uniwersytetu Warszawskiego, które ukończył w 1938 r. Studia na Politechnice przerwał zaliczając pierwsze dwa lata studiów.

W 1937 r. rozpoczął pracę w Szkole Podchorążych Lotnictwa (grupa Techniczna), w której pracował do czasu jej ewakuacji we wrześniu 1939 roku. Na początku wojny trafił do Lwowa, gdzie został najpierw asystentem Stefana Banacha na Uniwersytecie Lwowskim, a od marca 1941 r. aspirantem. Banach zgodził się przyjąć jako pracę doktorską Zygmunta Zahorskiego pracę, którą wcześniej przyjął jako doktorską Stefan Mazurkiewicz w Warszawie. Z powodu wojny, zakończenie przewodu doktorskiego Zygmunta Zahorskiego nastąpiło dopiero w 1946 r. w Krakowie. W listopadzie 1940 r. ożenił się z Esterą Steinbok. Zintensyfikował też swoją pracę naukową.

Po wkroczeniu Niemców do Lwowa (30 czerwca 1941 r.), na skutek pogorszenia warunków bytowych (pojawia się gruźlica) zdecydował się na powrót do Warszawy (marzec 1942 r.). Kolejne dwa lata, to praca w fabryce Philipsa oraz nieustanne już problemy ze zdrowiem. Nastąpił dramat – pobyt w szpitalu związany z gruźlicą, operacja, otarcie się o śmierć (pierwsza połowa 1944 r.). Po Powstaniu Warszawskim szpital, w którym przebywał, ewakuowano do Krakowa. Dzięki słabemu nadzorowi niemieckiemu udało mu się opuścić szpital. Nawiązał kontakt z matematykami krakowskimi i zaprezentował im swoje prace napisane w czasie wojny (dzięki temu otrzymał pomoc żywnościową).

Po „ponownym" otwarciu Uniwersytetu Jagiellońskiego został na nim zatrudniony jako asystent. 11 lutego 1946 r. zakończył przewód doktorski, a w grudniu 1947 r. zdał kolokwium habilitacyjne. Równocześnie został zatrudniony na Uniwersytecie Jagiellońskim jako zastępca profesora.

W październiku 1948 r. otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego i został przeniesiony na Uniwersytet Łódzki. Gdy w 1954 r. Rada Wydziału Mat.-Fiz.-Chem. Uniwersytetu Łódzkiego jednomyślnie wystąpiła o nadanie mu tytułu profesora zwyczajnego, udaremnił to przedsięwzięcie, nie składając odpowiedniej ankiety. Uważał bowiem, że ten awans mu się nie należy. Zgodził się na niego dopiero w 1960 roku po udowodnieniu pewnego twierdzenia Kołmogorowa z 1927 roku.

W 1970 roku przeniósł się do Gliwic. To ważny moment, nie tylko dla środowiska matematycznego Politechniki Śląskiej, którego Profesor stał się mentorem na wiele kolejnych lat, ale także dla środowiska matematyków łódzkich, które opuszczał. Profesor Władysław Wilczyński (obecnie nestor „rodziny" matematyków łódzkich

zajmujących się funkcjami rzeczywistymi) wielokrotnie wspominał moment odjazdu, kiedy to żegnał Profesora i jego rodzinę na dworcu kolejowym Łódź Fabryczna, trzymając na rękach malutkiego wówczas Jasia, syna Profesora i jego drugiej żony, Janiny Śladkowskiej-Zahorskiej (która później również została mianowana profesorem nauk matematycznych). W Instytucie Matematyki Politechniki Śląskiej Profesor pracował do momentu przejścia na emeryturę w 1984 roku.

Profesor zmarł, po ciężkiej chorobie, w 1998 roku w Gliwicach, gdzie został pochowany.

Od lewej: Janina Śladkowska-Zahorska, Zygmunt Zahorski, Ernest Płonka, Bogdan Koszela, Ewa Łazarow, Władysław Wilczyński

Naukowiec i „kaznodzieja" matematyki

Twórczość naukowa Profesora koncentrowała się przede wszystkim wokół analizy rzeczywistej oraz szeregów trygonometrycznych. Najbardziej znana publikacja profesora Zahorskiego zatytułowana *Sur la premi´ered´eriv´ee, Trans. Amer. Math. Soc.* ***69,*** *No 1 (1950), 1–54*, która przyniosła mu sławę i wielkie uznanie, należy do wyróżnionego zbioru najsłynniejszych prac matematyków polskich, stanowi krok milowy w kierunku poznania własności pochodnych.

Kolejną ważną pracą w dorobku Profesora jest artykuł *Uneserie de Fourier permuteed'une function de classeL2 divergentepresque partout, Compt. Rend. Acad. Scien. (Paris)* ***251*** *(1960), 501–503*. Jego treścią był dowód twierdzenia Kołmogorowa: istnieje funkcja całkowalna z kwadratem, której trygometryczny szereg Fouriera po pewnym przestawieniu wyrazów jest rozbieżny prawie wszędzie, opublikowanego bez dowodu przez Kołmogorowa. Mimo licznych zapytań i próśb o wskazówki, jak przeprowadzić dowód, Kołmogorow dowodu nie opublikował, a wskazówki, których udzielał, nigdy nie były wystarczające, by dowód przeprowadzić. Nie znano ani funkcji, ani permutacji szeregu. Odnalazł je dopiero Zahorski, i co ważne, posłużyły one innym wielkiej klasy matematykom (Uljanow, Olewski) do otrzymania znaczących uogólnień.

Najpoważniejszym zadaniem, przed którym stanął Zahorski, była próba dowodu hipotezy Łuzina z roku 1913, że szereg Fouriera funkcji całkowalnej z kwadratem jest zbieżny prawie wszędzie. Wielu wybitnych matematyków bezskutecznie podejmowało próby rozstrzygnięcia, czy jest ona prawdziwa. Również profesorowi Zahorskiemu ta „próba" nie powiodła się, chociaż z przerwami zajmował się nią nieomal do końca swojego życia. W pośpiechu – jak sam przyznał – opublikował też niepoprawny dowód prawdziwości hipotezy Łuzina, co na pewno mocno zaciążyło na jego badaniach. Hipotezę Łuzina udowodnił szwedzki matematyk Lennart Carleson, za co, między innymi, otrzymał prestiżową nagrodę Wolfa w 1992 roku.

Wpływ Profesora na matematyków młodego i starszego pokolenia był niezmiennie wielki. Nasz przedwcześnie zmarły kolega – Krzysztof Hermann – wspominał jak rozmowa z profesorem Zahorskim zdecydowała onegdaj o wybraniu przez niego studiów matematycznych na naszym Wydziale. Gdy Krzysztof, jako świeżo upieczony maturzysta dotarł na Wydział by zasięgnąć informacji na nurtujący go wówczas problem podjęcia studiów, zagadnął napotkanego obok dziekanatu starszego pana o sens studiowania matematyki na tym właśnie wydziale. Po prawie dwugodzinnej rozmowie został całkowicie przekonany, że jest to najlepszy z możliwych wyborów i co należy podkreślić, że studia na kierunku matematyki stosowanej (a taki kierunek oferował wtedy nasz Wydział) są absolutnie przyszłościowe. Oczywiście napotkanym panem był profesor Zahorski – przedstawił się jednak dopiero na zakończenie rozmowy. A Krzysztof, po ukończeniu studiów, został pracownikiem naszego Instytutu Matematyki. Ciężka choroba i przedwczesna śmierć przeszkodziły mu obronić zakończony już doktorat.

Jeden z autorów (R.W.) tak wspomina zajęcia ze Wstępu do Matematyki Współczesnej z profesorem Zahorskim: „Były niezwykle inspirujące, co prawda zazwyczaj kończyły się «po czasie», ale nikt nie miał odwagi upomnieć się «o nasze». Gdy pewnego razu pojawił się w pierwszym rzędzie ławek narysowany naprędce na kartce papieru zegar wskazujący godzinę zakończenia zajęć (już po przekroczeniu jej niemal o kwadrans) wywołał u Profesora typową dla niego konsternację: o tak, tak, już, zakończymy jeszcze tylko tę… trwającą kolejne ileś minut… kwestię. W gruncie rzeczy, chyba studenci nie mieli tego Profesorowi za złe (co innego syn pana Profesora, czający się często za drzwiami i upominający tatę, by zakończył przedłużający się wykład). Matematyczny świat kreowany przez magnetyczną osobowość Profesora przyciągał słuchaczy mocno i pozytywnie, był spójny i bogaty w informacje. Pozostawał ze słuchaczami na długo po skończonym wykładzie.

Zygmunt Zahorski i Janina Śladkowska-Zahorska

Wypowiedzi Profesora były urocze i zazwyczaj skłaniały do zadumy. Przytaczamy jedną, pochodzącą z prywatnej korespondencji (do R.W.): „Czasopismo «Delta» przeznaczone jest dla bardzo interesujących się matematyką licealistów i raczej studentów matematyki – no może i dla niektórych studentów innych kierunków politechnik, zawiera też nieszablonowe zadania, z których wielu nie umiałbym zrobić w ciągu tygodnia, więc też nie robię, bo szkoda czasu, który lepiej zużyć na coś trudniejszego."

Profesor jest autorem książki, jednej jedynej w jego karierze, dziwnej książki. Wydanej w Łodzi, w latach 50., nie wznawianej. Jest bardzo nietypowa co do sposobu prezentacji materiału: każdy, kto Profesora znał, gdy zaczyna ją przeglądać natychmiast przypomina sobie jego wykład, styl rozmowy – był bardziej kaznodzieją matematyki. Wzory zostały przez Profesora opowiedziane, nakreślone słowem. To rzadkość, również dar. Może należałoby tę książkę zeskanować, udostępnić światu online?

* * *

Z okazji przypadającej w ubiegłym roku 100. rocznicy urodzin profesora Zahorskiego wydana została okolicznościowa monografia zawierająca biografię i wspomnienia dotyczące Profesora – „Monograph on the Occasion of 100th Birthday Anniversary of Zygmunt Zahorski", Roman Wituła, Damian Słota, Waldemar Hołubowski (red.), Wydawnictwo Politechniki Śląskiej, Gliwice 2015. Monografia jest dostępna na stronie In stytutu Matematyki (http://mat.polsl.pl/monografie).

EDYTA HETMANIOK
MARIUSZ PLESZCZYŃSKI
DAMIAN SŁOTA
ROMAN WITUŁA

Tanie, bo polskie

Czesko-słowacka histeria wokół polskiej żywności

JAKUB ŁOGINOW

Polska eksportem stoi – to w dużej mierze dzięki eksporterom nasz kraj utrzymuje najwyższe tempo wzrostu gospodarczego spośród krajów UE. Na Śląsku i w innych regionach są całe zakłady, których produkcja w ponad połowie jest sprzedawana za granicę – utrata danego rynku oznaczałaby więc nie tyle mniejsze zyski, co poważne kłopoty firmy i konieczność zwolnień pracowników.

W ciągu ostatnich dwóch lat o problemach eksporterów było głośno za sprawą załamania się rynków wschodnich – Ukraińcy i Białorusini kupują znacznie mniej ze względu na kryzys i osłabienie ich walut, a Rosjanie wprowadzili embargo na unijne (w tym polskie) produkty. Do rangi symbolu urosły niechciane w Rosji polskie jabłka, na które jednak ostatecznie udało się znaleźć nabywców w innych częściach świata. Tak naprawdę jednak to nie Wschód jest dla polskich firm najważniejszym i najbardziej perspektywicznym kierunkiem. Znacznie większe możliwości leżą za południową granicą: Czechy są trzecim (po Niemczech i Wielkiej Brytanii) partnerem handlowym Polski po stronie eksportu, a Słowacja – dziewiątym. Zaledwie 5 i pół milionowa Słowacja kupuje więcej polskiej żywności, niż mitologizowana jako „chłonny rynek" 45milionowa Ukraina. Przewaga „Południa" nad „Wschodem" w najbliższych latach będzie tylko rosła: według wszelkich prognoz Słowacja będzie w najbliższych latach jednym z najszybciej rozwijających się państw Unii, dobre perspektywy wzrostu ma też Republika Czeska, podczas gdy Ukrainę, Białoruś i Rosję czeka co najmniej kilka lat recesji. O tym wszystkim warto pamiętać właśnie na Śląsku i Podbeskidziu, które z racji położenia geograficznego są wręcz skazane na współpracę gospodarczą z południowymi sąsiadami.

Stereotyp Polaka – cwaniaka

O tym, jak mocny jest polski eksport za południową granicę, może przekonać się każdy, kto choć raz robił zakupy w czeskim lub słowackim sklepie. Na sklepowych półkach aż roi się od polskich wędlin, serów i innych produktów, przy czym są one przeważnie tańsze, niż czeskie i słowackie. A przy tym często wyższej jakości – tak przynajmniej chcemy to wi-

dzieć my, Polacy. Problem w tym, że Czesi i Słowacy mają na ten temat odmienną opinię. Nasi sąsiedzi chętnie kupują polskie produkty ze względu na ich dużo niższą cenę, a przy tym są nierzadko przekonani o tym, że polskie produkty są gorsze, niższej jakości, a nawet niebezpieczne dla zdrowia. Co więcej, w czeskich i słowackich mediach przeczytać można całe artykuły o tym, jak odróżnić „dobrą czeską wędlinę" od „polskiego badziewia", a niewybredne opinie o polskiej żywności wygłaszają publicznie tamtejsi wysoko postawieni urzędnicy i politycy. Włącznie z wpływowym czeskim wicepremierem Andrejem Babiszem, który jest liderem tej antypolskiej krucjaty.

Skąd to krzywdzące przekonanie o polskich produktach (nie tylko żywności, ale również wyrobach przemysłowych)? W dużej mierze jest to pokłosie ogólnych stereotypów o Polakach, które narastały za naszą południową granicą przez kilka dziesięcioleci. W Czechach i na Słowacji powszechny jest stereotyp Polaka – cwaniaka, ulicznego handlarza i cinkciarza, z którym da się robić dobre interesy (np. kupić okazyjnie jakiś towar), ale na którego trzeba uważać, bo może oszukać. Na taki stereotyp zapracowaliśmy sobie powszechnymi podróżami Polaków „na handel" w latach 80. i 90. Polacy masowo jeździli wówczas do Jugosławii, Bułgarii, Turcji, na Węgry i do Czechosłowacji z towarem, handlując czym się dało i obowiązkowo odwiedzając przy tym, docelowo lub tranzytem, czechosłowackie targowiska. I chociaż już dawno mamy za sobą ten epizod „dzikiego kapitalizmu", a zjawisko wyjazdów Polaków na handel ustało mniej więcej w połowie lat 90., stereotyp pozostał. Częściowo ma on już nowe oblicze – stereotypowego Polaka – ulicznego handlarza zastąpiła jego ulepszona wersja: „biznesmena – cwaniaka", przedstawiciela handlowego, który wpycha na czeski i słowacki rynek tanie, ale wadliwe, niezdrowe czy przeterminowane produkty. Przy czym negatywnie nastawieni do polskich produktów Czesi i Słowacy przyznają, że to rzeczywiście niemożliwe, by wszystkie polskie produkty były złej jakości – zarzuty są natomiast tego rodzaju, że na polski rynek lub do Niemiec sprzedajemy lepsze wyroby, a do Czech i Słowacji – podróbki. – To również nasza wina, bo na to pozwalamy. Dla Słowaków liczy się przede wszystkim niska cena, na jakość nie zwracamy aż takiej uwagi przy zakupie, dlatego nieuczciwi przedsiębiorcy to wykorzystują – tłumaczy Juraj Vyhovský, rolnik spod Twardoszyna na Orawie, jeden z uczestników pikiety przeciwko zalewowi słowackiego rynku tanią żywnością z Polski.

Polska Chinami Europy

Jedno w tym wszystkim nie ulega wątpliwości – polskie produkty spożywcze są średnio aż o 30% tańsze niż słowackie i o 21% tańsze, niż czeskie. Takie dane podaje w swoim raporcie słowacka Poštova banka, czyli Bank Pocztowy. W tej sytuacji, aby skutecznie konkurować cenowo z polskim importem, słowaccy rolnicy lub producenci żywności (albo jedni i drudzy) musieliby obniżyć ceny mniej więcej o jedną trzecią. Zdaniem wspomnianego już Juraja Vyhovskiego, jeśli chodzi o rolników, na takie obniżki nie ma miejsca. – Już teraz przy obecnych cenach skupu płodów rolnych i żywca ledwo wiążemy koniec z końcem. Należy zaznaczyć, że Słowacja w przeważającej mierze jest krajem górzystym i na przykład na Orawie czy Liptowie warunki do uprawy roli są dużo gorsze, niż w przeważnie równinnej i żyznej Polsce. Państwo nas w żaden sposób nie wspiera, możemy tylko pozazdrościć przywilejów, które posiadają polscy rolnicy. Dlatego nie wyobrażam sobie funkcjonowania nawet gdyby ceny skupu były niższe o 10 procent, a co dopiero o jedną trzecią – mówi Vyhovský. W podobnym tonie wypowiadają się słowaccy i czescy producenci z branży przetwórstwa żywności. Należy przy tym zaznaczyć, że czeskie i słowackie zakłady nie są tak nowoczesne, jak polskie, co dodatkowo osłabia ich rynkową pozycję.

Dlaczego więc Polakom opłaca się produkować i sprzedawać tak tanio, a sąsiadom z południa nie? Odpowiedzi na to jest kilka. Pierwsza z nich – słaby złoty. Przed kryzysem, w 2007 roku, za euro trzeba było zapłacić nieco ponad 3 złote, dziś jest to 4 złote z groszami. Już tutaj mieści się

Zaledwie 5 i pół milionowa Słowacja kupuje więcej polskiej żywności, niż mitologizowana jako „chłonny rynek" 45-milionowa Ukraina.

ta trzydziestoprocentowa różnica w cenie między Polską a Słowacją – ale nie tłumaczy ona, dlaczego w Polsce jest taniej, niż w Czechach, które podobnie jak my nie przyjęły wspólnej waluty.

Zresztą, winienie o wszystko waluty euro byłoby nadużyciem. Słowacy jeżdżą bowiem na tańsze zakupy nie tylko do Polski, Czech czy na Ukrainę, ale również do bogatszej od nich Austrii. – Bratysława leży przy samej austriackiej granicy, dlatego te wyjazdy zakupowe są bardzo popularne. Słowacy kupują w Austrii niektóre produkty spożywcze, odzież i kosmetyki. Niektóre towary są tańsze, inne trochę droższe, ale nawet jeśli dany produkt żywnościowy ma podobną cenę, opłaca się kupować w Austrii ze względu na generalnie wyższą jakość – mówi Jana Babušiaková z Instytutu Austriackiego w Bratysławie. Słowacy, spotkani w supermarkecie w austriackim Hainburgu nad Dunajem niedaleko Bratysławy, zgodnie twierdzą również, że te same globalne koncerny kierują produkty lepszej jakości do Niemiec i Austrii, a na czeski, słowacki i polski rynek – gorsze. Ta sama marka – a jakość odmienna. Dotyczy to np. napojów bezalkoholowych czy kosmetyków, co potwierdziły słowackie badania jakości, przeprowadzone przez bratysławski Uniwersytet Techniczny. W powszechnej opinii słowackich klientów, chociaż w tym przypadku nie potwierdzonej badaniami, podobną praktykę stosują polskie firmy.

Kolejna sprawa – to dotacje unijne. Polska w latach 2002 – 2003 negocjowała bardzo ostro, a w pewnym momencie rząd Leszka Millera zagrał va banque. Premier napomknął, że jeśli nie dostaniemy korzystnych dla nas rozwiązań w zakresie dotacji dla rolników, możemy zrezygnować z wejścia do UE w 2004 roku i wstąpić do Unii razem z Rumunią i Bułgarią. Zadziałało – „wielkie poszerzenie" z 2004 roku nie miałoby bez Polski takiego wydźwięku, dlatego dostaliśmy, co chcieliśmy. Czechy, a już tym bardziej nadrabiająca zaległości Słowacja takiej siły negocjacyjnej nie miały – dlatego ich rolnicy otrzymują niższe wsparcie, niż polscy.

I wreszcie – za sprawą wiecznie współrządzącego w Polsce PSL nasi farmerzy mają mnóstwo jawnych i ukrytych przywilejów – podatkowych, emerytalnych i socjalnych, których ich czescy i słowaccy koledzy nie posiadają. Dość wspomnieć choćby osławiony KRUS czy zwolnienie z podatku dochodowego w zamian za opłatę raczej symbolicznego podatku rolnego. To wszystko musi przełożyć się na niższe ceny, niż za południową granicą. I słusznie Czesi i Słowacy mają do nas pretensję, że jesteśmy „Chinami Europy Środkowej", że stosujemy ukryty dumping.

Imperium Babisza

Ale to wszystko jest tylko jedną stroną medalu. Czescy i słowaccy rolnicy i producenci mają sporo racji, zarzucając nam praktyki dumpingowe. Ale sami też mają sporo

za uszami. O konflikcie interesów można mówić zwłaszcza w przypadku wpływowego czeskiego wicepremiera, lidera partii ANO-2011 Andreja Babisza, znanego jako ostry krytyk polskiej żywności. Kilka lat temu zaproszony do studia telewizyjnego Babisz w niecenzuralnych słowach mówił o polskich produktach, nazywając je truciznami, a na propozycję skosztowania polskiej szynki odparował, że „polskiego g… jeść nie będzie". Odkąd Babisz został wicepremierem i ministrem finansów w centrolewicowym rządzie Bohuslava Sobotki (początek 2014 roku), w Czechach nasiliły się kontrole polskich produktów. W mediach pojawiła się informacja o istnieniu tajnej rządowej instrukcji, nakazującej nasze towary kontrolować wyjątkowo dokładnie. I wszystko wskazuje na to, że taka instrukcja rzeczywiście istniała – poadministracyjnymi. Niedawno spółka Babisza stała się właścicielem największego czeskiego holdingu medialnego – grupy MAFRA. W jej skład wchodzą m.in. największe opiniotwórcze dzienniki Lidove noviny i Mlada Fronta dnes oraz popularne portale ides. cz i lidovky. cz. Dziwnym trafem w należących do Babisza mediach można przeczytać artykuły o każdym najmniejszym potknięciu polskich producentów żywności, albo wymowne porady w stylu „jak odróżnić czeskiego kurczaka od polskiego" (w domyśle – gorszego), gdy tymczasem podobne afery dotyczą-

Nasi przedsiębiorcy również nie są całkiem bez winy – afery spożywcze rzeczywiście miały miejsce, podobnie jak praktyka wysyłania na eksport do Czech, Słowacji czy Ukrainy produktów gorszej jakości, niż te sprzedawane na rodzimym rynku.

Nasi sąsiedzi chętnie kupują polskie produkty ze względu na ich dużo niższą cenę, a przy tym są nierzadko przekonani o tym, że polskie produkty są gorsze, niższej jakości, a nawet niebezpieczne dla zdrowia. Co więcej, w czeskich i słowackich mediach przeczytać można całe artykuły o tym, jak odróżnić „dobrą czeską wędlinę" od „polskiego badziewia", a niewybredne opinie o polskiej żywności wygłaszają publicznie tamtejsi wysoko postawieni urzędnicy i politycy.

średnio przyznał to sam minister rolnictwa.

Andrej Babisz do polityki wstąpił niedawno, a od wielu lat znany jest ze swojej działalności biznesowej. Babisz jest drugim najbogatszym Czechem i zarazem najzamożniejszym Słowakiem (posiada dwa obywatelstwa) i jest właścicielem potężnej grupy Agrofert, kontrolującej jedną trzecią czeskiego rynku rolno-spożywczego. Zakłady Babisza uchodzą za mniej nowoczesne, niż polskie, które stanowią dla oligarchy-polityka bezpośrednią konkurencję. Zamiast inwestować setki milionów koron na unowocześnianie swoich fabryk, taniej było wstąpić do polityki i przeprowadzić kampanię oczerniania konkurencji i szykanowania jej metodami ce czeskiej żywności są zbywane milczeniem.

Z kolei na Słowacji antypolska nagonka rozpoczęła się po ponownym dojściu do władzy populistycznej ekipy Roberta Fico w marcu 2012. W 2012 i 2013 roku nasiliły się kontrole polskich towarów, a minister rolnictwa Lubomir Jahnatek i inni urzędnicy pozwalali sobie na niewybredne komentarze o naszych produktach. Gabinet Roberta Ficy postępował w znanym sobie stylu „dziel i rządź" – zamiast przeprowadzać trudne reformy, jak jego poprzednicy, łatwiej jest zrzucić winę na wszystkie niepowodzenia na zewnętrznego wroga. Za czasów pierwszego rządu Ficy (2006-2010) takim dyżurnym wrogiem były Węgry, w tej kadencji Orban jest dla słowackiego premiera raczej sojusznikiem, za to oberwało się Polakom. W porównaniu z Czechami na Słowacji jest o tyle lepiej, że antypolską nagonkę udało się załagodzić po protestach polskiej ambasady, Klubu Polskiego na Słowacji oraz po przeprowadzeniu wspólnego posiedzenia polskiego i słowackiego rządu w 2013 roku w Popradzie. Ale niesmak pozostał.

Efekt – w Czechach i na Słowacji społeczeństwo jest szczerze przekonane, że polskie produkty są co prawda tanie, ale niebezpieczne i złej jakości. Cel został osiągnięty – w sytuacji, gdy jesteśmy w Unii i nie da się stosować barier celnych, polski import udało się w pewien sposób ograniczyć oszczerczymi kampaniami w mediach, wspieranymi przez działania i wypowiedzi polityków. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że nasi przedsiębiorcy również nie są całkiem bez winy – afery spożywcze rzeczywiście miały miejsce, podobnie jak praktyka wysyłania na eksport do Czech, Słowacji czy Ukrainy produktów gorszej jakości, niż te sprzedawane na rodzimym rynku.

Czesko-słowackich utyskiwań na niską jakość polskich wyrobów nie ułatwia też sytuacja polskiej branży kontroli jakości. Płace w Sanepidzie należą do rażąco niskich, a absolwenci towaroznawstwa – inżynierowie kształceni pod kątem pracy w laboratoriach kontroli jakości, nie mają w Polsce większych szans na znalezienie pracy w zawodzie. A szkoda, bo oszczędzając na badaniach i kontroli jakości tak naprawdę strzelamy sobie w stopę, narażając się na utratę perspektywicznych rynków zbytu w taki sposób, jak to ma miejsce w Czechach i na Słowacji. Czy żyjąca w dużej mierze z eksportu Polska może sobie pozwolić na taką lekkomyślność – oceńcie Państwo sami. ■

Nie było takiej republiki

W ciekawym artykule Jakuba Łoginowa „Kresy inaczej niż zwykle („Śląsk" 2015, nr 8), znalazło się dziwne zdanie: Z kolei w rejonie Żytomierza w latach 20. XX wieku istniała polska autonomiczna republika [siec!] radziecka (tzw. Marchlewszczyzna) – tak wielu Polaków mieszkało w tej części Polesia". (s. 14).

Nigdy nie było „polskiej autonomicznej republiki radzieckiej na Ukrainie Sowieckiej". W latach 1926-1935 istniał tam natomiast polski rejon (powiat) narodowościowy; miasteczko Dołbysz na Wołyniu (nie na Polesiu) przemianowany na Marchlewsk i utworzono w 1926 r, Polski Rejon Narodowościowy im. Marchlewskiego. Proklamowano go rok wcześniej, zgodnbie z obowiązującą wtedy w ZSRR polityką „korenizacji" (autochtonizacji). W polskim rejonie mieszkało 41 906 osób, Polaków było tam 28 827 (68%), mieszkali tam również Ukraińcy (19,2%), Niemcy (8,8%), Żydzi (2,5%) i Rosjanie (9,5%).

ADAM WIERCIŃSKI
Opole

Trzech panów w łódce

Do Poradni wpłynęło pytanie dotyczące tytułu książki *Trzech panów w łódce (nie licząc psa)*. Korespondent był ciekaw, w jakim przypadku występują owi panowie: w dopełniaczu czy bierniku.

Dzieło o takim tytule przełożono z języka obcego i w tłumaczeniu dostosowano się do prawideł polskiej składni, która przewiduje kilka wyjątkowych form budowy zdania z liczebnikami. Kiedy liczebniki 2, 3 i 4 łączą się z rzeczownikami męskoosobowymi, a więc takimi, które nazywają osoby rodzaju męskiego, jak *pan, chłopiec, student*, polszczyzna dopuszcza dwa sposoby tworzenia połączeń: albo w związku zgody (*dwaj panowie, trzej chłopcy, czterej studenci*), albo w związku rządu (*dwóch panów, trzech chłopców, czterech studentów*). W wypadku konstrukcji w związku zgody (jak *trzej panowie*) obie formy są mianownikami, w związku rządu natomiast liczebnik „rządzi" połączonym z nim rzeczownikiem, czyli wymaga, aby przybrał on formę dopełniacza, a zatem w konstrukcji *trzech* (kogo?) *panów* rzeczownik występuje obowiązkowo w dopełniaczu.

Podobne związki są w języku polskim bardzo częste, wypowiedzi takie budujemy na co dzień, aby za pomocą form przypadków pokazać zależności – nie tylko między wyrazami w zdaniu, ale również te, które odzwierciedlają zależności w świecie rzeczywistym, takie jak choćby przynależność. Niektóre wyrazy mają – jak mówią językoznawcy – rząd dopełniaczowy, czyli wymagają zastosowania formy tego właśnie przypadka. Tak samo zbudowane są połączenia zwykłe, codzienne, jak np. *ojciec* (kogo?) *Marka* oraz tytuły jak np. *Kariera* (kogo?) *Nikodema Dyzmy*; połączenie *okruchy ciasta* ma taką samą konstrukcję jak tytuł filmu *Okruchy dnia*, a określenie *siedmiu ludzi* jak tytuł *Siedmiu samurajów*. W tych jednak schematach nie ma mowy o dwóch poprawnych wariantach, bo jeśli powiemy **okruch ciasto*, **Kariera Nikodem Dyzma*, stworzymy połączenie niepoprawne gramatycznie. Dodatkowo możemy niekiedy zostać źle zrozumiani, ponieważ np. połączenie *ojciec Marek*, w którym nie ma składni rządu z dopełniaczem, lecz związek zgody mianowników, będzie rozumiane jako odnoszące się do zakonnika o imieniu Marek.

Można byłoby oczywiście w tłumaczeniu z angielskiego utworzyć równie poprawny tytuł z mianownikiem *panowie*, czyli *Trzej panowie w łódce (nie licząc psa)*, ale w użyciu upowszechnił się już tytuł w innej formie i tylko on jest polską nazwą dzieła Jerome'a K. Jerome'a, które w oryginale nazywa się *Three Men in a Boat, to Say Nothing of the Dog*. Warto zauważyć, że istnieje wiele innych tytułów o analogicznej budowie, które funkcjonują wyłącznie w jednej formie, por. np. *Dwaj panowie z Werony* Williama Szekspira, *Byli dwaj bracia* Gustawa Morcinka, *Dwaj kupcy* Lwa Tołstoja, *Dwaj panowie Sieciechowie* Juliana Ursyna Niemcewicza, *Trzej muszkieterowie* Aleksandra Dumasa, *Trzech Budrysów* Adama Mickiewicza, *Czterej pancerni i pies* Janusza Przymanowskiego i inne. Równie poprawne byłyby oczywiście wersje: *Dwóch panów z Werony, Było dwóch braci, Trzej Budrysi, Czterech pancernych i pies* itd. Dodać warto, że pod koniec XIX wieku we Lwowie powieść Dumasa wydano pod tytułem *Trzech muszkietów*.

KATARZYNA WYRWAS

Anegdoty

HENRYK BZDOK

Do rozpoczęcia pierwszej pracy po studiach pozostały cztery dni, kiedy spotkałem Franciszka Kłaka, kolegę grafika z młodszego rocznika, był jak i ja zmęczony wakacjami w mieście.

Było duszne śląskie popołudnie, pachniało wytopem, kiedy rozmawialiśmy w Chorzowie na Rynku graniczącym z hutą... Pojedźmy nad morze, zaproponowałem...

Eee, to za późno, za mało dni i daleko... Ruszamy jutro stąd, autostopem, spotykamy się tu rano...

Był rano, spakowany, ja z chlebaczkiem, wypełnionym powszechnymi niezbędnikami.

Stąd nie ruszymy, trzeba tramwajem na wylotówkę z Bytomia, pierwszym chętnym do zabrania nas był pojazd do Wrocławia. Tamże złapaliśmy kurs do Obornik za Poznaniem, skąd dalej ani rusz.

Stoimy, idziemy wylotową drogą na Piłę, Koszalin. Zmrok, noc, pola i nic... pobliskie ze stogami żyta zaprasza – nie będę tu spał – stwierdza Franek – tu mogą być myszy. Ja wciskam się w zboże a on chodzi dookoła marudząc. Zasnąłem. Zbudzono mnie albo też sam wstałem o czwartej, wyziębiony, zesztywniały patrzałem jak w oparach wschodziło słońce nad Wielkopolską.

Pustą szosą zmierzamy nad morze, nic nie jedzie, czego nie ujedziemy, to przejdziemy.

Franek narzeka na wyjazd ze mną. Snuje opowieść – gdzieżby to mógł być sam.

Jeszcze kilometr, dwa i łapiemy samochód do Koszalina... tylko nie nasikajcie mi do masła, przestrzega kierowca, widać bogaty w doświadczenie w obcowaniu z autostopowiczami... czemu nas zabrał? Widocznie mamy coś w obliczu, co nas wyróżnia. Wczesnym popołudniem wita nas Koszalin, zielona budka z piwem, napijemy się?

Tak panowie, jeśli mi pomożecie nabić beczkę... wiedziałem, że trzeba mocno uderzyć i zrazu załapać gwint, udaje się... pierwsze dwa kufle pełne pianki, dla nas... Teraz Mielenko, wiem, że tam Rosczykowie, z namiotem na łące u kogoś o Gogolowskim nazwisku.

Tam u Horoszych, bywają co roku, mają swoje miejsce na łące innym niedostępne i parking.

Trafiamy. Radość, Egon zarządza ognisko, jedziemy po kiełbasę, „na każdego po kilogramie" stwierdza.

Protestuję, że za wiele. To się zje a wieczór długi – odpowiada doświadczony w konsumpcji z ogniska kolega.

Miał rację, w świeżym klimacie nadmorskiego wieczoru apetyt rośnie a kiełbasa zdaje się być zdecydowanie krótsza.

Rano budzimy się na poddaszu odurzeni zapachem tegorocznego siana. Pozostały dwa dni. Zaliczamy cel podróży moczeniem stóp w morzu, dodajemy do tego małe poleżenie na plaży i wracamy. Franek stęka, że znowu ten upokarzający autostop.

Po kim to masz takie wielkopańskie maniery? Nie odpowiada...

Wdeptujemy na najtrudniejszy asfaltowy odcinek regionalnej rywalizacji miast, kierowcy z Koszalina nie chcą zabierać do Słupska, ci ze Słupska nie biorą tych z Koszalina...

W końcu udaje się ruszyć jakimś dziwnym żółtym autobusem pełnym młodzieży, to ten sam gatunek podróżników co my, ale młodszych i jakby bardziej rozwydrzony to pewnie ci od masła. Franek tego nie wytrzymuje, wysiada w Gdańsku... pojadę pociągiem.

Nie tylko brak pieniędzy każe mi pozostać na pokładzie autobusu do Tczewa.

Franek będzie miał pociąg wieczorem, ja w Tczewie od razu łapię kurs na Częstochowę.

Do Katowic docieram na szesnastą, Franek będzie dopiero przed północą.

Kapryśny współpasażer nie zniechęcił do wspólnego wędrowania, choć nie uczynił nic, co stanowiłoby pointę, w parenaście lat później ruszyliśmy do Francji, ale o tym już innym razem. ■

XXV Rocznica Restytucji Samorządu Terytorialnego w Polsce

Powrót do przyszłości?

KRZYSZTOF KOSIŃSKI

Jeszcze niedawno nawet nie przypuszczałem, że w cyklu raptem dwunastu comiesięcznych artykułów w roku 25-lecia odrodzonego polskiego samorządu terytorialnego powrócę do problemów raz już poruszanych. I to nie z powodu braku tematów w tzw. sezonie ogórkowym. Wprost przeciwnie.

Wszak to nie było spokojne lato… Kampania prezydencka u jego progu, która oprócz zmiany Głowy Państwa zaowocowała kabaretowym referendum, rekordowe upały i tragiczna miejscami susza, wizja przybycia do naszego kraju tysięcy przybyszów z obcych nam kulturowo rejonów świata, wreszcie kampania wyborcza do parlamentu… W tym roku wyjątkowo agresywna i brutalna. A może to tylko nam się tak wydaje, że każda kolejna jest brzydsza od poprzedniej? Tak czy owak, aż za dużo, jak na jeden „sezon ogórkowy". Że już o pociągu pełnym złota nie wspomnę…

Co z tego wszystkiego dotyczy bezpośrednio władz lokalnych? Organizacja wyborów i referendów (lokale, komisje, logistyka) to rutyna, z którą samorządy radzą sobie tak „zwyczajnie", że wręcz nie jest to żadnym tematem dla mediów. Susza sprawiła, że w niektórych gminach wystąpiła konieczność awaryjnego dowozu wody beczkowozami. Zauważyliście, że ten temat też przewinął się w mediach jedynie jako właściwie sucha informacja? Nie było tzw. „afer", co oznacza, że w takich sytuacjach kryzysowych samorządy po prostu sobie radzą bez większych trudności. Wizja przybycia do naszych gmin i miast tysięcy uchodźców, utworzenia kolejnych ośrodków dla cudzoziemców, choć to zadanie rządowe, na pewno spędza sen z powiek prezydentom i burmistrzom, na których spadnie część odpowiedzialności za ład i porządek publiczny wobec tak nabrzmiałych emocji i obaw… Ciekawe, czy będę musiał właśnie o tym pisać przed końcem tego roku?

Tymczasem nikt się chyba nie spodziewał, że nagle w wirze kampanii wyborczej wypłynie temat, o którym pisałem w maju – ustawa metropolitalna. Tamten tekst nosił tytuł „Gadanie o niczym?" Znak zapytania okazał się proroczy. Już wydawało się, że powszechna wręcz krytyka pomysłu stworzenia „powiatu metropolitalnego" zamyka temat na wiele miesięcy, jeżeli nie lat. Prawie pewne wydawało się, że w tej kadencji Sejmu sprawa już nie wypłynie. Po raz kolejny okazało się, że w polityce „prawie" oznacza wielką różnicę. Bo kampania wyborcza rządzi się swoimi prawami…

Wysoki Sejm uchwalić raczy…

Najpierw prawnicy przetarli oczy ze zdumienia czytając oficjalne sprawozdanie komisji sejmowych. Przypomnę: gdy w lutym Sejm skierował projekt „Ustawy o powiecie metropolitalnym" (ten właśnie, o którym pisałem w maju) do połączonych komisji: Samorządu Terytorialnego i Polityki Regionalnej oraz Administracji i Cyfryzacji, wszystko zaczęło się normalnie. Komisje zebrały się w marcu, potem w kwietniu. Później nastąpiła przerwa, wszak wybory prezydenckie bardziej zaprzątały uwagę łącznie z ich dość zaskakującym dla partii rządzącej wynikiem. Komisje zebrały się ponownie w lipcu i 4 sierpnia. I powstał dość kuriozalny dokument, w którym czytamy:

Sprawozdanie komisji o poselskim projekcie ustawy o powiecie metropolitalnym /.../

Komisje po rozpatrzeniu tego projektu ustawy wnoszą:

Wysoki Sejm uchwalić raczy załączony projekt ustawy.

„Dowcip" polega na tym, że ów załączony projekt ustawy nawet nie nazywa się tak, jak ten opiniowany! Co więcej, sami autorzy projektu z dumą ogłosili, że to projekt całkiem zmieniony. Zniknął krytykowany dziwoląg prawny pod nazwą „powiat metropolitalny". Jego miejsce (także w nazwie ustawy) zajął „związek metropolitalny". W świetle tego, że w naszej aglomeracji od lat istnieje Górnośląski Związek Metropolitalny (GZM), posłowie chyba mieli nadzieję, że ta nazwa przejdzie bezboleśnie, bez większego echa. Ale największą burzę wywołała zapowiedź, że „rzutem na taśmę" obecny Sejm jeszcze zdąży uchwalić tę ustawę na ostatniej prostej. Ujawnienie w sierpniu czegoś, co – jak głosili autorzy – jest diametralnie nową wersją i zapowiedź, że być może za miesiąc parlament ją przegłosuje, przeczyło wszystkim przyjętym zasadom i zwyczajom konsultacji, tym bardziej w środku sezonu urlopowego. Na dodatek w części mediów zaczęło się „dorabianie gęby" samorządom, że jeśli teraz znów pojawią się głosy krytyczne, to już będzie wyłącznie wina nieumiejących (a raczej niechcących) się dogadać prezydentów, którzy „zazdrośnie strzegą" swojej władzy.

4 września w Katowicach

W odpowiedzi jednego wrześniowego dnia trzy duże organizacje samorządowe: Związek Miast Polskich, Śląski Związek Gmin i Powiatów oraz Górnośląski Związek Metropolitalny zaprezentowały w Katowicach wspólne stanowisko w sprawie projektu tej wersji tzw. ustawy metropolitalnej. Przedstawiono oczywiście oficjalne dokumenty, ale swoją wagę miało przede wszystkim to, że na wspólnej konferencji prasowej wystąpił razem „pierwszy garnitur" przedstawicieli tych organizacji: Przewodniczący ZMP i GZM oraz wiceprzewodniczący ŚZGiP, będący równocześnie prezydentami znaczących miast: Gliwic, Zabrza i Dąbrowy Górniczej. Przekaz poszedł „w świat". Czy był jasny? Niech za potwierdzenie posłuży cytat z gazety, która do tej pory celowała w tym „przypinaniu łatek" prezydentom miast:

Projekt tzw. ustawy metropolitalnej, niezwykle ważnej dla polskich miast, nie może być uchwalany pod presją kampanii wyborczej. Nie dość, że zawiera szereg błędów, to jeszcze próbuje się prezydentów miast najbardziej zainteresowanych tworzeniem metropolii przedstawić jako ich przeciwników. ***Nie ma na to naszej zgody*** *– podkreślają zgodnie przedstawiciele trzech organizacji samorządowych.*

Nowe gmachy urzędowe

– Projekt tworzy niespójny i kosztowny system biurokratyczny. ***W miastach wojewódzkich obok urzędów miejskich i marszałkowskich staną kolejne wielkie biurowce, tym razem metropolitalne*** *z rzeszą urzędników, którzy przede wszystkim zajmować się będą wyznaczaniem granic kompetencji między nimi.* – powiedział wiceprzewodniczący Śląskiego Związku Gmin i Powiatów, prezydent Dąbrowy Górniczej Zbigniew Podraza. – *Gminy i powiaty wchodzące w skład związku metropolitalnego nie będą miały żadnego wpływu na jego funkcjonowanie, przy równoczesnym obowiązku płacenia niemałych składek. I nie chodzi tutaj o władzę, ale przede wszystkim o odpowiedzialność, która wynika z mandatu powierzonego w wyborach samorządowych. Tzw.,, komisja metropolitalna" złożona z wójtów, burmistrzów, prezydentów i starostów ma pełnić w istocie rzeczy jedynie fasadową, opiniodawczą rolę.*

– *Chcemy, aby przyszłe władze metropolii miały* ***silną legitymację pochodzącą z wyborów bezpośrednich*** – wyjaśniał przewodniczący Związku Miast Polskich, prezydent Gliwic Zygmunt Frankiewicz. – *Jednak musi być zachowana równowaga między władzami metropolii a samorządami wchodzącymi w jej skład, a współpraca musi zostać wręcz „wymuszona". Dlatego po raz kolejny proponujemy dwa warianty: albo jednoosobowy, silny organ wykonawczy pochodzący z wyborów powszechnych oraz organ stanowiący składający się z wójtów, burmistrzów, prezydentów oraz starostów, albo kolegialny organ wykonawczy wybierany przez organ stanowiący, w którym zasiadałyby osoby zarówno uzyskujące mandat z wyborów bezpośrednich, jak i wójtowie, burmistrzowie, prezydenci miast, starostowie z założeniem, że waga głosów obydwu grup jest równoważna.*

– *W projekcie ustawy i jego uzasadnieniu brakuje nawet wyraźnie wskazanych skutków finansowych proponowanej regulacji. Ustawodawca nie przeprowadził chyba symulacji konsekwencji finansowych dla samorządów. Nawet sposób obliczania składki na rzecz związku metropolitalnego jest tak niejasny, że – w zależności od sposobu jego interpretacji – wyliczone składki mogą się diametralnie różnić!* – podkreślała przewodnicząca GZM, prezydent Zabrza Małgorzata Mańka-Szulik.

Cytowano też wypowiedź prezydenta Częstochowy Krzysztofa Matyjaszczyka, wiceprzewodniczącego Śląskiego Związku Gmin i Powiatów, który zwrócił uwagę także na to, że nowe rozwiązania mogą wprowadzić zamieszanie w ubieganiu się przez samorządy o środki unijne. – *Z projektu wynika, że znakomita większość regulacji dot. zadań przewidzianych dla nowego związku metropolitalnego prowadzić będzie do krzyżowania się kompetencji z samorządem województwa oraz samorządami miast, powiatów i gmin. Mogą wystąpić konflikty kompetencyjne i różne interpretacje.*

Dla dociekliwych

To wszystko, co napisałem powyżej, uważny czytelnik mógł znaleźć w prasie codziennej i na niektórych portalach internetowych. Ponieważ jednak Czytelnicy miesięcznika „Śląsk" mają raczej większe wymagania i ambicje, odważę się przytoczyć jeszcze te zarzuty, które „nie przebiły" się do gazet codziennych. Może dlatego, że uznano je za zbyt trudne, specjalistyczne?

Można odnieść wrażenie, iż projekt nie jest kompatybilny z ustaleniami Krajowej Polityki Miejskiej. Tworzenie związków metropolitalnych oraz innych form porozumień dotyczących zarządzania miejskimi obszarami powinno być działaniem dobrowolnym, dostosowanym do regionalnych i lokalnych problemów oraz uwarunkowań, **podejmowanym z inicjatywy samorządów lokalnych**. Wyraźnie wskazuje na to Krajowa Polityka Miejska, zgodnie z którą *„nie powinno się z góry narzucać samorządom formy współpracy, należy pozostawić im wybór sposobu zarządzania obszarem funkcjonalnym"* (KPM, s. 122). KPM przestrzega przed tworzeniem nowych szczebli samorządu i mnożeniem rodzajów instytucji ponad faktyczne potrzeby.

Zamysł powołania nowego, szczególnego rodzaju jednostki samorządu terytorialnego nie wynika z określonych powodów społecznych lub przestrzennych, lecz ma „dowartościować" miasta wojewódzkie. Wymogiem powstania związku metropolitalnego jest objęcie nim obszaru zamieszkanego przez 500 tys. mieszkańców, a jednocześnie to, że w jego skład musi wchodzić miasto będące siedzibą wojewody lub sejmiku województwa. Związek metropolitalny mogą zatem tworzyć Kielce, Opole, Rzeszów, Zielona Góra lecz nie mogą porównywalne z nimi wielkością (a nawet często większe) Częstochowa, Bielsko-Biała czy Sosnowiec.

To tylko kilka zarzutów z obszernego, 8-stronicowego dokumentu. Warto jeszcze chyba przytoczyć fragment Stanowiska strony samorządowej Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego, które przedstawiono kilka dni przed wspomnianą konferencją prasową:

Przepisy, które stanowczo odrzucamy:

– związek ma być tworzony „odgórnie", w drodze rozporządzenia Rady Ministrów, a projekt statutu związku ma opracowywać pełnomocnik rządu, a nie podejmujące współpracę gminy i powiaty.

– członkostwo w związku można gminie albo powiatowi narzucić, ponieważ projekt jego utworzenia wymaga zgody tylko części włączanych w jego skład jednostek, co narusza ich samodzielność, która – zgodnie z Konstytucją RP – jest zagwarantowana i podlega ochronie sądowej.

Co wolno wojewodzie… (przepraszam: posłowi)

– W proponowanym rozwiązaniu władze tzw. związku metropolitalnego mają być wyłaniane w sposób analogiczny do powiatów ziemskich i sejmiku województwa, co doprowadzi do upartyjnienia tych związków. Czy to przypadek? Chyba nie, skoro projekt wyklucza łączenie mandatu radnego „metropolitalnego" z pełnieniem funkcji wójta, burmistrza czy prezydenta, ale już nie zabrania łączyć go z mandatem posła i senatora – podkreśla prezydent Gliwic.

Historia zatoczyła koło?

Jedni mówią, że historia rzeczywiście lubi się powtarzać, inni – że jeśli powraca, to tylko w postaci parodii samej siebie. Może dlatego warto przytoczyć krótki fragment rozmowy **z Bogusławem Śmigielskim, ówczesnym marszałkiem województwa śląskiego** w Dzienniku Zachodnim ze stycznia 2010 r.:

– Najbardziej drażliwe pytanie: Kto miałby zarządzać aglomeracją? – Organem wykonawczym mogłaby zostać specjalnie utworzona jednostka podległa urzędowi marszałkowskiemu, kierowana przez zarząd województwa.

– Tym zdaniem wywoła pan burzę... – Ale to najrozsądniejsze rozwiązanie. Jako urząd mamy po prostu wszelkie narzędzia, by te zadania realizować. Zarząd stałby jednocześnie na straży, by metropolia nie spowodowała dezintegracji województwa.

Szybko okazało się, że to „najrozsądniejsze rozwiązanie" na pewno nie przejdzie. W jego miejsce zatem pojawił się powiat metropolitalny, wreszcie związek metropolitalny. Mimo różnych nazw, jedno nie uległo zmianie. I władze powiatu, i związku wybierane mają być… identycznie jak sejmik województwa… Nic dodać, nic ująć.

■

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.

Niska emisja – przełom!

JOLANTA KARMAŃSKA

Batalia o czystsze powietrze nie tylko na Górnym Śląsku trwa nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat. Jest lepsze. Czujemy to przez większą część roku. Do czasu... rozpoczęcia sezonu grzewczego, gdy toksyczne pyły zaczynają nas ostro atakować.

Sprawcą tego sezonowego ataku zanieczyszczeń powietrza są przestarzałe źródła ciepła w naszych domach, lokalnych kotłowniach, budynkach użyteczności publicznej. I złej jakości paliwo oraz różnej maści śmieci, służące za opał! Dotychczasowa walka z niską emisją, bez niezbędnych narzędzi prawnych, była skazana na klęskę. Ogłaszane co roku alarmy smogowe, świadczyły tylko o naszej bezradności.

Potrzeba było dobrze przygotowanego zrywu obywatelskiego, reprezentowanego przez Polski Alarm Smogowy, by wymusić nowelizację ustawy „Prawo ochrony środowiska", w części dotyczącej powietrza czyli kluczowego artykułu nr 96. W ten sposób urodziła się ustawa antysmogowa. Podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę dała samorządom narzędzie do skuteczniejszej walki z niską emisją zanieczyszczeń.

W Aglomeracji Górnośląskiej walka o czyste powietrze, podobnie jak w Krakowie, ma swoją długą historię. Upominaliśmy się o nie coraz głośniej już na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Już wówczas tematem numer jeden był zasiarczony węgiel, czystsze technologie węglowe i taka energia!

Poprawę jakości powietrza odczuliśmy dopiero w ostatnich kilkunastu latach. Głównie dzięki modernizacji i unowocześnianiu przemysłu, skutecznemu ograniczaniu zanieczyszczeń, ulatujących z wysokich kominów.

Potwierdzają to wyniki badań emisji przemysłowych zanieczyszczeń w kraju. Mniej jest obecnie w powietrzu (w stosunku do wczesnych lat 80. ub. wieku) dwutlenku siarki o ponad 70 procent, tlenków azotu o ponad 40 procent, pyłów o ponad 80 procent.

Tylko w województwie śląskim w ostatnim dziesięcoleciu najbardziej uciążliwe zakłady przemysłowe potrafiły zmniejszyć emisje pyłów do powietrza z poziomu 27 tys. ton/rok do poziomu około 11 tys. ton!

Niestety, dotąd nie zdołaliśmy odczuwalnie ograniczyć zjawiska niskiej emisji. Nadal w wielu regionach kraju przekraczane są po wielokroć normy pyłu zawieszonego PM 10 i jego najbardziej toksycznej frakcji – pyłu PM 2,5. Ten drugi, tak drobny, że niewidzialny pył jest szczególnie niebezpieczny dla naszego zdrowia, życia ludzi i środowiska naturalnego. Zawiera rakotwórcze toksyny z benzo-a-pirenem na czele, dioksyny, metale ciężkie. Każda ilość tych związków chemicznych, którymi musimy oddychać jest i dla człowieka i natury mocno szkodliwa.

Toksyczny pył

Z tego powodu przedwcześnie umiera co roku około 45 tysięcy Polaków. Na świecie ponad 350 milinów ludzi. Te liczby wciąż rosną.

Według Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska to właśnie pył zawieszony, pochodzący z tzw. niskiej emisji sektora bytowo – komunalnego, w największym stopniu decyduje o złej jakości powietrza w Polsce. W znacznie mniejszym, stopniu dokłada się do tego transport.

Potwierdza to regularnie prowadzony przez Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Katowicach monitoring stanu powietrza atmosferycznego na terenie województwa śląskiego. Dopuszczalne normy pyłu zawieszonego PM 10 i PM 2,5 oraz benzo (a) pirenu są przekraczane, w każdym sezonie grzewczym, po wielokroć.

W ubiegłym roku, podczas dość ciepłej zimy, polska norma dobowa pyłu zawie-

szonego PM 10, określona na 50 mikrogramów w metrze sześciennym powietrza (norma Światowej Organizacji Zdrowia – WHO to 20 mikrogramów) przekraczana była w niektórych miejscach nawet przez 144 dni!

Równie wymowna jest czołowa lokata Aglomeracji Górnośląskiej w rankingu z 2014 r. najbardziej zanieczyszczonych miast polskich groźnym pyłem PM 2,5. Wyższe jego stężenia odnotowano tylko w słabo przewietrzanym Krakowie.

Według WHO, stężenie tej frakcji pyłu w metrze sześciennym powietrza nie powinno przekraczać 10. mikrogramów. Tymczasem w Krakowie sięgnęło ono 36 mikrogramów, w miastach Aglomeracji Górnośląskiej – 34. Dalej uplasowały się, z nieco tylko korzystniejszym dla powietrza wynikiem, Kielce, Wrocław i Rzeszów, Poznań, Łódź i Warszawa i inne duże miasta. I nie jest to cały ranking prawdy, skoro w sezonie grzewczym w wielu miejscowościach wypoczynkowych i uzdrowiskowych na południu Polski bywało jeszcze gorzej.

Od lewej: W. Saługa – marszałek śląski i A. Pilot – prezes WFOŚiGW w Katowicach po podpisaniu porozumienia

Ustawa antysmogowa

Podpisanie przez prezydenta RP ustawy nazwanej szybko antysmogową, zapowiada przełom w walce z niską emisją zanieczyszczeń powietrza. Pozwoli ona wkrótce walczyć z tym zjawiskiem różnymi metodami. Nie tylko poprzez całkowite zakazy spalania brudnego węgla, miałów węglowych czy śmieci.

Po raz pierwszy sejmiki wojewódzkie, odpowiedzialne za kreowanie polityki ochrony powietrza, otrzymały narzędzia prawne, z których będą mogły korzystać elastycznie. Optymalnie dla swojego regionu, z uwzględnieniem jego specyfiki.

Będą mogły uchwałą określić np. rodzaj i jakość paliw, jakie należy stosować oraz parametry techniczne i emisyjne urządzeń do spalania. Będą też mogły zakazać, na wybranych obszarach i w określonym czasie, stosowania instalacji, które nie spełniają podstawowych norm ekologicznych. Ale będą też mogły zwolnić niektóre podmioty z tych zakazów. Wachlarz możliwości, jakie daje znowelizowana ustawa jest znacznie szerszy. W większości dotyczy nie zakazów, lecz możliwości, jakie mają do dyspozycji samorządy w ograniczaniu niskiej emisji.

W województwie śląskim ustawa antysmogowa trafia na dobrze przygotowany grunt. Już w listopadzie ub. roku w przyjętym przez jego Sejmik czwartym z kolei Programie Ochrony Powietrza przewidziano rozbudowę sieci ciepłowniczej i podłączenie do niej jak największej liczby budynków mieszkalnych; wyeliminowanie spalania paliw złej jakości i odpadów w paleniskach domowych oraz dalsze ograniczanie emisji zanieczyszczeń z komunikacji i przemysłu.

Przedsięwzięcia te od lat wspiera Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. Ma w tej dziedzinie ogromne doświadczenie. Od 2007 roku na zadania ochrony powietrza przeznaczył ponad miliard złotych. We współpracy z samorządem województwa mocno angażuje się w wielkoobszarowe przedsięwzięcia, związane z poprawą czystości powietrza. W nowej perspektywie finansowej unijnej pomocy na lata 2014-2020 kluczowym do wsparcia jest „Program kompleksowej likwidacji niskiej emisji na terenie konurbacji śląsko-dąbrowskiej", finansowany z RPO WSL.

Nie tylko unijne pieniądze, nowa ustawa antysmogowa, ale również szeroka współpraca wielu podmiotów i obywateli z regionu stwarzają niepowtarzalną szansę, by niską emisję zanieczyszczeń na Śląsku nie tylko skutecznie ograniczyć, ale z czasem… zlikwidować.

Węglowe porozumienie

Posłuży temu porozumienie, zawarte na początku października bż. roku pomiędzy Zarządem Województwa Śląskiego a Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach w sprawie termomodernizacji budynków przy równoczesnym wyposażeniu ich w niskoemisyjne kotły węglowe nowej generacji, które zastąpią te wieloletnie. Porozumienie podpisali: Wojciech Saługa, marszałek województwa śląskiego i Andrzej Pilot, prezes zarządu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.

Dlaczego to porozumienie było konieczne? Najkrócej wyjaśnił to Wojciech Saługa mówiąc: jest wypełnieniem luki.

Regionalny Program Operacyjny Województwa Śląskiego na lata 2014-2020, zgodnie ze stanowiskiem unijnym, wyklucza dofinansowanie wymiany źródeł ciepła na te z udziałem węgla. Wspiera jedynie efektywność energetyczną, odnawialne źródła energii czy inne „zielone" rozwiązania w infrastrukturze publicznej i mieszkaniowej.

Nic nie stoi na przeszkodzie, by tego typu instalacje, wyłącznie wysokowydajne, ekologiczne kotły węglowe nowej generacji – jak mówił Andrzej Pilot, prezes WFOŚiGW w Katowicach, dofinansował Fundusz. To konieczne wsparcie dla tych samorządów, instytucji czy firm, które zaplanują termomodernizację budynków i wymianę przy okazji swoich zużytych urządzeń grzewczych na nowoczesne węglowe. Ze względu na tańszą ich eksploatację. Jeśli chcemy niską emisję zanieczyszczeń na Śląsku nie tylko ograniczać, ale zlikwidować, musimy korzystać z każdego możliwego rozwiązania, dodał A. Pilot.

Trudno się z tym nie zgodzić. Eksperci już oszacowali, że na realizację tego porozumienia, WFOŚiGW w Katowicach przeznaczy około 10 mln złotych. To kolejna pozycja w puli środków przeznaczanych każdego roku na ochronę powietrza w regionie. Co roku z funduszu trafia na ten cel 260 mln w postaci pożyczek i ponad 20 mln w postaci dotacji.

W najbliższych latach nie tylko na Śląsku nie powinno zabraknąć pieniędzy na czystszy, zdrowszy oddech. Do 2020 roku na zaplanowane inwestycje, związane z poprawą jakości powietrza Polska zamierza wydać blisko 20 miliardów złotych. Najwięcej, bo aż dwanaście miliardów przeznaczy na ten cel Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Jest szansa, byśmy w perspektywie najbliższych lat cieszyli się i czystym powietrzem i lepszym zdrowiem. Nie możemy jej zmarnować! ■

Śląsk otwarty

TEATR

Zaniepokoiły mnie słowa dyrektora Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach Roberta Talarczyka: *W „Westernie", najnowszym i zarazem ostatnim spektaklu o Śląsku postanowiliśmy wysłać Ślązaków daleko poza ich bezpieczny świat i spróbować opowiedzieć ich nieznaną (choć prawdziwą) historię, mając za tło świat Dzikiego Zachodu (…) postanowiliśmy tym spektaklem zamknąć cykl „Śląsk święty/ Śląsk przeklęty", bo doszliśmy do wniosku, że nasz Śląsk zasługuje na nowe, inne od tego, które znamy, spojrzenie.* Zasługuje jak najbardziej, ale jeśli powstanie coś godnego uwagi o tym, co już było, ale opowiedziane inaczej, musi trafić na najważniejszą śląską scenę. Ten cykl powinien pozostać otwartym…

Śląski realizm magiczny nadal czeka na swojego teatralnego odkrywcę, szczególnie zaś wielki Teofil Ociepka, który woła z tamtego świata o przypomnienie nie tylko niekwestionowanych malarskich dokonań, ale całego bogatego żywota. Toż to jest temat dla śląskiego teatru! Jak dotąd Ociepka był zawsze w tle, nawet we wspaniałym „Angelusie" Lecha Majewskiego, nigdy na pierwszym planie.

Jaki jest wspomniany „Western"? Autor sztuki Artur Pałyga to twórca doceniany, laureat wielu nagród. Jego „Żyd" zrealizowany w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej przyniósł mu powszechne uznanie. Obawiam się, że „Western" tego sukcesu nie powtórzy. Historia księdza Leopolda Moczygemby, założyciela śląskiej osady Panna Maria w Teksasie jest doskonale znana, niemała w tym zasługa Józefa Kłyka z Pszczyny, cenionego filmowca-amatora i popularyzatora losów Ślązaków na Dzikim Zachodzie. Byłem przekonany, że tak znakomity autor jak Artur Pałyga odkryje podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych coś absolutnie nowego, szokującego, zapierającego dech w piersiach. Tak się nie stało. Jego „Western" to solidna robota, ale bez rewelacji. Reżyserzy także troszkę zawiedli, momentami wiało ze sceny nudą i… cytatami inscenizacyjnymi, choćby z rewelacyjnej „Piątej strony świata" Kazimierza Kutza w mistrzowskiej reżyserii Roberta Talarczyka, która otworzyła twórcy przedstawienia drogę do dyrekcji Teatru Śląskiego.

Wcześniej śląska tematyka i godka zagościły na katowickiej scenie w przesympatycznym spektaklu „Polterabend" Stanisława Mutza. Reżyser Tadeusz Bradecki znakomicie posłużył się w nim prostymi, czytelnymi symbolami. Nie wymądrzał się i niczego nie udziwniał. Piękne plastycznie obrazy były zasługą scenografa Pawła Dobrzyckiego. Niespotykany urok tego przedstawienia był dziełem wspaniałych aktorów. Na najwyższe słowa uznania zasłużyła Ewa Leśniak w roli *babki Tekli*, „okropnej omy" o wielkim sercu. Bogata w życiowe doświadczenie, była stale obecna w życiu rodziny – za życia i po śmierci. Alina Chechelska (*Berta*) emanowała matczynym ciepłem – czysta, zadbana, pachnąca. Cały zespół był bez zarzutu! Ten spektakl pozostanie ze mną na zawsze. Pięknie „pokłóciłem się" wówczas z Michałem Smolorzem, ale jakże to była sympatyczna sprzeczka, wesoła wymiana poglądów. Między nami na linii „hanys-gorol" nigdy nie zaiskrzyło.

Fot. Krzysztof Lisiak/mat. Teatr Śl.

Barbara Lubos (Ofelia) i Ewa Leśniak (Gertruda)

Oficjalnie cykl „Śląsk święty/Śląsk przeklęty" otworzył „Skazany na bluesa" Przemysława Angermana i Jana Kidawy-Błońskiego w reżyserii Arkadiusza Jakubika. Był to spektakl zaczarowany. Nie pamiętam w żadnym teatrze takiej atmosfery, która towarzyszyła premierze. Bisom nie było końca, cała sala śpiewała razem ze wspaniałym Tomkiem Kowalskim przeboje „Dżemu". Nikt krytycznie nie oceniał upadków wielkiego artysty, jakim był Ryszard Riedel, chociaż autorzy niczego przed widzami nie ukrywali. Zadziałała magia teatru.

Najsłabszym ogniwem cyklu okazał się „W popielniczce diament" Jakuba Roszkowskiego o legendzie polskiego kina, genialnym aktorze Zbyszku Cybulskim, spoczywającym na katowickim cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza. Autorzy starali się odpowiedzieć na pytanie: *Co by to było gdyby Cybulski żył dzisiaj?* Nie zazdroszczę twórczej wyobraźni. Legendę przypomniano i obśmiano. To nie moja bajka. Reżyser Waldemar Patlewicz też nie wzniósł się na wyżyny sztuki. Natomiast w niezwykłej scenerii Galerii Szyb Wilson zaiskrzyła „Morfina" Szczepana Twardocha w genialnej reżyserii Eweliny Marciniak – pod każdym względem spektakl wybitny; plastycznym (Katarzyna Borkowska), aktorskim (wielkie kreacje Anny Kadulskiej i Violetty Smolińskiej), muzycznym (rewelacyjny zespół „Chłopcy Kontra Basia"). To była uczta dla oczu, uszu i przede wszystkim dla ducha…

„Czarny ogród" na motywach wspaniałej książki Małgorzaty Szejnert w reżyserii Jacka Głomba zostawił w pamięci piękne obrazy, zwłaszcza olśniewający prolog i… obecność na scenie Bernarda Krawczyka. Pewnych fragmentów książki Szejnert brakowało, inne historie, zbyt znane, można było pominąć. Materiał wyjściowy doskonały, twórcy znakomici, sukcesu nie było… Czegoś było za mało, może miłości do „czarnego ogrodu".

Wróćmy do „Westernu". O autorze i reżyserach już było. Pora na oprawę plastyczną. Scenografia i kostiumy są dziełem Adrianny Gołębiewskiej. Praca przy spektaklu wieńczy jej studia, jest dyplomem i kolejną odsłoną projektu KatoDebiut realizowanego przez dyrektora Roberta Talarczyka w Teatrze Śląskim. Do artystki mam jedną uwagę: musi pokochać światło! Troszkę się go boi. Ciężkiej rzeźbie Panny Marii można było światłem dodać lekkości. Historia Ślązaków w Teksasie nie jest aż tak czarna. Ma swoje blaski i cienie.

Treści sztuki opowiadał nie będę – kto chce ją poznać musi się wybrać do teatru. Chcę napisać o aktorach, dzięki którym niektóre postacie na dłużej pozostaną w naszej pamięci. Przede wszystkim o Annie Kadulskiej *(Hedwig)*, która wkracza na scenę w najbardziej odpowiednim momencie, kiedy zaczynają opadać powieki. Jest krzykliwa, „strzela" batem i cały czas kombinuje jak zdobyć wielkie pieniądze, taka bizneswoman tamtych czasów. Powiadają, że jest z innej sztuki, że psuje spokojny balladowy tok przedstawienia. I bardzo dobrze! W innym wypadku zasnąłbym, jak amen w pacierzu. *Ks. Moczygemba* Dariusza Chojnackiego na ambonie spokojny i cichy, w działaniu szybki. Świetną, bardzo charakterystyczną parę stworzyli Bartłomiej Błaszczyński (*Szeryf)* i Agnieszka Radzikowska *(Żona Szeryfa)*. Drugą parę, której zapomnieć nie sposób, wykreowali: Bogumiła Murzyńska (*Szamanka*) i Jerzy Głybin (*Szaman*) – ich perfekcyjnym aktorstwem można zachwycać się bez końca. Z zegarmistrzowską konsekwencją poprowadziła rolę czarnoskórej Ślązaczki Barbara Lubos (*Ofelia*), mistrzowska w każdym geście. Alina Chechelska (*Petronela*) jak zawsze podbiła serca widowni. Nie zawiodły moje ulubione aktorki: Ewa Leśniak *(Gertruda)* i Krystyna Wiśniewska *(Antonina)*. Muszę jeszcze wymienić Grzegorza Przybyła *(M'Rose),* Wiesława Sławika *(Alojz)* i Andrzeja Warcabę *(Aktor)*.

Wielki ekran, na którym dublowane jest to, co dzieje się na scenie jest nawiązaniem do kina, w którym kiedyś królowały westerny. Nie dotarł do mnie sens wyświetlanych na scenie napisów, najpierw myślałem, że to tytuły scen, coś jakby rozdziały, ale gdzie tam… Nie są to też napisy z kina niemego. Tę zagadkę zostawiam innym do rozwiązania!

WITOLD KOCIŃSKI

Artur Pałyga *Western*, reżyseria: Robert Talarczyk, Rafał Urbacki, scenografia i kostiumy: Adrianna Gołębiewska, muzyka: Przemysław Sokół, tłumaczenie oraz konsultacje językowe z gwary śląskiej: Ewa Leśniak. Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach. Prapremiera 4 września 2015.

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Jubileuszowy sezon „Cameraty Silesii"

Obecny sezon będzie 25. w historii naszego znakomitego chóru kameralnego „Camerata Silesia". Jubileusz postanowiono uczcić całą serią koncertów, z których pierwszy odbył się w Sali Koncertowej NOSPR 5 września, w obecności rodzin i przyjaciół zespołu, oficjalnych gości i licznie zgromadzonej publiczności abonamentowej. Na inauguracyjny koncert obchodów przygotowano program złożony z kompozycji specjalnie napisanych dla „Cameraty" przez polskich twórców; wśród nich było aż siedem nowych kompozycji. Koncert rozpoczął znany już publiczności *Psalm radosny* Ryszarda Gabrysia – wciągająca „śpiewogra", rozpisana na śpiewaków rozmieszczonych w różnych punktach sali, jak zwykle u Gabrysia lekko prowokująca – do myślenia. Mniej zagadkowe było również już wykonywane *Miserere* Stanisława Krupowicza, zaopatrzone w liczne cytaty z chorału gregoriańskiego, zwieńczone efektowną sopranową wokalizą, napisaną z wiedzą o fenomenalnych właściwościach głosu Magdaleny Szostak-Krupowicz, która była pierwszą wykonawczynią utworu. Krzysztof Baculewski skomponował na jubileusz „Cameraty" efektowny, wyrazisty rytmicznie i brzmieniowo *Refren* z udziałem chóru i instrumentów. Marcin Rupociński nawiązał w swoim *Psalmie 96." Cantate Domino"* do idiomu muzyki dawnej. Przemysław Scheller – autor opracowania psalmu *Judaica me, Deus*, połączył klasyczną tkankę muzyki chóralnej z akompaniamentem wykonanym osobiście na *didgeridoo* – archaicznym instrumencie australijskim, którym zachwycał się niegdyś Witold Szalonek. *Phylakterion* Pawła Szymańskiego – kompozycja z 2011 roku, inspirowana starogrecką inskrypcją zwaną *Modlitwą Marii*, odzwierciedlała magiczny charakter tekstu, czyniąc go podstawą mozaiki, w której solistycznie traktowane głosy tworzyły subtelną siatkę indywidualnych „zaklęć". Tradycyjną stylistykę reprezentował *Psalm dobrej woli* do słów Zygmunta Krasińskiego Joanny Wnuk-Nazarowej. Awangardę reprezentował *PrānāhTron* Aleksandra Gabrysia na chór, komputer live i kontrabas. Kompozytora zainspirowała hinduistyczna koncepcja *prany* – oddechu i zarazem siły życiowej; śpiewacy, oddychając indywidualnie, a zarazem uczestnicząc we wspólnym oddechu, poddali się elementarnemu doświadczeniu bytu, z czego wynikła frapująca dźwiękowa narracja. Kolejne dwie kompozycje: Sabiny Byrczek (*Psalm 117*) i Pawła Tomaszewskiego (*Psalm 29*) utrzymane były w stylistyce jazzowej i w ten sposób stanowiły płynne przejście do drugiej części koncertu, w której zabrzmiały monumentalne jazzowo-etniczne *Psalmy* Leszka Możdżera. Poza tym wysłuchaliśmy wielu życzeń i gratulacji (w tym jednych – śpiewanych, autorstwa Henryka Mikołaja Góreckiego, którego utwór-dedykację *Niech nam żyją i śpiewają* wykonała „Camerata" na koniec pierwszej części koncertu.

Klara Langer-Danecka

18 września bieżącego roku minęła 10. rocznica śmierci nieodżałowanej Klary Langer-Daneckiej, wybitnej pianistki i pedagoga, a dla nas, uczniów – drugiej Mamy, jaką zresztą zawsze chciała dla nas być. Po dziesięciu latach od śmierci jakoś wyraźniej widać, że życie miała ciężkie, chociaż nie narzekała, bo chroniła ją miłość do pięknej Pani Muzyki, ale także niezłomna moralna postawa i wiara. Pochodziła z typowej katowickiej rodziny, gdzie wymieszały się korzenie niemieckie i polskie. Ojciec był uczestnikiem powstania śląskiego z 1920 roku, ale to nie uchroniło artystki przed represjami, których doznała w okresie stalinowskim z powodu rzekomego afiszowania się niemieckim pochodzeniem – jak pisano w donosach na artystkę, które napływały punktualnie w przeddzień jej koncertów, co skutkowało przesłuchaniami na milicji dokładnie w te dni, kiedy miała grać. Jej główną „winą" miało być podjęcie w uruchomionym w1939 roku pracy w niemieckim konserwatorium w Katowicach. Tu przypomnę, że „pod Niemcem" zgodziło się pracować 33 z 36 pedagogów przedwojennego konserwatorium warszawskiego, przekształconego w 1940 roku w Staatliche Musikschule in Warschau. Nikomu z tego grona po wojnie włos nie spadł z głowy, wyjąwszy Kazimierza Sikorskiego (wicedyrektora Musikschule), którzy otrzymał na jakiś czas zakaz sprawowania kierowniczych stanowisk. Jak wiadomo, na Śląsku było inaczej. Tak więc, trzydziestoletnia Klara Langer, mająca wszelkie dane na stanie się „rasową" wirtuozką, grająca od czasów nauki u Wandy Chmielowskiej w Śląskim Konserwatorium Muzycznym Beethovena, Liszta, Schumanna, Brahmsa, Rachmaninowa, co jest niezwykle rzadkie nie tylko wśród polskich pianistek (pomijając cechy osobowości, trzeba mieć bowiem znakomite warunki fizyczne), stała się w latach 50. przedstawicielką rzeszy pianistów zarabiających na chleb głównie koncertami w „terenie" i w szkołach. Do rodowego nazwiska dodała w tym czasie panieńskie nazwisko matki. Od czasu do czasu „dawano" jej koncert w Śląskiej Filharmonii, jednorazowo pojawiła się na estradzie Filharmonii Narodowej, kilkakrotnie wyjeżdżała też na tournée zagraniczne: do Bułgarii, Czechosłowacji, ZSRR i Chin. Wszędzie imponowała znakomitym opanowaniem najtrudniejszego repertuaru, który nieustannie szlifowała, m. in. pod okiem wybitnego niemieckiego pianisty Wilhelma Kempffa, którego poznała jeszcze w czasie okupacji, biorąc udział w prowadzonych przez niego kursach mistrzowskich w Poczdamie. W 1966 roku pojechała do Kempffa do Positano na kurs interpretacji muzyki Beethovena. W tym czasie rozpoczęła też pracę pedagogiczną w szkole muzycznej w Zabrzu. By uzupełnić brakujące kwalifikacje, tj. tytuł magistra, którego nie zdążyła uzyskać przed wojną, zrealizowała w Krakowie studia filologiczne w specjalności rusycystyka. Ów wybór nie był żadną manifestacją – artystka niezwykle ceniła muzykę i kulturę rosyjską.

Los Klary Langer-Daneckiej odmienił się z końcem lat 70., gdy zaczęła bywać na festiwalu pianistycznym w Słupsku. Po jej występach w repertuarze Beethovenowskim posypały się entuzjastyczne recenzje, których konkluzją było pytanie, jak to się stało, że tak znakomita pianistka nie występuje regularnie na czołowych polskich estradach, nie słychać jej w radio, nie nagrywa płyt? Wśród krytyków, którzy zadawali to pytanie byli Józef Kański i Marian Wallek-Walewski. Kiedy ten ostatni został z początkiem lat 80. dyrektorem artystycznym WOSPR, spowodował pojawienie się Klary Langer-Daneckiej na estradzie radiowej orkiestry. W tym samym czasie zaproszono ją – najpierw na zastępstwo, później na etat docenta – do katowickiej Akademii Muzycznej, gdzie przez 10 lat (1981–1992) prowadziła klasę fortepianu, w ostatnich latach jako profesor tytularny. Zdążyła wychować kilkoro młodych pianistów, z których większość pozostała w zawodzie i kontynuuje jej misję. Zadbała o to, by wyposażyć swoich uczniów nie tylko w pianistyczny warsztat i umiejętność rozumienia muzyki, ale i otwarte głowy. Z Panią Profesor jeździło się nie tylko na koncerty, ale i do Krakowa na wykłady księdza Tischnera, a w klasie dyskutowało o niedzielnych kazaniach biskupa Ratzingera, nadawanych przez radio kolońskie, i oczywiście o komunistach (z tą jednak przestrogą, że ludzi nie można dzielić z góry na czarnych, białych, czy czerwonych…). O pomnożenie własnego dorobku w postaci nagrań radiowych i płytowych nie zdążyła już zadbać. Do ostatnich dni grywała publicznie, głównie na estradzie Instytucji „Silesia", z którą była od lat zaprzyjaźniona. Jubileuszowy koncert Klary Langer-Daneckiej, który odbył się staraniem „Silesii" w 80. rocznicę jej urodzin (22 października 2002) w Muzeum Archidiecezjalnym zgromadził tłum muzyków i przyjaciół. Zagrała oczywiście Beethovena. ■

„Być sobą tu i teraz – warsztaty rozwojowe dla kobiet”

Zdjęcia z archiwum GBP Radziechowy-Wieprz

Gminna Biblioteka Publiczna Radziechowy-Wieprz

Bałagan w bibliotece – dla kogo ta przestrzeń?

Wakacyjne spotkania w bibliotece, zorganizowane ze środków programu Działaj Lokalnie

Tutaj książki na półkach nie stoją zbyt równo, a o „błogiej ciszy” można co najwyżej pomarzyć. Na podłodze czasem zauważysz okruchy. Jeżeli zostaniesz chwilę dłużej, raczej na pewno napijesz się kawy. W tej niesterylnej przestrzeni łatwo zapaść się w wygodnym fotelu, opowiedzieć coś o sobie, posłuchać o nas i odkryć, że jest nam razem po drodze.

Ponad 13 tysięcy mieszkańców w sześciu miejscowościach żywieckiej gminy Radziechowy-Wieprz. Pięć niewielkich placówek bibliotecznych obsługiwanych przez cztery bibliotekarki. Warsztaty, kursy i spotkania organizowane przede wszystkim w ramach projektów, przy wsparciu nieformalnych grup i wolontariuszy. Już od kilku lat, stopniowo, oddajemy przestrzeń biblioteki w ręce mieszkańców. W ciągu letnich miesięcy udostępniliśmy miejsce dla takich działań, jak: Tydzień Fantastyki, warsztaty rozwojowe dla kobiet i warsztaty rękodzielnicze dla dzieci i młodzieży.

Kiedy w roku 2012 z grupą radziechowskiej młodzieży biblioteka organizowała pierwszy Tydzień Fantastyki – minikonwent na zakończenie wakacji – wiele wskazywało na to, że będzie to wprawdzie udane, ale jednorazowe przedsięwzięcie. Część młodych organizatorów była na etapie przechodzenia do szkół średnich, co w przypadku gminy Radziechowy-Wieprz oznacza zniknięcie z lokalnej mapy i „ucieczkę” do miasta. Część wydawała się zbyt młoda, by podołać organizacji tygodnia atrakcyjnych działań kulturalnych. Mimo początkowych obaw okazało się, że młodzi ludzie doskonale sobie radzą. Tydzień Fantastyki wszedł na stałe do kanonu imprez wspieranych przez bibliotekę. Każdy dzień Tygodnia jest poświęcony jednemu tematowi, codziennie można wziąć udział w konkursie i wygrać nagrody. Tegoroczny dzień filmowy wypełniły dyskusje i prelekcje, dzień literatury stał się okazją do spotkania z *fanfiction* i udziału w czytaniu z podziałem na role fragmentów takich młodzieżowych klasyków, jak: *Harry Potter*, *Władca Pierścieni* czy *Igrzyska śmierci*. Dzień gier zdominowały planszowy *Koncept* i karciana *Maskarada*, obie rozwijające umiejętność logicznego myślenia, wymagające sprytu i sprawnego komunikowania się ze współgraczami. Biblioteka na jeden dzień stała się sceną dla – rozgrywanego przez kilkunastoosobową grupę młodzieży – LARP-a. To reżyserowane na żywo widowisko, którego uczestnicy, wcielając się w przydzielone role, realizują indywidualne cele, niejednokrotnie sprzeczne z dążeniami innych. Intryga, zagadka, poszukiwanie sprzymierzeńców i identyfikacja zagrożeń. Zaangażowanie graczy sprawiło, że biblioteka zamieniła się na chwilę w miejsce jak z filmowego kadru. Postronni czytelnicy byli włączani przez reżysera w ciąg akcji, chętni otrzymali epizodyczne role do odegrania. A wszystko to zostało zaplanowane i przeprowadzone przez grupę młodzieży w wieku od 13 do 20 lat.

Osoby realizujące projekty często są jednocześnie ich odbiorcami. Ale nawet jeżeli docelowa grupa jest niewielka, to wychodzimy z założenia, że warto oddawać pole do wypowiedzi i działań tym, którzy chcą z biblioteką współpracować.

Rok 2014 obfitował w przedsięwzięcia finansowane z zewnętrznych źródeł. W ramach dofinansowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego projektu Bibliomania – Książka! Kultura! Kreacja! odbyły się warsztaty dla młodzieży (fotograficzne, filmowe, dziennikarskie, literackie, ceramiczne), a dzięki środkom pozyskanym w ramach programu Działaj Lokalnie VIII udało się od lipca do listopada zorganizować 25 spotkań tematycznych dla pań. Wizaż, stylizacja, pierwsza pomoc, bezpieczeństwo osobiste – to tylko niektóre z poruszanych tematów. Kobiece spotkania cieszyły się dużym zainteresowaniem i w rezultacie, niecały rok później, radziechowska grupa nieformalna „Misski spod Matyski” wystąpiła o dofinansowanie projektu „Być sobą tu i teraz – warsztaty rozwojowe dla kobiet”. Pozyskane z Funduszu Inicjatyw Obywatelskich środki finansowe zostały spożytkowane na organizację cyklu spotkań, które odbywają się właśnie w bibliotece. W czwartkowe popołudnia i wieczory biblioteka staje się miejscem rozważań nad kondycją kobiet we współczesnej rzeczywistości. Wieczory rozmów, relaksacji, muzyki, tańca i intuicyjnej twórczości. Stół zastawiony pysznymi przekąskami, domowa atmosfera; biblioteka świetnie sprawdza się jako azyl i miejsce odpoczynku.

Bardzo chętnie przygarniamy przeróżne działania i staramy się szybko reagować na pojawiające się możliwości. Kiedy jedna z naszych czytelniczek przybiegła z wiadomością, że w okolicy zawita niebawem znana jej osobiście pisarka i jest szansa na spotkanie autorskie – decyzja zapadła w parę minut. W Wieprzu w ciągu kilku dni zawiązała się grupa nieformalna i powstał wniosek o dofinansowanie wakacyjnych warsztatów dla dzieci i młodzieży – biblioteka okazała się być doskonałym miejscem do ich realizacji. Decoupage, quilling i bibułkarstwo przemieniły przestrzeń biblioteczną w tętniącą życiem pracownię. Warsztaty się skończyły, ale ich uczestnicy zostali z nami.

Jak się łatwo domyślić – ani zasoby finansowe (budżet biblioteki jest z roku na rok systematycznie obcinany), ani kadrowe (cztery etaty do obsługi pięciu placówek bibliotecznych) nie ułatwiają nam życia. W takiej sytuacji aktywność mieszkańców i zewnętrzne źródła finansowania to często jedyna szansa na poszerzenie oferty biblioteki. Niejednokrotnie rzeczywistość sama przynosi rozwiązania, jak to się stało w przypadku warsztatów programowania dla dzieci i młodzieży. Rok temu pojawiły się osoby chętne, a w tym roku udało nam się zaprosić przedstawicieli Stowarzyszenia Edukacji Pozaformalnej „Meritum” do przeprowadzenia pokazowych warsztatów budowy i programowania robotów Lego. W zajęciach wzięło udział 39 dzieci z okolicznych szkół podstawowych i gimnazjów. Istnieje szansa na stworzenie na terenie gminy Radziechowy-Wieprz gminnego ośrodka programowania. Czy się uda? Czy znajdziemy fundusze i wsparcie wśród lokalnych instytucji i organizacji? Czas pokaże.

Póki co szeroko otwieramy podwoje naszych placówek. Zapraszamy z pomysłami i działaniami. Chcemy, by nasza biblioteka żyła. A że życie w sterylnych warunkach jest nudne, z radością godzimy się na bałagan.

BEATA LEŃCZUK-BACHMIŃSKA

Jan „Kyks” Skrzek ze swoją harmonijką w Galerii Artystycznej

W Galerii Artystycznej stanęła rzeźba kolejnego wielkiego katowiczanina – Jana „Kyksa” Skrzeka. 11 września, w roku 150-lecia nadania Katowicom praw miejskich, przy placu Grunwaldzkim prezydent Marcin Krupa w towarzystwie rodziny Jana „Kyksa” Skrzeka odsłonił jego rzeźbę. Znalazł się w gronie innych zacnych postaci związanych z Katowicami, jak m.in. Wojciech Kilar, Henryk Mikołaj Górecki, Paweł Steller, Wilhelm Szewczyk, Jerzy Duda-Gracz czy Zbigniew Cybulski. Wielkiego bluesmana wybrali mieszkańcy regionu na początku roku w zorganizowanym przez katowicki magistrat plebiscycie. Autorem rzeźby jest artysta plastyk Jacek Kiciński z Siemianowic Śląskich.

Jan „Kyks” Skrzek (ur. 21 listopada 1953 w Siemianowicach Śląskich, zm. 29 stycznia 2015 w Katowicach) – muzyk i kompozytor bluesowy, grał na harmonijce ustnej i fortepianie, młodszy brat Józefa Skrzeka. Identyfikował się z kulturą Górnego Śląska i ją współtworzył. Brał udział w licznych koncertach i festiwalach, nagraniach, programach telewizyjnych i filmach. Wydano szereg jego płyt. Muzyk przez lata mieszkał w Katowicach.

Działalność artystyczną rozpoczął w jazz-rockowym zespole Rak, w którym występował w latach 1973–1976. Na zaproszenie swojego starszego brata, Józefa Skrzeka, wziął udział w sesji nagraniowej albumu grupy SBB, zatytułowanego *Memento z banalnym tryptykiem* oraz jego solowych wydawnictw, jak *Józefina* czy ścieżka dźwiękowa do filmu *Wojna światów – następne stulecie*. Efektem współpracy braci był również występ w ramach festiwalu Folk-Blues Meeting ’80 w Poznaniu. Uczestniczył również w finałowych koncertach Rawa Blues Festival, podczas których występował w programach solowych, sporadycznie w skompletowanych składach.

W 1985 roku miała miejsce premiera debiutanckiego wydawnictwa artysty – albumu koncertowego *Górnik Blues*, zawierającego zapis koncertu, zarejestrowanego w klubie Leśniczówka w Chorzowie. W 1986, wcześniej zrealizowane przez Kyksa nagrania, ukazały się na jednej stronie kasety *Blues po polsku vol. 1*, a rok później na składance *Greatest Hits*. W 1988 roku, wraz z 6-osobowym chórkiem, muzyk zrealizował drugi album, pt. *Nikt nie zawróci kijem Wisły*. W późniejszym czasie ukazały się płyty *Kyksówka Blues* (1989) oraz *Nowy Świat Blues* (1992), utrzymane w ostrzejszej, blues-rockowej konwencji, z akompaniamentem zespołu Bezdomne Psy. Następnie muzyk skoncentrował swoją działalność głównie na występach klubowych, okazjonalnie w ramach festiwali, m.in. Bluesa na Dołku ‘94 w Ciechanowie. Ponadto wziął udział w musicalu „Pozłacany warkocz” oraz wystąpił w filmach Janusza Kidawy i Kazimierza Kutza. W 1997 roku ukazała się płyta *Modlitwa bluesmana w pociągu*, poświęcona pamięci Ryszarda Riedla, zrealizowana z zespołem Bezdomne Psy oraz Rafałem Rękosiewiczem i Bronisławem Dużym, zyskała miano „Bluesowego Albumu Roku 1997”. W 2003 roku zawiązał się zespół Śląska Grupa Bluesowa. W 2005 roku wydany został album *Bo takie są dziewczyny*, nagrany z Śląską Grupą Bluesową. Grupa wydała swoje koncertowe DVD *Blues Night* oraz nagrała jeszcze dwie płyty w 2009 roku *Pełnia Słońca* oraz w 2014 roku ostatni album Jana Skrzeka *Kolory Bluesa*. Z zespołem Śląska Grupa Bluesowa koncertował do śmierci. Ostatnie koncerty odbyły się od 6 do 10 stycznia 2015 w Toruniu, Gdyni, Elblągu i Częstochowie.

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

Na zdjęciu: prof. Marek Czapliński i prof. Ryszard Kaczmarek (recenzenci projektu Leksykonu) w trakcie warsztatu organizacyjno-metodologicznego

Leksykon mitów, symboli i bohaterów Górnego Śląska XIX-XX wieku

Na blisko 500 stronach interdyscyplinarne grono 18 autorów z Polski, Niemiec i Czech podjęło próbę przedstawienia dziejów Górnego Śląska ostatnich dwóch stuleci z perspektywy różnych kultur i pamięci, analizując w czasie wybrane elementy świata wartości i emocji. Publikacja Instytutu Śląskiego w Opolu (pod redakcją Bernarda Linka i Andrzeja Michalczyka) zawiera 110 rozbudowanych haseł, które prezentują górnośląskie symbole i stereotypy, bohaterów i opowieści związane z regionem oraz święta i miejsca wspólnego przeżywania górnośląskiego świata wyobrażonego. Hasła dobrane są z obszaru najważniejszych kultur, obecnych i aktywnych w tym okresie na Górnym Śląsku. Związane są one z kulturą ludową, chrześcijańską, narodową, industrialną, robotniczą i popularną. Hasła konstruowano według wspólnych zasad, podejmując też próbę oceny ich znaczenia dla mieszkańców oraz nakreślenia perspektyw funkcjonowania w różnych pamięciach. „Leksykon" składa się z pięciu części. Pierwsza pt. „Ludzie i znaki" przybliża wyobrażenia o podstawowych grupach mieszkańców i symbole kojarzone z Górnym Śląskiem. Znajdziemy tutaj m.in. przedstawienie dziejów i znaczeń zwizualizowanych symboli regionu (np. katowicki Spodek i Wieża Piastowska) oraz analizę wyobrażeń własnych i obcych o narodach i innych ważnych dla Górnego Śląska grupach (jak choćby górnicy). Druga część „Święci i bohaterowie", analizuje zestaw kilkudziesięciu jednostkowych i zbiorowych bohaterów pamięci górnośląskiej. Znajdziemy tutaj zarówno reprezentantów świata wierzeń i religii (np. Utopiec i św. Czesław), pamięci narodowych (ks. Norbert Bonczyk, Petr Bezruč, Eduard Pant), systemów totalitarnych (Heydebreck i Pstrowski), czy kultury popularnej (Antek i Francek oraz Ryszard Riedel). Trzecia część „Mity i tradycje" omawia narracje, które kształtowały tożsamość regionalną. Zarówno tzw. wielkie opowieści (Korona św. Wacława, Polska Piastowska, niemiecka misja kulturowa), których Górny Śląsk był tylko elementem i odbiorcą, jak i te specyficznie regionalne (autonomia śląska, Tragedia Górnośląska). Ostatnie dwie części, pt. „Święta i rytuały" oraz „Miejsca", przybliżają różne formy i miejsca wspólnego przeżywania górnośląskiego świata wyobrażonego. W tych wyborach znajdziemy opisy roli społecznej świąt chrześcijańskich (chrzest, I Komunia) czy narodowych, ale też specyficznie regionalnych (święta zakładowe, świniobicie). Więcej informacji na temat publikacji na stronie wydawcy: www.instytutslaski.com.

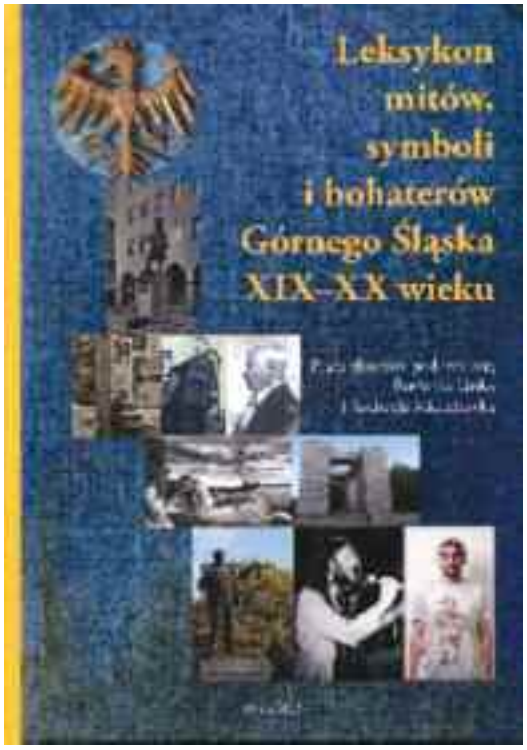

Na zdjęciu: autorzy i redaktorzy Leksykonu w trakcie spotkania redakcyjnego: czwarty od lewej dr Bernard Linek, piąty od lewej dr Andrzej Michalczyk – redaktorzy Leksykonu

jiw

Teatr w sieci

KSIĄŻKI

MARIA SZTUKA

Powołanie przed 250 laty polskiej sceny narodowej sytuowało teatr w rzędzie najskuteczniejszych narzędzi kształtowania świadomości społecznej i zdawać by się mogło, że rola ta nigdy nie straci na wartości, nigdy nie zostanie podważona, a uczestniczące w dyskursie publicznym spektakle niezmiennie gromadzić będą rzesze zainteresowanych zaklętą w różnorodne kostiumy historyczne refleksją na temat „tu i teraz”. W meandry komunikacji społecznej wkradły się jednak zaborczo konkurencyjne media (film, telewizja, Internet…) i przed twórcami teatralnymi stanęło trudne zadanie: jak zatrzymać dotychczasową i jak pozyskać nową publiczność. Niestety, szkolny program edukacyjny nie zapewnia, ba!, nawet nie sprzyja tworzeniu kolejnych pokoleń fascynatów czy miłośników sztuki scenicznej, spychając spotkania z magią teatru do poziomu zajęć pozalekcyjnych.

Współczesny teatr nie może bazować na dotychczasowych (wprawdzie sprawdzonych, ale nie ulega wątpliwości przestarzałych) komunikatach społecznych, które jeszcze do niedawna sprowadzały się do rozwieszania w różnych punktach miasta mniej lub bardziej znakomitych plakatów, afiszy, informacji prasowych, radiowych czy telewizyjnych, zapowiadających nadchodzące premiery. O tym, że spektakle teatralne wymagają odpowiedniej kampanii promocyjnej, przekonali się nie tylko ich twórcy, ale i dyrektorzy, menadżerowie, członkowie zespołów zajmujących się organizacją widowni, a także potencjalni widzowie. Doskonale funkcjonującą przez wiele dekad „pocztę pantoflową” zastąpił dzisiaj Internet i tak, z większą lub mniejszą świadomością, wszyscy staliśmy się pokoleniem sieci. Informacje zamieszczane na stronach poszczególnych placówek, jak i uzupełniające je komentarze cyfrowych tubylców stały się najsilniejszym narzędziem opiniotwórczym. Ten nowy rodzaj komunikacji między twórcami i publicznością jest także wartością dodaną, która wyznacza (a przynajmniej powinna być brana pod uwagę) kierunek działania poszczególnym przybytkom Melpomeny.

Publikacja dr Katarzyny Walotek-Ściańskiej *Teatry publiczne w województwie śląskim a social media* zawiera niezwykle cenne informacje. Autorka dzieli się wynikami badań, które przeprowadziła w teatrach województwa śląskiego, posiadających własne zespoły artystyczne, tworzące zindywidualizowane repertuary. Jedną z intencji autorki było wskazanie ogromnego potencjału dla konsumpcji kulturalnej, który tkwi w mediach społecznościowych i ujawnienie, jak oddziałują one na promocję, popularyzację, w konsekwencji dostępność, odbiór i percepcję kultury i sztuki. Obiektem analiz Katarzyny Walotek-Ściańskiej były: Teatr Śląski w Katowicach, Teatr Zagłębia w Sosnowcu, Teatr Rozrywki w Chorzowie, Teatr Polski w Bielsku-Białej, Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, Teatr Nowy w Zabrzu, Teatr Mały w Tychach, Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach, Teatr Lalek Banialuka w Bielsku-Białej, Teatr Dzieci Zagłębia im. Jana Dormana w Będzinie, Gliwicki Teatr Muzyczny, Bytomski Teatr Tańca i Ruchu Rozbark oraz Opera Śląska w Bytomiu.

Monografia składa się z trzech z części. Pierwsza: *Teatry publiczne w województwie śląskim* to pigułka wiedzy o poszczególnych teatrach, część adresowana do wszystkich, których interesują śląskie sceny. Znalazły się tu więc informacje o historii, repertuarze, profilu potencjalnego widza oraz krótkie rozmowy z dyrektorami wszystkich poddanych badaniom placówek. Ciekawa lektura, ponieważ każdy z interlokutorów odpowiada na te same pytania, można więc bez trudu prześledzić sposób budowania repertuaru, stosunek zarządzających teatrami do zapotrzebowania widzów, docenianie, bądź bagatelizowanie roli tradycyjnych i nowoczesnych mediów. Jedno z pytań, które szczególnie mnie zainteresowało dotyczyło oceny sytuacji teatrów w województwie śląskim. Głosami dominującymi były utyskiwania na złe finansowanie, efektem którego jest brak poczucia stabilizacji zespołów teatralnych, niski komfort pracy, czy dobór repertuaru podporządkowany wysokości przyznawanych dotacji. Choć niemal wszyscy uznają Śląsk za prężny region teatralny, oferujący zróżnicowany repertuar i posiadający znakomicie reagującą publiczność, zaledwie dwóch dyrektorów (zachęcam do lektury, aby przekonać się którzy) eksponuje spektakularne sukcesy kilku scen województwa śląskiego w ogólnokrajowych konkursach, międzynarodowych przeglądach, festiwalach…

Sposoby poszukiwania dodatkowego wsparcia finansowego, czyli pozyskiwanie donatorów, to zadanie, które wielu włodarzom teatrów przysparza sporo kłopotów, są więc szefowie, których porażki zniechęcają, ale są także dyrektorzy, którzy wspomagając się profesjonalnie przygotowanymi zespołami, osiągają zachęcające efekty, wprawdzie nie czują się rozpieszczani, ale nawet niewielkie sukcesy motywują i dopingują.

Druga część poświęcona jest obecności teatrów publicznych w mediach społecznościowych, w trzeciej – na przykładzie analizy działań internetowych Gliwickiego Teatru Muzycznego autorka obrazuje jak przydatnym narzędziem do promowania instytucji, odczytywania nastrojów odbiorców-widzów, informowania społeczności lokalnej o prowadzonych przedsięwzięciach stają się social media. Najbardziej korzystnym portalem okazuje się być Facebook, teatr korzysta również z Twittera, prowadzi także kanał na portalu You Tube. Nic więc dziwnego, że fanów GTM można znaleźć nie tylko w Polsce, ale także w Wielkiej Brytanii, Niemczech, USA, Włoszech, Czechach, Słowacji, Rosji, Francji, Holandii…

Komu polecam lekturę Katarzyny Walotek-Ściańskiej? Wszystkim! Dla jednych stanowić może bowiem kompendium wiedzy o teatrach naszego regionu, dla innych jest znakomitą instrukcją zarządzania nie tylko teatrami, ale i innymi instytucjami kulturalnymi, może być także inspiracją dla marketingowców, których nie trzeba już przekonywać do konieczności istnienia w mediach społecznościowych. Autorka nie ukrywa, że adresowała wyniki swoich badań także do decydentów środków finansowych – władz szczebla centralnego, regionalnego, lokalnego, którzy mogą wspierać określone projekty i przeznaczać środki na promowanie oferty teatralnej. Powinni, bo warto!

Katarzyna Walotek-Ściańska: ***Teatry publiczne w województwie śląskim a social media*****. Katowice 2015, ss 292.**

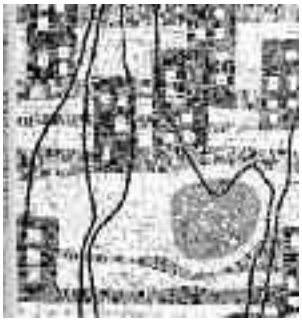

Sztuka w przestrzeni miasta

KSIĄŻKI WIESŁAWA KONOPELSKA

Takiej książki powinny Tychom pozazdrościć inne miasta: nie dość, że została napisana w bardzo interesujący i przystępny sposób (mimo że opowiada o sprawach architektury, rzeźby i sztuki współczesnej), to jeszcze wydana w bardzo atrakcyjnej szacie graficznej. Ten drugi element rzuca się w oczy od chwili kiedy weźmiemy ją reki. Widać, że książka została wymyślona nie tylko pod względem merytorycznym, z wielką dbałością o umocowanie opisywanych zdarzeń i faktów w materiałach źródłowych, ale także pod względem edytorskim. Zaglądając do metryczki dowiemy się, że autorką opracowania graficznego jest Zofia Oslislo – projektantka, która wyspecjalizowała się w tworzeniu niebanalnych, zaskakujących dzieł wydawniczych. Znakomity jest zamysł pierwszej strony okładki: skoro autor w znacznej mierze swoją książkę poświęcił mozaikom, czyli obrazom tworzonym na litym podłożu, jakim są ściany miejskich zabudowań, to i okładka musi odpowiadać zawartości. Stąd zapewne zdjęcie fragmentu jednej z miejskich mozaik zostało nadrukowane na grubą tekturę i naklejone na okładkę. Tak jak okładka, tak i wnętrze książki zostało starannie opracowane. Dopełnieniem jest kieszonka, w której czytelnik znajdzie swoistą mapę z zaznaczonymi miejscami, w których znajdują się opisywane obiekty małej architektury, płaskorzeźbione plakiety, malarstwo monumentalne, pomniki i tablice upamiętniające wydarzenia i osoby. Pomysłodawca mapy nie poprzestał jednak na tradycyjnym naniesieniu wspomnianych obiektów, ale zamieścił ich miniatury z krótkim opisem, a całość opatrzył krótkim felietonem Krzysztofa Siwczyka o znakach widzialnych. I tak po zewnętrznym oglądzie książki, chce się zajrzeć do jej wnętrza.

Jak sugeruje tytuł, znajdziemy w niej opisanie miasta Tychy jako swego rodzaju fenomenu zarówno architektonicznego (miasta zaprojektowanego na deskach kreślarskich przez znakomitych architektów), jak i miejsca, w którym sztuka w miejskiej przestrzeni odegrała szczególną rolę. Takiego nagromadzenia dzieł, których twórcami było wielu artystów związanych ze Śląskiem próżno szukać. Jak dowodzi autor, przestrzeń miasta stała się niegdzie nie spotykanym poligonem dla rzeszy twórców, którzy będąc na co dzień malarzami czy grafikami tworzyli dzieła ozdabiające ściany bloków, gmachów użyteczności publicznej, placówki kulturalne i oświatowe. Tworzyli czasem gigantyczne przestrzenie wewnątrz tych obiektów. Wiele z nich dotrwała do dzisiejszych czasów, ale sporą część zmiótł wicher historii albo… nieodpowiednia technika czy kiepska jakość materiałów, z których powstawały na przykład gigantyczne mozaiki czy zdobienia.

Z pozoru tylko wydawać się może, że książka ta powinna obchodzić wyłącznie tyszan bądź osoby w jakiś sposób związane z tym miastem. Jednak lektura kolejnych rozdziałów pokazuje, jak to niezwykłe miejsce promieniowało na znacznie większy obszar – region i kraj. Fascynacja i zainteresowanie Tychami, a także możliwość realizacji wielu artystycznych pomysłów i projektów, przyciągały artystów. Żadne inne miasto nie oddało swojej przestrzeni artystom w takim stopniu, jak Tychy. Sztuka, jaką odnajdujemy w przestrzeni miasta stała się także powodem do dialogu współczesności z przeszłością tego miejsca, dialogu nowych, przybyłych mieszkańców z tymi, którzy od pokoleń byli związani z tą ziemią, dialogu między przybyszami a zakorzenionymi. Jak napisała we wstępie prof. Ewa Chojecka „[…] Tychy, zamierzone kiedyś w chwili swego powstawania w 1950 roku jako zaprogramowane „miasto bez dziejów", jako twór realnego socjalizmu okazały się dzisiaj, po dziesiątkach lat, zjawiskiem zgoła innym, fenomenem dynamicznych przemian. […] stworzono tu poczucie zakorzenienia, lokalny patriotyzm uzewnętrzniający się w przekonaniu o „byciu u siebie". Bo jak inaczej zrozumieć to, że w mieście podobno bez historii powstały muzeum jako miejsce pamięci, teatr, pulsuje własne życie kulturalne, nieodłączny element zakorzenienia."

Patryk Oczko przy pomocy różnorodnych dzieł pozostawionych przed laty przez artystów w mieście aż po te tworzone dzisiaj, pokazuje niezwykłą historię miasta, lokując ją w rozmaitych kontekstach – od artystycznych i urbanistycznych po społeczne i polityczne. Przywołuje atmosferę minionych lat, oddając głos artystom, tropi ślady ich twórczości, pokazuje losy dzieł, zmieniały swoje przesłanie w zależności od przemian historycznych.

Autor będąc historykiem sztuki i pracownikiem Muzeum Miejskiego w Tychach, zafascynowanym miastem, w którym żyje i pracuje, jest dokładnie tą osoba, o której we wstępie pisała prof. Chojecka. Jako pracownik muzeum tropiący przeszłość, wyruszył na poszukiwanie nowoczesnego. Pieczołowicie odnotowuje istotne wydarzenia odnoszące się się do obecności nowoczesnej sztuki w mieście, jak na przykład zorganizowaną w 1957 roku w osiedlowym domu kultury pierwszą w mieście wystawę sztuki współczesnej, której inicjatorem był rzeźbiarz Augustyn Dyrda. Poprzez takie obserwacje i nagromadzenie faktów Patryk Oczko pokazuje, że przybywający do miasta artyści nie tylko realizowali zadania zlecone tworząc mozaiki, malarstwo monumentalne czy rzeźby plenerowe), słowem nie tylko podejmowali się roli „upiększaczy miasta", ale wciągali w obręb sztuki najnowszej mieszkańców, którzy uczyli się żyć w tak niezwykłym otoczeniu, identyfikowali się z kolejnymi dziełami, i tylko w niektórych przypadkach (zwłaszcza dzieł nacechowanych politycznie) eliminowali je ze swojego otoczenia. Dla artystów przestrzeń Tychów stała się miejscem realizacji własnych koncepcji artystycznych, a oswojona sztuka przetrwała w dużej mierze po dziś dzień w krajobrazie miasta.

Budowa miasta „od zera" związana była z plejadą znakomitych architektów (od prof. Tadeusza Teodorowicza Todorowskiego po Hannę i Kazimierza Wejchertów), urbanistów, rzeźbiarzy i malarzy. Tychy nie tylko w swej przeszłości były miejscem, w którym osiedlali się twórcy. I dzisiaj istnieje tam wyraziste środowisko twórcze. Tak więc trwa dobra „artystyczna passa" Tychów. W pokaźnej rzeszy artystów, którzy zostawili tu swój ślad odnaleźć można nazwiska m.in.: Zygmunta Acedańskiego, Wincentego Chorembalskiego, Stefana Chorembalskiego, Antoniego Szkudły, Marka Dziekońskiego, wspomnianego już Augustyna Dyrdy, Jerzego Egona Kwiatkowskiego, Stanisława Kluski, Teresy Michałowskiej-Rauszer, Eryka Pudełki, Franciszka Wyleżucha, Tomasza Wenklara. Tychy ciągle są otwarte na nową sztukę – w ostatnich latach Tomasz Wenklar realizuje tu swoje rzeźby, a za jego sprawą Wejchertowie znaleźli w tym mieście swoje trwałe miejsce. Ciągle powstają nowe realizacje, które znakomicie wpisują się w pejzaż miasta. Wyrastają też niezwykłe dzieła architektoniczne – zwłaszcza obiekty sakralne, zaprojektowane przez Stanisława Niemczyka czy kościół św. Ducha z polichromią Jerzego Nowosielskiego.

Tychy dzięki dociekliwości autora i włożonemu przez niego ogromnego wysiłku w dokumentowanie obiektów będących świadectwem przeszłości, dzięki prowadzonym rozmowom z artystami i architektami o czasach przeszłych oraz pokazywaniu miejsca tego miasta na współczesnej mapie sztuki, ożyły na nowo.

Książka Patryka Oczko to kompendium wiedzy o Tychach – miejscu wyjątkowym i niezwykłym.

Patryk Oczko: *Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta*. Muzeum Miejskie w Tychach 2015, s.208.

Wędrowiec między kulturami

KSIĄŻKI

MARIA DĘBICZ

Ta książka musiała powstać. Urodzony w Ratyzbonie autor podsumował w niej swoją wiedzę o Polsce. Nie napisał jednak stereotypowego przewodnika ani eseju o życiu społeczno-politycznym. Matthias Kneip oświadczył się Polsce: *111 powodów, dla których kocham Polskę*.

Tytuł dokładnie oddaje treść książki. Swoje wyznanie autor zawarł w 10 rozdziałach, każdy opatrując charakterystycznym zdjęciem, np. rozdział *Język polski, trudny język?* − fotografią tablicy drogowej z napisem *Szczebrzeszyn.* Dla ułatwienia dodał małe słowniczki, objaśniające dziwne polskie słówka i nazwy oraz najróżniejsze zdrobnienia imion, które autora zadziwiają, ale i bardzo mu się podobają.

W naturze Niemca leży planowanie, bo chce mieć pewność. A Polak? Zawsze dostosuje się do nowych okoliczności. Nie da się zaskoczyć, ze wszystkim zdąży. Jest mistrzem improwizacji. To nie przypadek – pisze Kneip – że najważniejszy fragment poematu narodowego *Dziady* Adama Mickiewicza nosi tytuł *Wielka Improwizacja*.

Wszystko, o czym pisze Kneip, czerpie z własnego doświadczenia. Zasada „pisz o tym, co sam przeżyłeś" przyświeca całej jego twórczości.

Pierwsze polskie słowa, które jako dziecko słyszał w domu, to było „sto lat, sto lat". Pierwsza polska książka, którą przeczytał po niemiecku jako nastolatek, to *W pustyni i w puszczy*. Zachwycił się nią, ale nie potrafił wymówić nazwiska autora. Pierwszym polskim pisarzem, którego poznał jako mały chłopiec, był Tadeusz Różewicz. Chociaż nie wiedział, że jest pisarzem. To był wujek „Herr Tadeusz", przyjaciel rodziców, który bywał w ich domu, nawet grał z nim i jego braćmi w piłkę. I kiedy nieco później dowiedział się, że na wieczór autorski wujka przyszło 300 ludzi, nie posiadał się ze zdumienia: do naszego „Herr Tadeusza", który czytał swoje wiersze?

Polska była stale obecna w jego rodzinnym domu. Bliska i odległa. Jego rodzice: urodzona w Gliwicach matka Ingrid i, pochodzący z Leśnicy koło Opola, ojciec Heinz Kneip, zakorzenieni w polsko-niemieckim pograniczu kulturowym, musieli opuścić Polskę. Poznali się już w Niemczech, na uniwersytecie w Getyndze. Jako slawista i literaturoznawca Heinz Kneip otrzymał etat na uniwersytecie w Regensburgu.

Kiedy Matthias rozpoczął podróże do Polski, najpierw z rodzicami, odwiedzającymi rodzinne groby, jeszcze nie kojarzył, kim była Klara Picke, jego prababka. Studiował literaturę i politologię na uniwersytecie w Regensburgu. Dzięki stypendium rządu Bawarii dla doktorantów otrzymał pierwszą pracę w Polsce. Jako wykładowca języka i literatury niemieckiej na uniwersytecie w Opolu. Zaczął regularnie podróżować kursowym autobusem z Opola do Regensburga i z powrotem.

Wiersze pisał już w liceum, kilka nawet ukazało się drukiem. Pierwszy tomik poezji *Einmal Leben und zurück* wydał w 1995 roku. W 1999 ukazała się jego praca doktorska o języku niemieckim na Górnym Śląsku. W 2000 roku rozpoczął współpracę z Niemiecko-Polskim Instytutem w Darmstadcie.

W dwujęzycznym tomie poezji i esejów *Barwy na czarno-białym* (1998), dedykowanym rodzicom i rekomendowanym przez Tadeusza Różewicza jako „…interesujący literacko, ale i pożyteczny dla młodego pokolenia niemieckich i polskich pisarzy", opisał pierwsze doświadczenia z Polski.

Potem były lata podróży, spotkań zawodowych i prywatnych. Dłuższe wizyty, polskie wakacje. Nowe znajomości, przyjaźnie. Powstawały kolejne książki eseje, reportaże, opowieści. Matthias Kneip okazał się też świetnym fotoreporterem. Jego zdjęcia w *Polenreise* czy w *Reise in Ostpolen* uderzają trafnością obserwacji i wrażliwością na detale. Najbardziej mnie wzruszyła książka *Z sercem w plecaku. Spotkania z Polską*, przetłumaczona i wydana w 2005 roku we Wrocławiu (wydanie niemieckie: 2002). W książce *111 Gründe, Polen zu lieben* serce jest w każdym zdaniu.

Od 2002 roku, zauważa Kneip, Polska bardzo się zmieniła. Opisuje zmiany w architekturze, wyglądzie ulic. Polska ma dwie stolice: Kraków i Warszawę. Jedna ma Pałac Kultury, druga Wawel. Trzeba zobaczyć je koniecznie! I Stare Miasto w Gdańsku, skąd blisko do Malborka, z najwspanialszym zamkiem-twierdzą w Europie. W podróżach z południa na północ i ze wschodu na zachód są Karkonosze i Mazury, ale także wsie Łemków i Bojków, spotkania z polskimi Tatarami.

A kiedy polscy przyjaciele urządzają mu 24 lutego imieniny (Matthias to Maciej), on, przyzwyczajony do świętowania w Niemczech urodzin, zaczyna „zgłębiać" zwyczaj urządzania imienin w polskich rodzinach. Podoba mu się, że w Polsce obchodzi się nie tylko Dzień Matki, ale także Babci i Dziadka. To zacieśnia więzy rodzinne. Ale dzień wagarowicza… na powitanie wiosny, to już zabawna osobliwość polskiej szkoły.

Książka *111 Gründe*… powinna zostać przetłumaczona na polski, by każdy Polak mógł się dowiedzieć, jak widzi Polskę Niemiec, przedstawiciel generacji bez przeszłości wojennej, który choć nie poznał PRL-u, z pewnością przeczytał książkę profesora Heinza Kneipa o literaturze socrealistycznej. Jak widzi nasz kraj wędrowiec, który zwiedził świat. Który dobrze poznał język, literaturę i historię Polski.

Kneip napisał książkę pięknym, obrazowym językiem, krótkimi zdaniami. Ciekawą dla Niemców, ponieważ jest daleka od stereotypów. Ciekawą dla Polaków, także uczących się języka niemieckiego. W 111., ostatnim punkcie, autor pisze list do Marka – przyjaciela z Krakowa. Kiedy Marek dowiedział się o projekcie książki, nie mógł wyjść ze zdumienia, jak Kneipowi uda się znaleźć tyle powodów uczuć do Polski. To dla mnie żadna trudność – odpowiedział Kneip − mam już materiały na drugi tom. Tyle jest jeszcze do zobaczenia, opowiedzenia, popróbowania. A może czytelnicy dodadzą inne, swoje powody sympatii do Polski. „Jaki wspaniały jest Twój kraj, Marku!"

Żałuję, że Mathhias Kneip nie może już ofiarować tej książki Tadeuszowi Różewiczowi.

Matthias Kneip: ***111 Gründe, Polen zu lieben. Eine Liebeserklärung an das schönste Land der Welt.*** **Berlin 2015, ss. 240**

Mała zagłada

KSIĄŻKI

EWA WYLĘŻEK

Punktem wyjścia książki są wydarzenia z 1 czerwca 1943 roku, które miały miejsce we wsi Sochy na Zamojszczyźnie. Wtedy to Niemcy w odwecie za udzieloną partyzantom pomoc dokonali pacyfikacji miejscowości: zamordowali niemal wszystkich mieszkańców i spalili zabudowania: „Zostało niebo i ziemia, więcej nic". Mimo iż Sochy zostały zrównane z ziemią w ciągu zaledwie kilku godzin, to nieliczni ocalali, wśród nich kilkoro dzieci, zmagały się z reperkusjami tych wydarzeń całe życie. Wśród tych najmłodszych ocalałych znajdowała się dziewięcioletnia Renia – Teresa Ferens, matka autorki. Anna Janko prowadzi w książce rozmowę ze swoją mamą, która całe dorosłe życie walczyła ze wspomnieniami tragicznych chwil. Janko, której wojna nie dotknęła bezpośrednio, doświadcza jej okrucieństw w inny sposób – musi szybko wydorośleć, by dać oparcie swojej płaczącej i niespiącej po nocach matce. Widać pewne paralele: dzieciństwo obu kobiet trwało krótko i obie widziały, jak z ich rodziców uchodzi życie.

Tytuł książki jest nieco przewrotny – „mała", bo dotycząca dziecka? Wszak dla dzieci wszystko, co się wydarza, jest ostateczne i doświadczane całym ciałem i umysłem, rzeź jest więc totalna i pochłaniająca bez reszty. Świat przedstawiony to zatem świat rzeczy pierwszych i niewinnych, dziecięcych, ale i ostatnich, krańcowych. Okazuje się, że traumę, podobnie jak kolor oczu, można odziedziczyć i mimo iż Janko pisze z pozycji drugiego pokolenia ofiar, jej ból jest równie prawdziwy. Dystans mierzony w latach pozwala jej na podjęcie próby rekoncyliacji z przeszłością lub przynajmniej oswojenia się z wydarzeniami sprzed ponad pół wieku.

Jedną z form (auto) terapii jest pisanie. Janko twierdzi: „wszystko co nas dotyka musi mieć imię". Być może to, co zostaje nazwane, łatwiej oswoić. Mówi więc wprost o złych Niemcach, pamiętając wciąż o kilku dobrych, którzy pozwolili zbiec śmierci. Kwestia pamięci i tożsamości jest równie, o ile nie bardziej, istotna po stronie ofiar. To, kto i jak zginął, kto przeżył i cierpiał głód, musi zostać opisane i zapamiętane. Pisanie może w ten sposób uleczyć lub ulżyć w bólu, wymaga jednak drugiej strony – czytelnika. Czytanie również posiada wartość terapeutyczną, daje pewność, że dom pamięci nie spłonie, a niemożliwość wymazania ze wspomnień pożogi da początek upamiętnieniu każdego mieszkańca każdej zrównanej z ziemią wioski.

Mała Renia była świadkiem śmierci swoich rodziców, jest znaną z imienia i nazwiska ofiarą nazistów. Jednocześnie jest każdym dzieckiem, które doświadczyło wojny, każdą anonimową jednostką, która zginęła w konflikcie zbrojnym. Fakt, że książka dotyczy prywatnej historii i konkretnej wsi, nie wyklucza uniwersalnych wniosków i refleksji. Pytanie o pochodzenia zła pozostaje bowiem wciąż bez odpowiedzi.

Anna Janko: *Mała zagłada*. Kraków 2015, ss. 264.

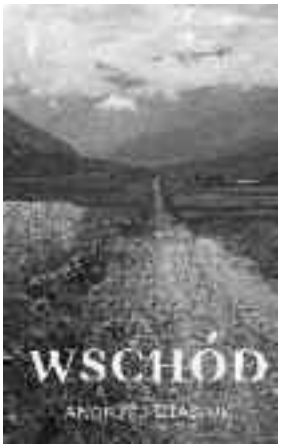

Przestrzeń, która więzi

KSIĄŻKI

KATARZYNA BERETA

A. Stasiuk od lat wybiera wschód, ewentualnie południowy-wschód. Wyraźnie męczy go nie tylko fenomen Galicji, historie i krajobrazy miast, miasteczek i wsi Beskidu Niskiego, ale cała Europa Środkowowschodnia oraz Bałkany, czyli ten obszar, którego mapa, gdyby zaznaczano na niej tożsamość narodową czy etniczną, język, historię, religię i kulturę, byłaby niezwykle barwnym kolażem.

Tym razem autor pociągnął swoją opowieść na najdalsze krańce, niejako do źródeł wschodu, i zaprosił czytelników do wędrówki po stepach, miasteczkach, istniejących i nieistniejących szlakach Azji, dając tym samym kolejny dowód na to, że migracyjny niepokój jest w nim silniejszy od zakorzenienia w miejscu, choć równocześnie zastanawia się nad tym, jak to jest, że „im szersze zataczamy kręgi, tym wyraźniejszy jest środek tego krążenia i tym silniejsze przyciąganie".

W książce *Wschód* Stasiuk przeprowadza nas od miast i wsi południowo-wschodniej Polski, przez stepy Rosji, pustkowia Mongolii, do Chin wypełnionych wszelką tandetą z plastiku i gumy o niewiadomym przeznaczeniu, produkowaną, by podtrzymać w istnieniu miliony Chińczyków spragnionych europejskich towarów luksusowych, na które mogliby wymienić owo badziewie. Tymi towarami luksusowymi są według autora takie wartości, jak: *liberté*, *égalité*, *fraternité*, tradycja judeochrześcijańska, greckorzymska spuścizna, równouprawnienie płci oraz postnowoczesny paradygmat. W ich poszukiwaniu zalewają oni nasze targowiska i place, proponując w zamian produkty tak słabej jakości, że rozpadają się przy pierwszym użyciu.

Stasiuk wędruje w głąb Azji i wciąż zadaje sobie pytanie: po co? Mieszkańcy Zabajkala uznali wręcz, że to „ekstremalna turystyka", bo u nich nic nie ma, więc po co pokonywać tysiące kilometrów, by zobaczyć nicość, rdzę po komunizmie, wysypujący się zewsząd piasek, ciągnące się kilometrami pustkowia? Gdzieś w połowie książki autor stwierdza, że „to była wyprawa do jądra metafory". I tak rzeczywiście jest. Stasiuk próbuje uchwycić istotę wschodu, próbuje zrozumieć, co takiego wyjątkowego jest w tej przestrzeni pomiędzy Galicją, Podlasiem i Wołyniem a Zabajkalem, Mongolią i Chinami. Co sprawia, że „wciąż trwa wędrówka ludów, że wciąż przetaczają się tędy najazdy (...). I że nigdy nie nadciągnie spokój, ponieważ w żyłach tych ziem, w jej podziemnych rzekach krąży narkotyk, który podsyca szaleństwo, i dostaje się zawrotu głowy od ogromu przestrzeni i od złudzenia, że można ją opanować i przemienić".

Autor nie odnajduje oczywiście odpowiedzi ostatecznych, bo ich zapewne nie ma. Snuje jedynie domysły, krążąc pomiędzy przeszłością i teraźniejszością Wschodu. Wyczuwa podskórnie, że być może owe przepastne obszary nicości istnieją tylko dlatego, by stać się więzieniem, bo „przecież nie da się tego zamieszkać po ludzku, oswoić, być stąd".

Andrzej Stasiuk: *Wschód*. Wołowiec 2014, ss. 304.

Biernik Bogdana Prejsa

KSIĄŻKI

EWA WYLĘŻEK

Tytuł nowej książki Bogdana Prejsa *Biernik* zaraz na wstępie podsuwa mi szkolne formułki: biernik – kogo, co (widzę, opisuję, wspominam, utrwalam).

Kogo? Siebie, sąsiadów, znajomych, mniej znajomych, najbliższych. Co? Rzeczywistość – przeszłą i obecną. Odczucia, obrazki, kołatanie myśli, jak dzwonek, jakbyś rowerem po swoim życiu jechał.

Teraz powinien być zaimek „jak?". Najprościej. Niemalże oznajmująco. Czasem wręcz surowo. Bez poetyzowania, czułostkowości, epatowania.

Z jakim efektem? Świetnym. Powstała książka poetycka niczym mała „kronika przypadków". Z prozy życia, które jest w *Bierniku* na każdej stronie. Taka czarno-biała, słonogorzka, trochę kpiąca. Czasem spokojna niby oliwa, a czasem w takiej temperaturze wrzenia, że aż boli.

No, bo jak ma nie boleć, skoro „będziesz musiał odpuścić. chłopcy w twoim wieku / dorośleją i powoli zaczynają już zdawać sobie sprawę, że nie posiądą wszystkich kobiet (…)". I okazuje się, że „na dzisiaj koniec. teraz tylko odhaczyć datę w kalendarzu / z nagą blondynką i zmyć resztki czasu z cyferblatu (…). wyzwolić ciało. nie pozwolić / się sprowokować naturze."

„Chcieliśmy dyrygować słowami kolejnych / wierszy rzędami dusz" – mówi bohater *Biernika* – „być wyroczniami. etycznymi przewodnikami, o etyce pojęcia większego nie mając. i co? nikomu się nie udało (…) / tyle po nas zostanie, / cośmy razem. Nasze / dusze stoją potworem".

Co mnie wzrusza w *Bierniku*? Światło, które Prejs kieruje na szare miejsca, czasem wręcz detale („trzymasz w niej wszystkie nieszczęścia koziorożca razem / ze skórzanym etui na papierosy (…) / taka mała torebka. z duchami. na lewym ramieniu. a prawe ugięte pod ciężarem losów (może ktoś wygra). bagaż historii"). Porusza mnie też uważność zwrócona na zwykłe momenty, przeciętne godziny („podobno była już noc, ale my nie jesteśmy / gwiazdami, więc ciemność rozjaśnił jedynie / płomień zapalniczki"). I ludzie „złapani" w wiersz, jakby to była migawka aparatu („w kuchni krząta się kobieta. gotuje kaszkę").

Bohater liryczny – niby stoik, niby tylko „opowiadacz", a przecież patrzy na świat bez bezpiecznego dystansu i jest czasami zupełnie bezradny wobec rzeczywistości, która się w niego wdziera, włazi w oczy, jest wdychana z dymem papierosowym, zapachem klatki schodowej. Podmiot wiersza czasem się poddaje: „każde słowo wymierzone jest we mnie każde / może mnie zabić brak mi wyczucia", a czasem sprzeciwia: „w chwilach takich jak ta (…) gdy słowa okazują się / bezsilne wobec myśli rodzi się myśl nazwana / buntem". Ale przecież „nie musisz już uciekać. pobiegłeś wystarczająco daleko".

Biernik to trzecia książka poetycka Prejsa. Według mnie najlepsza. A to znaczy, że autor ma nam ciągle sporo do powiedzenia. Jego bohater upomina siebie w wierszu, żeby „zachować dystans. trafiać w sedno. puentować prosto w noc. i udawać, że się nie krwawi". I właśnie to zrobił w swojej książce Bogdan Prejs.

Bogdan Prejs: *Biernik*. Mikołów 2015, ss. 50.§+

Bombi, Dalajlama i Lwów

KSIĄŻKI

BOGDAN WIDERA

Hermann Hesse w *Wilku stepowym* otwiera nowy wątek swojej powieści napisem z szyldu: „Teatr magiczny. Wstęp nie dla każdego". Myślę, że to stwierdzenie można śmiało odnieść do książeczki poetyckiej Ewy Olejarz *Milczenie placu zabaw*. I od razu się przyznaję: jestem „każdym", nie wszystkie jej wiersze są dla mnie dostępne. Już przy pierwszej lekturze zorientowałem się, jak wiele rzeczy dzieli poetkę i mnie. Lektury, zainteresowania, trasy odbytych podróży, odwiedzone miejsca, poznane lub tylko napotkane języki. Zrozumienie na przykład wiersza *Bombi, Dumbo, stupa Kaniszki i inne bajki* wymagałoby ode mnie wyjazdu do Indii (a może innego buddyjskiego kraju) i studiów, które pozwoliłyby mi odkryć, co znaczą słowa:

„ngang – dbang
blo – bzang
chos – rje
nyi – ma
bstan"

itd. I czy w ogóle coś znaczą, czy też są tylko żartem w stylu Białoszewskiego („kiś/ kiś/ krochmali"). Autorka nie ułatwia niczego czytelnikowi. Nie tylko przez jakieś egzotyczne słowa, ale poprzez niedopowiedzenia, udziwnienia, wprowadzanie bohaterów, o których nic nie wiemy (poznajemy np. tylko imię). Zniecierpliwiony człowiek powinien ten tomik odłożyć z westchnieniem: „Pani Ewo, chce pani być taka hermetyczna, niezrozumiała, kierować wiersze do jakiegoś wąskiego grona wtajemniczonych – proszę bardzo, ale beze mnie". Książeczka pozostała jednak przy moim łóżku i przeczytałem ją wiele razy. Ma bowiem w sobie coś przyciągającego i chciałem odkryć co. I dlaczego zmusza do ponownej lektury. Nie mam na to jednej, prostej odpowiedzi. Podoba mi się na przykład prościutki wiersz *Prasówka syna*. Oto chłopiec przegląda gazety – w nich wojna, polityka, ciała ofiar. A na końcu pytanie: „mamo! dlaczego / Dalajlama nie ma prawa decydować". No właśnie. Fragment innego utworu *Wbijanie flag* to sceny z życia małżeńskiego: „to jest mój fotel / to są twoje czerwone schody // to jest mój stół / twoja pigwówka //moja skóra jeszcze żyje/ twoja śmierdzi słoniną // moja córka dziś przyjechała / twoja przywiozła chłopca (…)". Przemawia prawda psychologiczna tej sytuacji, polegająca na dzieleniu wspólnego kiedyś „terytorium". Wiersz *Wojna* to jakby fragment drzewa genealogicznego. Pierwsze dni wojny, Henryk i Helena najpierw zostają we Lwowie, potem uciekają do Bochni, wreszcie przyjeżdżają na Śląsk. „(…) trzy lata później/ urodził się Leszek // pewnego dnia / poznał moją mamę // potem/ byłam ja". Historia rodzinna jakich wiele, ale ten czas przeszły dokonany w poincie jest tu wstrząsający.

Myślę, że tych kilka cytatów wyjaśnia dlaczego mimo hermetyczności wierszy Ewy Olejarz trudno ten tomik obojętnie odłożyć.

Ewa Olejarz: *Milczenie placu zabaw.* [Seria: Biblioteka „Toposu"], Sopot 2015, s. 56.

KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA

**Jan Dvorzak,
Nina Malikova:
Karel Brožek.
Vira v silu loutkoveho divadla.
Wyd. Prażska Scena,
Praha 2015, s. 320.**

W lipcu tego roku byłem razem z moimi młodymi przyjaciółmi w czeskim Krumlovie. Zwiedzając to jedno z najpiękniejszych miast naszych południowych sąsiadów trafiliśmy do muzeum lalek. Wielkim odkryciem było to, ile eksponatów w tej placówce pochodzi z realizacji scenicznych zmarłego niedawno Karela Brożka, wielkiego mistrza inscenizacji lalkowych, reżysera, aktora, pedagoga, związanego przez wiele lat z Katowicami. Przyjaźniliśmy się z tym świetnym artystą, więc widok lalek i scenografii z jego spektakli przywołał wiele serdecznych wspomnień. Teraz trafiła do mnie monograficzna książka dość szczegółowo opisująca jego zawodową działalność. Pracował (często też był współzałożycielem) w najsłynniejszych czeskich teatrach („Semafor", „Czerne Divadlo", „Laterna Magika"), które weszły do historii europejskich scen. W Pradze pokazał *Don Giovanniego* Mozarta w marionetkach. Niezwykła inscenizacja tej opery doczekała się 5.500 przedstawień pokazywanych od 1991 roku. Tworzył także za granicą, między innymi w Kanadzie i w Japonii. Również w Polsce, m.in. w Katowicach – był zastępcą dyrektora do spraw artystycznych Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum". Tu zdobył „Złotą Maskę". Tu wyreżyserował świetne spektakle dla dorosłych – *Jamę* Franza Kafki i własną adaptację *Joanny*. W książce przedstawiona została dokładnie jego droga artystyczna. Wspominają go uczniowie i współpracownicy. Szkoda, że katowicki epizod został skwitowany jedynie wyliczeniem przedstawień, które tu zrobił. Dodatkowym walorem książki poświęconej Karelowi są liczne zdjęcia archiwalne. Na końcu umieszczono wykaz inscenizacji Brożka oraz wybór bibliografii.

**Andrzej J. Noras:
Kłopoty z filozofią.
Wydawnictwo
Uniwersytetu Śląskiego,
Katowice 2015,
s. 144.**

Andrzej Noras jest profesorem filozofii, więc skoro on pisze książkę o kłopotach z tą dziedziną (filozofia nie jest bowiem nauką, ale czymś więcej i mniej równocześnie), sprawa wydaje się poważna. I jest rzeczywiście, natomiast samą książkę świetnie się czyta. Chociaż refleksje, jakie nasuwają się podczas lektury, optymistyczne bynajmniej nie są. W pierwszym rozdziale autor zajął się partyjnością, co mniej wiąże się z polityką, a bardziej z koniecznością zajęcia jakiegoś stanowiska, co jednak nie jest proste, bo różni filozofowie różnie się do sprawy odnoszą. To jednak dopiero początek trudności, bo wprowadzające jeszcze więcej podziałów i sporów jest pojęcie światopoglądu. Można powiedzieć, że trudności coraz bardziej się piętrzą. Zaczynamy wątpić, czy filozofia dziś jest w ogóle możliwe. Jeśli każdy człowiek tworzy sobie własny, subiektywny obraz świata, którego nie da się uzgodnić z subiektywnym obrazem świata drugiego człowieka, możemy dojść do wniosku, że ilu ludzi, tyle filozofii. A jeśli dodać jeszcze do tego masy Ortegi y Gasseta, które uznają, że rację ma większość – no to może rozboleć głowa. Nie usiłuję streszczać książki, która jest bardzo precyzyjnie skonstruowana, tylko dość przypadkowo przedstawiam rozmaite wątki, aby uzmysłowić czytelnikowi poziom skomplikowania już nawet nie filozoficznych koncepcji, ale samej rzeczywistości, w której przyszło nam żyć. A żyjemy w rzeczywistości nowoczesnej, co wcale nie jest takie dobre, jak mogłoby się wydawać ze względu na wynalazki techniczne, rzekomo ułatwiające nam życie. Polecam *Kłopoty z filozofią*, być może uda się przy tej lekturze trochę pofilozofować, a przynajmniej zamyślić.

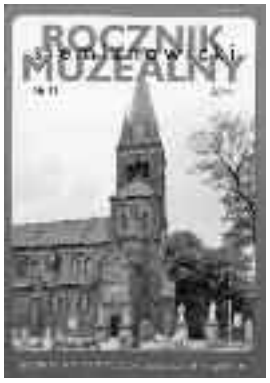

***Siemianowicki Rocznik
Muzealny nr 13.***
**Wyd. Muzeum Miejskie
w Siemianowicach Śląskich,
Siemianowice Śląskie 2014,
s. 296.**

Zawsze z radością rekomenduję czytelnikom muzealne wydawnictwa, trafiam w nich bowiem na rzeczy niesłychanie interesujące, a mało znane. Tym razem mam satysfakcję dodatkową, ponieważ wśród nazwisk autorów sporo znajomych. Pan profesor Janeczek, który Beacie Tomanek i mnie służył swoją wiedzą w niejednej audycji Radia Katowice. Tym razem zajął się m.in. Janem Kicińskim – malarzem i rzeźbiarzem. Jest też pani Urszula Krakowska, nagrana przez nas kiedyś, bo spisała i wydała swoje wspomnienia z myślą o wnukach. W tym gronie znalazła się także pani redaktor naczelna *Śląska*, która w tekście *Okna śląskiej duszy* analizuje grafiki Jana Szmatlocha i zdjęcia Arka Goli. *Rocznik* jest ilustrowany fotografiami i reprodukcjami, a całość zamyka *Kalendarium wystaw i imprez w Muzeum Miejskim.*

**Krystian Prynda:
*Śniadanie na trawie.***
**Wyd. Studio Małych Form
Graficznych,
Katowice 2015, s. 68.**

Dla równowagi – na zakończenie coś lżejszego. Oktostychy Krystiana Pryndy. Gatunek ten uprawiali poważni poeci jak Liebert, czy Iwaszkiewicz, był on jednak również atrakcyjny dla satyryków i piszących wiersze humorystyczne. Właśnie ten rodzaj uprawia wieloletni współpracownik naszego miesięcznika, autor zręcznych aforyzmów i fraszek. Cytuję utwór *Król Karol…*: „Król Karol kupił Karolinie – swojej żonie, / Co ponoć było wtedy w dobrym tonie, // Sznur korali koloru koralowego / (to taka zabawa słowna) dlatego // To powiedzenie śmieszy nie tylko dzieci, / Ale też obcokrajowca, co do Polski przyleci. // Mnie również ten żart słowny pomysłem ujmuje, / Więc go z lubością w oktostych niniejszy wpisuję".

Mała rzecz, a cieszy.

Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2016 rok! Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

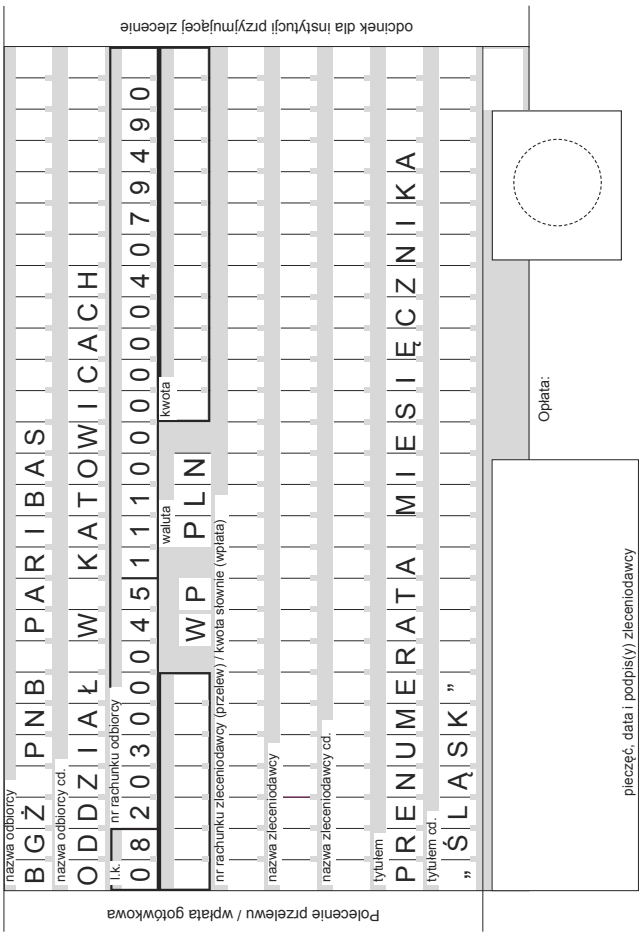

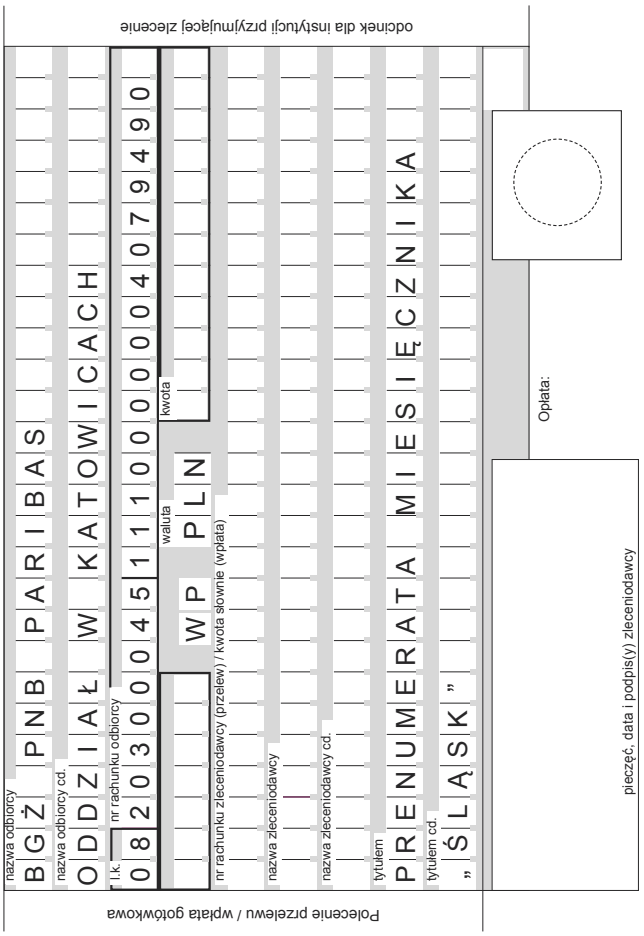

ŚLĄSK
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Wiesława Konopelska
Jan Picheta
Joanna Kotkowska,
Janusz Wójcik
Maria Sztuka
Jacek Sikora

Festiwal Nowej Scenografii. Mitologie Industrialnej Przestrzeni

KATOWICE. Filmy, spektakle i instalacje realizowane w przestrzeniach teatralnych i miejskich, spotkania z wybitnymi postaciami sztuki, klasy mistrzowskie dla młodych twórców oraz wycieczki śladami realizacji filmowych złożyły się na program trzeciej edycji Festiwalu Nowej Scenografii, łączącego najlepsze cechy festiwalu sztuki, filmu, teatru i *public art*, powstającego w koprodukcji Muzeum Śląskiego, Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego oraz Instytucji Filmowej SILESIA FILM, który odbywał się 23–27 września w Katowicach.

Głównym pasmem festiwalu były „Mitologie Industrialnej Przestrzeni" obejmujące spektakle, instalacje, happeningi i wydarzenia muzyczne przygotowane specjalnie przez zaproszonych artystów, reprezentujących różne media i sposoby myślenia o scenografii. Kulminacją wydarzenia było wręczenie Nagród im. J. Moskala.

Zgodnie z hasłem festiwalu można było zobaczyć wystawę *Wymiary scenografii* pokazujace prace dyplomantów oraz absolwentów uczelni artystycznych kształcących scenografów, a także ekspozycję prac studentów z Akademii Sztuk Pięknych im. E. Gepperta we Wrocławiu, na których zostały zaprezentowane makiety teatralne i niecodzienne „obiekty kostiumowe".

W ramach festiwalu odbyło się również Forum Fotografii Teatralnej.

Nie zabrakło także warsztatów scenograficznych dla dzieci i rodziców oraz zabaw z *green screenem*. Podczas otwarcia festiwalu 23 września w Teatrze Śląskim zaprezentowany został spektakl „Piąta strona świata".

Także podczas festiwalowych pięciu wieczorów można było przyglądać się scenograficznym perłom światowego kina, wśród nich filmom Lecha Majewskiego – wizjonera europejskiego kina.

W trakcie „Meliesady, czyli meetingu naukowo-performatywnego" pokazano perełki twórcy kina z początku ubiegłego stulecia Georges'a Méliès'a, a wspólnie z prof. dr. hab. Andrzejem Gwoździem, dr hab. Agnieszką Nieracką, prof. dr. hab. Joachimem Paechem, dr. Stéphane'em Tralongo, prof. dr. hab. Tadeuszem Lubelskim oraz dr. Andrzejem Dębskim przypomniane zostało wyjątkowe dziedzictwo autora „Podróży na Księżyc".

Obrazy miasta

KATOWICE. Z okazji 150-lecia miasta w Galerii Sztuki Współczesnej BWA pokazano wystawę prac malarskich Macieja Bieniasza, Antoniego Halora, fotografie Waldemara Jamy, także katowicką fotografię międzywojenną oraz grafiki Bronisława W. Linke, Macieja Nawrota, fotografię Zofii Rydet, malarstwo Erwina Sówki, Andrzeja Tobisa, Karola Wieczorka.

Tak o wystawie mówił jej kurator Marek Zieliński: – *Historia każdego miasta to próba ukazania jego fizjologii oraz fizjonomii, gdyż postrzeganie miasta niczym ciała, czy też wpisanie w jego przestrzeń wizerunku człowieka jest zarówno pociągającym, lecz równocześnie stałym motywem w sztuce. Katowice to miasto, które powstało nie w przestrzeniach iluzji czasu, lecz w momencie, gdy czas się zatrzymał w wyniku zderzenia kamienia i metalu, w przeraźliwym huku i zgrzycie, ogłaszającym powstanie miasta z wyroku i woli pieniądza. To on stworzył rytm nowo powstającego miasta, wyznaczył jego horyzonty i panoramę nowo powstających fasad, nakreślał rytm powstających i zarazem znikających ulic, jednocześnie nadał mu barwę nie-*

Fot. Zbigniew Sawicz

Waldemar Jama w BWA w Katowicach.

Zdjęcie z mat. Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej

Tychy. Wystawa „Dziadek z Wehrmachtu. Doświadczenie zapisane w pamięci wystawy”.

przeniknionej szarości wymieszanej z czerwienią wypalonej cegły. Katowice to również, być może nade wszystko, miasto podziemne, w którym wiele cennych i ważnych zdarzeń tętniło skrywanych gdzieś poza widzialną panoramą. Prawda wyłania się ze szczelin, rys i pęknięć, z narodzin i śmierci.

Dziadek z Wehrmachtu

TYCHY. *Dziadek z Wehrmachtu. Doświadczenie zapisane w pamięci* to tytuł wystawy, którą od 1 października można oglądać w Muzeum Miejskim w Tychach. Prezentowana jest w Starym Magistracie (pl. Wolności 1). Wystawa przełamuje tematu tabu, jakim nadal jest służba w Wehrmachcie mieszkańców Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur. Ci, którzy przeżyli wojnę, wracali do swych domów, rodzin, zachowując nierzadko dla siebie wspomnienia z lat służby w wojsku niemieckim. Zarówno w sferze prywatnej, jak i publicznej, temat ten był zakazany. Dzięki zdjęciom, dokumentom, a także krótkim filmom dokumentalnym zwiedzający mogą poznać historię tych, którzy przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, walczyli podczas II wojny światowej po stronie niemieckiej.

Wystawie towarzyszy szereg ciekawych wydarzeń. Uzupełnieniem tropów poruszanych na wystawie są projekcje filmów dokumentalnych, audycja radiowa a także prelekcje.

„Obrazy wiary” w Muzeum Archidiecezjalnym

KATOWICE. Galeria Sztuki Współczesnej „Fra Angelico” Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach gościła wystawę prac malarskich Andrzeja Boja Wojtowicza zatytułowaną *Pictura Fidelis – cykle*.

Andrzej Boj Wojtowicz to artysta urodzony w 1959 r. Absolwent PWSSP we Wrocławiu, brał udział w licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych. Jego działalność twórcza wpisuje się w wielką tradycję malarstwa zachodnioeuropejskiego. Tworzy sztukę przesyconą symboliką, która swymi korzeniami sięga przede wszystkim toposów biblijnych. W nich to malarz szuka odpowiedzi na podstawowe pytania egzystencjalne.

Prezentowane na wystawie prace były fragmentem cyklu pt. *Pictura Fidelis (obrazy wiary),* zwłaszcza obrazów inspirowanych *Requiem*. Małoformatowe przedstawienia to zapowiedź realizacji monumentalnego cyklu opartego na tradycyjnych tekstach mszy za zmarłych.

Zapis socjologiczny Zofii Rydet w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

GLIWICE-WARSZAWA. 25 września w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie otwarta została wystawa *Zofia Rydet. Zapis 1978–1990*. To jak dotąd najobszerniejsza prezentacja *Zapisu* – monumentalnego projektu fotograficznego autorstwa Zofii Rydet, która – podobnie jak nestor polskiej fotografii, Jerzy Lewczyński, związana była z Gliwicami. Tutaj mieszkała, pracowała i tworzyła, była także jedną z najaktywniejszych członkiń Gliwickiego Towarzystwa Fotograficznego. Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest kolejnym elementem wieloletniego projektu badawczego, którego celem jest reinterpretacja i popularyzacja twórczości Zofii Rydet w Polsce i zagranicą. Projekt realizują cztery instytucje: Fundacja im. Zofii Rydet w Krakowie, Muzeum w Gliwicach, Fundacja Sztuk Wizualnych w Krakowie, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

W 2012 roku w Czytelni Sztuki prezentowane były fotografie wchodzące w skład *Zapisu socjologicznego* – kuratorem wystawy był Andrzej Różycki. Do tej pory zinwentaryzowano i zdigitalizowano całe archiwum *Zapisu*, które udostępniono na stronie: *www.zofiarydet.com*. W 2016 r. zostanie zorganizowana międzynarodowa konferencja naukowa, lecz przede wszystkim ukaże się, w serii Czytelnia Sztuki/Muzeum w Gliwicach, książka Wojciecha Nowickiego – pisarza, publicysty i kuratora, która przybliży unikatowe dzieło fotograficzne Zofii Rydet szerokiemu odbiorcy sztuki. Projekt jest realizowany przy wsparciu finansowym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Pod patronatem „Śląska” Będą dyskutować o informatyce i przemysłach kreatywnych

KATOWICE. Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach oraz Instytut Technik Innowacyjnych EMAG zapraszają na międzynarodową konferencję naukowo-techniczną *Informatyka i przemysły kreatywne.*

Cyfrowy Śląsk, która odbędzie się 18 listopada 2015 r. w Centrum Nowoczesnych Technologii Informatycznych Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach przy ul. 1 Maja 50.

Celem konferencji jest prezentacja najciekawszych rozwiązań informatycznych opracowanych przez przedsiębiorstwa, instytucje oraz jednostki naukowe mające siedzibę na terenie Śląska. Jednym z celów przyświecających organizatorom jest pomoc w nawiązaniu kontaktów pomiędzy sferą naukową i biznesem.

Zakres tematyczny konferencji obejmuje następujące obszary: administracja publiczna. przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu, ochrona zdrowia, informatyka w przemyśle – zarządzanie i wytwarzanie, przemysły kreatywne.

Do udziału w konferencji organizatorzy zaprosili naukowców, twórców rozwiązań informatycznych oraz użytkowników tych rozwiązań, a także przedstawicieli i znawców sektora kreatywnego: sztuki i rzemiosł (sztuk performatywnych, przemysłu muzycznego, rynku sztuki), produkcji kreatywnej (wydawnictw, radia i telewizji, sektora filmowego, gier komputerowych, mody) oraz usług kreatywnych (reklamy, architektury, wzornictwa), by podzielili się doświadczeniami projektowymi i wdrożeniowymi.

Fot. Renata Cygan

Bielsko-Biała. Janusz Kohut.

Klasyczny Kohut

BIELSKO-BIAŁA. „Szósta dekada" to tytuł nowej płyty Janusza Kohuta, którą kompozytor zaczął promować 28 września w Zamku Sułkowskich. Od 30 września do 4 października promował tę płytę w Londynie, m.in. podczas Festiwalu Poezji Słowiańskiej. Głównym organizatorem festiwalu jest Grupa Artystyczna KaMPe przy Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie na czele z czechowiczaninem – Aleksym Wróblem. Janusz Kohut koncertował w Wielkiej Brytanii już ponad 70 razy. Na nowej – pianistycznej – płycie zawarł osiem utworów, które grywał często podczas koncertów, a także pięć nowych kompozycji własnych. Dlatego znalazły się tam interpretacje dzieł J.S. Bacha, F. Chopina, Ch. Correi, G. Gershwina oraz Bogurodzica, które wiele znaczą dla bielskiego artysty. Są też utwory kompozytora z musicalu „Szczęśliwi ludzie" i ostatnie jego dzieła z pogranicza jazzu i muzyki klasycznej.

Upadek i piekło

BIELSKO-BIAŁA. Od 4 września do 11 października w Galerii Bielskiej BWA trwała wystawa najnowszych obrazów Ewy Juszkiewicz pn. „Upadek kusi". Jest ona laureatką Grand Prix XLI Biennale Malarstwa „Bielska Jesień 2013". Za dwa portrety z prezentowanego cyklu inspirowanego dziełami starych mistrzów artystka otrzymała właśnie główną nagrodę ostatniej „Bielskiej Jesieni". Drugi cykl powstał specjalnie z myślą o bielskiej wystawie i jest oparty na dziełach sztuki, które zaginęły lub zostały zniszczone. Ewa Juszkiewicz, tworząc te dzieła, bazuje na fotografiach, szczególnie słabej jakości. Kuratorką ekspozycji jest Agnieszka Rayzacher. W tym czasie można także oglądać komiksy i rysunki Krzysztofa Gawronkiewicza pt. „Krzesło w piekle". Artysta jest jednym z najbardziej znanych twórców komiksu w Polsce. Kuratorem wystawy jest Piotr Machłajewski. Krzysztof Gawronkiewicz poprowadził też w dniu otwarcia wystawy warsztaty dla pasjonatów komiksu.

Wcielenia Piszczyka

BIELSKO-BIAŁA. Premierowy spektakl „Sześciu wcieleń Jana Piszczyka" wedle „Zezowatego szczęścia" Jerzego Stefana Stawińskiego w reżyserii Wojciecha Kościelniaka wystawił 30 września Teatr Polski w Bielsku-Białej. Termin nie jest przypadkowy. Właśnie 30 września przypada jubileusz 125-lecia istnienia bielskiej sceny, u zarania niemieckiej, z której nie miało paść nigdy polskie słowo. Dyrektor TP Witold Mazurkiewicz zapowiada, że w tym sezonie zobaczymy jeszcze adaptację „Nocy i dni" Marii Dąbrowskiej w reżyserii Zuzanny Bućko i Szymona Bogacza, „Medeę" Eurypidesa lub „Mewę" A. Czechowa w reż. Wojciecha Farugi, „Lolitę" wg W. Nabokowa w reż. Eweliny Marciniak oraz „Humanka" Jarosława Murawskiego (na Małej Scenie). Dyrektor bielskiej sceny szykuje także niespodziankę – komedię sylwestrową, której tytułu nie zechciał na razie ujawnić.

Wzbogacona kolekcja

BIELSKO-BIAŁA. Powoli wzbogacają się zbiory Kolekcji Sztuki Galerii Bielskiej BWA. Od 4 września do 11 października zaprezentowano w kawiarni „Aquarium" BWA ostatnie nabytki kolekcji – obrazy olejne trojga artystów, które wysoko ocenili jurorzy „Bielskiej Jesieni" w latach 70. – 90. XX w. – Stanisława Kuskowskiego, Teresy Sztwiertni i Waldemara Dudy. Kupno dzieł dwojga pierwszych artystów dofinansowało Ministerstwo Kultury z programu „Kolekcje". Co ciekawe – syn Stanisława Kuskowskiego – Kamil Kuskowski został także laureatem „Bielskiej Jesieni" (w 2009 r.).

„Lipowe" laury

BIELSKO-BIAŁA. 30 uczniów z województwa śląskiego nagrodzili jurorzy XIX Ogólnopolskiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA 2015 w Bielsku-Białej. Laureatami Lipy zostali uczniowie szkół podstawowych – Karina Buś i Aleksandra Górny z Żywca, Franciszek Golaś z Tarnowskich Gór, Aleksandra Haberny i Joachim Śliwiński z Bielska-Białej, Natalia Ostrowska z Bestwiny, Paulina Piotrowska ze Strzyżowic, Emilia Świerżewska z Górek Wielkich i Sara Urbanowicz z Brennej, gimnazjaliści – Małgorzata Damek, Wiktoria Dudzińska, Marta Grzegorczyk, Anna Kuźma, Oskar Śliwka z Bielska-Białej, Karolina Karkoszka ze Świętoszówki, Natalia Maślanka z Czechowic-Dziedzic, Wiktoria Pankowska z Rędzin, Zofia Tkocz z Mikołowa, Aleksandra Uracz z Dąbrowy Górniczej, Agata Zając z Łękawicy, uczniowie szkół średnich – Aneta Blachura, Julia Dziubek, Karolina Kręcioch, Alicja Kuś, Agata Naruszewicz i Elżbieta Zamorowska z Bielska-Białej, Natalia Gajowniczek z Kóz, Martyna Miodońska z Żywca, Marta Ormaniec z Buczkowic i Zuzanna Szturc z Wisły. Po raz pierwszy nagrodzono przedstawiciela Zaolzia: ucznia Polskiego Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czeskim Cieszynie Adama Kubiczka.

Album Wróbla

BIELSKO-BIAŁA. Piotr Wróbel znany był dotąd z zespołu „Akurat", którego był współtwórcą i liderem. We wrześniu wydał własny debiutancki album. W nagraniach występują: Piotr Wróbel (wokal, gitara akustyczna, ukulele), Eugeniusz Kubat (kontrabas, śpiew), Dawid Broszczakowski (fortepian, trąbka, akordeon, trombita, fujara słowacka, instrumenty perkusyjne) i Mikołaj Stachura (instrumenty perkusyjne).

Święto Częstochowy dla młodych

CZĘSTOCHOWA. Tradycyjnie 26 sierpnia rozpoczęły się Dni Częstochowy, obchodzone w tym roku już po raz dwudziesty trzeci. W przestrzeni miejskiej odbyły się wydarzenia skierowane przede wszystkim do młodych mieszkańców; przygotowano m.in. Festiwal Kolorów, czyli zabawę kolorowym proszkiem na wzór indyjskiego święta holi, a na placu Biegańskiego koncert zatytułowany *23 urodziny*, którego jedynym organizatorem był w tym roku Urząd Miasta.

W koncercie wystąpili artyści młodego pokolenia: Dawid Kwiatkowski, zdobywca Europejskiej Nagrody Muzycznej MTV dla najlepszego polskiego wykonawcy, Hania Hołek (kojarzona z The Voice od Poland), Patryk Kumór (z Must Be the Music – Tylko muzyka) i Saszan. Występ Dawida Kwiatkowskiego rozpoczął się z godzinnym opóźnieniem.

Wśród pozostałych atrakcji warto wymienić również: Jurajski Jarmark Staroci (na Rynku Wieluńskim), 30. Częstochowski Rajd Pojazdów Zabytkowych (przy Hali Sportowej) połączony z Konkursem Elegancji na najładniejszy pojazd i strój załogi w dawnym stylu (plac Biegańskiego) oraz koncert muzyki filmowej w wykonaniu naszych filharmoników. Publiczność usłyszała m.in. melodie z filmów *Romeo i Julia*, *Love story*, *Lista Schindlera*, *Tajemniczy ogród*, *Polskie drogi*, *Dom*, *Jasminum*.

Nagrody Prezydenta Miasta

CZĘSTOCHOWA. Ważnym punktem Dni Częstochowy było wręczenie nagród Prezydenta Miasta w dziedzinie kultury oraz statuetki Mecenas Kultury. Uroczystość odbyła się w Filharmonii Częstochowskiej.

W dziedzinie teatru i filmu nagrodzono Macieja Półtoraka „za wybitną kreację wokalno-aktorską" w *Hamlecie*, wcześniej docenioną także przez „Dziennik Teatralny". Wśród literatów wyróżniono Barbarę Rosiek, absolwentkę IV LO im. H. Sienkiewicza, pisarkę (od 1985), poetkę (od 1995), a zawodowo także psychologa klinicznego, która od lat podejmuje temat narkomanii. W dziedzinie tańca i muzyki nagrodę otrzymała Aleksandra Szwejkowska-Belica, skrzypaczka oraz pedagog Zespołu Szkół Muzycznych w Częstochowie, laureatka wielu konkursów, której płyta *Karol Szymanowski violin works I* nagrana z Cezarym Sarneckim była nominowana do Fryderyków 2012. W dziedzinie sztuk plastycznych doceniono fotografa, profesora Wydziału Sztuki AJD Jerzego Piwowarskiego. W kategorii promocji i ochrony kultury nagrodę otrzymał filmowiec i pomysłodawca Festiwalu im. braci Krzemińskich, Krzysztof Kasprzak, który od lat dokumentuje przeszłość Częstochowy na taśmie filmowej. Natomiast Mecenasem Kultury został Red Bull Sp. z o.o., spółka partnerska współpracująca z miastem w organizowaniu imprez muzycznych (Red Bull Tour Bus).

Galeria bazą Art.erii

CZĘSTOCHOWA. Tegoroczny Festiwal Sztuki Współczesnej w Przestrzeni Publicznej odbywał się w dniach 9-13 września, a główną ulicę (a dokładnie III Aleję NMP) sztuka nowoczesna atakowała z dwóch przyczółków – Miejskiej Galerii Sztuki oraz placu Biegańskiego. Można było popatrzeć, posłuchać, ale również pouczestniczyć, mniej lub bardziej świadomie.

Dorota Hadrian przygotowała pod Ratuszem wypas baranów na dywanie o orientalnym wzorze, Szymon Motyl zamontował instalację na dachu MGS, z balkonu Ratusza nadawało „Pararadio" Joanny Wowrzeczki, a wolontariusze dostarczali częstochowianom kartki w ramach projektu Marty Frej *Ciepłe słowa*. Przyjechali także: Katarzyna Górna, Bogna Burska, Zuzanna Janik, Marcin Polak oraz Artur Żmijewski. Organizatorzy i zaproszeni goście realizowali strategię pedagogiczną oraz tzw. dydaktykę partnerską Grzegorza Kowalskiego *Obszar wspólny, obszar własny* z pracowni ASP w Warszawie.

Współczesna Sztuka Ludowa

CZĘSTOCHOWA. Od 2000 roku co trzy lata Muzeum Częstochowskie organizuje Konkurs Sztuki Ludowej. Tegoroczna edycja została poświęcona wycinankom. Projekt *Z tradycji wzięte, na nowo wycięte* obejmował konkurs otwarty na wycinankę oraz konkurs na mural zewnętrzny Zagrody Włościańskiej w parku im. S. Staszica.

Wystawę pokonkursową można oglądać w Galerii Dobrej Sztuki. Spośród 378 prac 78 artystów jury w składzie: Anna Filipowicz-Mróz (przewodnicząca, etnografka i członek Fundacji Cepelia), dr Justyna Lakowska-Otwinowska, Jadwiga Migdał, Beata Skoczeń-Marchewka, Krystyna Szwajkowska, przyznało Grand Prix Dorocie Kędzior z Łodzi, a wśród nagrodzonych i wyróżnionych znaleźli się m.in.: Anna Marczak z Kętrzyna, Agata Seweryn z Krakowa, Monika Krajewska z Warszawy, Mirosława Stefaniak ze Zgierza, Ewa Wrożyna z Jastrzębia-Zdroju, Małgorzata Belkiewicz z Kołbieli.

Natomiast w konkursie na mural jury spośród 56 projektów wybrało propozycję Marka Laskowskiego, absolwenta częstochowskiego „plastyka" oraz Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Artysta wcześniej pracował nad muralami wg prac Tomasza Sętowskiego – *Wieży Babel* przy ul. Dąbrowskiego, a wcześniej także przy ul. Szymanowskiego.

Częstochowa. Nagrody Prezydenta Miasta.

Jubileusz Wojtka Kołsuta

CZĘSTOCHOWA. W OPK Gaude Mater we wrześniu przygotowano wystawę malarstwa Wojciecha Kołsuta, absolwenta Wychowania Artystycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie (obecnie Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie), który od lat zajmuje się pracą pedagogiczną, ale również artystyczną, tworzy obrazy oraz teatr uliczny.

Podczas wernisażu 4 września zaprezentowano film *Podróż do świata lalek* (przygotowany wraz z Sebastianem Puchałą i muzyką Piotra Hummela), zrealizowany przy wsparciu OPK z okazji 100. rocznicy urodzin Tadeusza Kantora, artysty, do którego Kołsut odwołuje się w swojej artystycznej, przede wszystkim teatralnej twórczości. Był również spektakl przygotowany z młodzieżą z II LO im. Romualda Traugutta *Moja klasa, moje życie*.

Apel do Ministra Kultury

OPOLE. Radni Sejmiku Województwa Opolskiego podczas wyjazdowej sesji obradowali w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach. Po zwiedzeniu wystaw goście obejrzeli spektakl opolskiego Teatru Ekostudio „Przerzucane słowa" (w reż. Andrzeja Czernika), oparty na listach powstańców warszawskich, którzy przebywali w miejscowym Stalagu 344. Dyrektor CMJW Violetta Rezler-Wasielewska omówiła działalność muzeum w zakresie edukacji młodego pokolenia, digitalizacji zbiorów, badań naukowych i publikacji. Do sukcesów zaliczyła: konserwację 150 krzyży i Pomnika Serbskiego na cmentarzu jenieckim z czasów I wojny światowej, pozyskanie funduszy unijnych oraz nowych muzealiów, nominacje do prestiżowych laurów – nagrody Sybilli oraz nagrody im. Jana Długosza, sporządzenie cyfrowej bazy danych, dzięki której można poznać losy poszczególnych jeńców. Jednak od kilku lat ze względu na niski poziom dotacji CMJW ma poważne problemy z realizacją działalności statutowej, a brakujących środków, ze względu na martyrologiczny charakter instytucji nie może pozyskać z działalności komercyjnej. Wniosek o pomoc w rozwiązaniu problemów finansowych CMJW wspierała prof. Danuta Kisielewicz z Katedry Studiów Regionalnych Uniwersytetu Opolskiego, prezes Stowarzyszenia Miłośników CMJW. Jan Łazicki z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, koordynator pilotażowego programu miejsc pamięci narodowej, zapewnił, że muzeum będzie mogło pozyskać dofinansowanie w ramach wspomnianego programu również w przyszłym roku. Marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła, podziękował przedstawicielom MKiDN za uwzględnienie opolskich postulatów i nowelizację zapisów, które pozwolą na lepsze wykorzystanie środków finansowych programu miejsca pamięci narodowej w dłuższej perspektywie czasowej. Na zakończenie sesji radni Sejmiku Województwa Opolskiego w formie uchwały jednogłośnie podjęli apel do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego o współfinansowanie-współprowadzenie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu-Łambinowicach.

Sukces EDD w województwie opolskim

OPOLE. Europejskie Dni Dziedzictwa to wyjątkowe święto zabytków, już od 23 lat jest ono obchodzone w Polsce każdego roku

Fot. z arch. muzeum w Łambinowicach

Opole. U stóp Pomnika Powstańców Warszawskich–Jeńców Stalagu 344 Lamsdorf w Łambinowicach obchody 71. rocznicy przybycia pierwszego transportu powstańców warszawskich. Na zdjęciu pierwszy z prawej Andrzej Pilecki, syn rtm. Witolda Pileckiego.

we wrześniu. Organizatorzy tego przedsięwzięcia mają na celu promocję dziedzictwa, ale także zwrócenie uwagi na potrzebę jego ochrony i zachowania dla następnych pokoleń. Od lat na Opolszczyźnie EDD cieszą się sporym zainteresowaniem, tak było również w tym roku podczas ich wojewódzkiej inauguracji w Skorogoszczy (gmina Lewin Brzeski), miejscowości nad Nysą Kłodzką, która niegdyś posiadała prawa miejskie. Z tej okazji przygotowano bogaty program imprez m.in. wykład historyczny, promocję wydawnictwa „Skorogoszcz na widokówce" autorstwa Dariusza Zięby i Krzysztofa Nazimka, biesiadę kresową, inscenizację żydowskiego wesela, wystawę poplenerową ukazującą uroki gminy Lewin Brzeski, zwiedzanie kościoła św. Jakuba oraz okolic miejscowości z przewodnikami oraz wiele innych atrakcji. Łącznie w województwie opolskim w ramach EDD pod hasłem „Utracone dziedzictwo" zorganizowano ponad 100 różnych wydarzeń o charakterze edukacyjno-kulturalnym w kilkudziesięciu miejscowościach, w których wzięło udział blisko 35 tys. uczestników. Sukces tegorocznej imprezy jest efektem współpracy władz województwa, samorządów lokalnych, instytucji kultury, lokalnych stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, regionalistów, nauczycieli i działaczy społecznych, które koordynował i wspierał opolski oddział Narodowego Instytutu Dziedzictwa, kierowany przez Joannę Banik.

Hołd dla powstańców warszawskich

OPOLE. W 71. rocznicę przybycia pierwszego transportu powstańców warszawskich do Stalagu 344 Lamsdorf, Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu przygotowało bogaty program obchodów z udziałem świadków tamtych wydarzeń. Byli wśród nich uczestnicy Powstania Warszawskiego a także przedstawiciele rodzin byłych jeńców. Podczas uroczystości została otwarta wystawa Macieja Niesłonego, na której autor zgromadził portrety powstańców warszawskich, sfotografowanych w punktach zbiórek przed godziną „W". Główna uroczystość rocznicowa odbyła się przed Pomnikiem Powstańców Warszawskich – Jeńców Stalagu 344 Lamsdorf w Łambinowicach. W imieniu jeńców głos zabrała Barbara Lewandowska, która wyraziła swoją wdzięczność pracownikom CMJW za pamięć o uczestnikach Powstania Warszawskiego, których tragiczne doświadczenia miały dalszy ciąg za drutami niemieckich obozów jenieckich. Rodziny byłych jeńców reprezentował Andrzej Pilecki, przywołał on ideę wiernej służby Ojczyźnie, ideę którą kierował się jego ojciec, rtm. Witold Pilecki, także jeniec Stalagu 344 Lamsdorf. Uroczystość zakończył Apel Pamięci odczytany przez kpt. Mirosława Masłowskiego oraz salwa honorowa, którą oddali żołnierze 91 Batalionu Logistycznego w Komprachcicach.

Nowy dyrektor Teatru im. Jana Kochanowskiego

OPOLE. Norbert Rakowski – aktor, reżyser teatralny i filmowy, absolwent Wydziału Aktorskiego PWST w Warszawie oraz Wydziału Reżyserii Dramatu warszawskiej Akademii Teatralnej został dyrektorem Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Nowy dyrektor został wyłoniony w ramach konkursu, ogłoszonego przez Zarząd Województwa Opolskiego. Rakowski przez wiele lat występował w Teatrze Współczesnym w Warszawie, jako reżyser zadebiutował w warszawskim Teatrze Studio, był również asystentem Krystiana Lupy. Podczas XIII Ogólnopolskiego Przeglądu Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych został laureatem nagrody krytyków dla najlepszego aktora. *Wierzę, że teatr pod nową dyrekcją i zapowiadane inwestycje w tej placówce to będzie dobry okres dla Teatru im. Jana Kochanowskiego* – powiedział Grzegorz Sawicki, członek Zarządu Województwa, odpowiedzialny za sferę kultury. Nowy dyrektor zadeklarował, odwołując się do słów Zygmunta Hübnera, że jego wizją teatru jest dialog między partnerami, – *tym, co się dzieje na scenie a widzem*. Dobre intencje nowego dyrektora niewątpliwie zweryfikują jego działania na rzecz uzdrowienia sytuacji finansowej opolskiej sceny. Kluczowa do rozwiązania tego problemu będzie współpraca z Zarządem Województwa Opolskiego, który już na początku wsparł dyrektora, zapewniając długofalowe finansowanie festiwalu Ogólnopolskie Konfrontacje Teatralne „Klasyka Polska" – największej cyklicznej imprezy organizowanej przez teatr, podpisując porozumienia z Ministrem Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Noc z Alicją, Bodo i Gierkiem

SOSNOWIEC. VI Metropolitalna Noc Teatrów (26 września) w Teatrze Zagłębia rozpoczęła się już o godz. 11.00, wtedy młodzi (i nie tylko) widzowie mogli obejrzeć jedną z najnowszych propozycji zagłębiowskiego zespołu, przesympatyczne „Wakacje z duchami". Kilka godzin później, choć do nocy było jeszcze daleko, wszyscy amatorzy zwariowanych selfie, mieli niepowtarzalną okazję uwiecznić się w objęciach m.in.: Alicji z Krainy Czarów, Edwarda Gierka, Adama Słodowego a nawet ukraińskiego Kozaka, czyli najbarwniejszych postaci z przedstawień Teatru Zagłębia, uczestnicząc w akcji „Zrób sobie selfie z Gierkiem i innymi". Kolejną odsłoną *Nocy* pełnej atrakcji, było gremialne grzebanie w kostiumach teatralnych, oczywiście także z możliwością uwiecznienia się w roli gwiazdy.

I aby nikt nie narzekał na niedosyt fotograficznych atrakcji, po zakończeniu spektaklu „Eugeniusz Bodo – Czy mnie ktoś woła?" można było zafundować sobie sesję w towarzystwie rozbawionej trupy aktorskiej, z wiodącym rej *Eugeniuszem Bodo*, czyli Piotrem Bułką. *Noc* zakończył spektakl pt. „Walizka" w reżyserii W. Kostrzewskiego, zdobywcy Grand Prix festiwalu Dwa Teatry 2015 dla najlepszego spektaklu Teatru TV. Szkoda, że następna *Noc* dopiero za rok.

Niedoceniane dziedzictwo

CZELADŹ. 29 września w Muzeum Saturn odbyła się konferencja naukowa pt. „Niedoceniane dziedzictwo. Osiedla robotnicze województwa śląskiego", objęta patronatem Zakładu Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego. Podczas sesji swoje referaty zaprezentowali badacze i muzealnicy z różnych ośrodków naukowych i kulturalnych z całego województwa, m.in. prof. Irma Kozina z Zakładu Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego, Barbara Klajmon z Muzeum Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie, Anna Syska ze Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach, Jacek Jakubek, miejski konserwator zabytków w Sosnowcu, Ewa Chmielewska, historyk sztuki z Muzeum w Sosnowcu, Krzysztof Gołąb z Muzeum Miejskiego w Rudzie Śląskiej, Dariusz Walerjański z Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Konferencja, zorganizowana przez Towarzystwo Powszechne „Czeladź" i Muzeum Saturn jest częścią projektu „Piaski – postindustrialna perła województwa śląskiego", współfinansowanego przez Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego.

Pod patronatem „Śląska" I Sosnowiecka Jesień Teatralna

SOSNOWIEC. Ruszyła I Sosnowiecka Jesień Teatralna. Inicjatorem i pomysłodawcą imprezy jest Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu, która w konkursie grantowym („Teatr 2015 – 250-lecie teatru publicznego w Polsce. Edukacja teatralna") uzyskała z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowanie na realizację projektu. Wypada dodać, że sosnowiecka MBP jest jedyną instytucją kulturalną z naszego regionu i jedyną biblioteką w Polsce uhonorowaną przez konkursowe jury. Program *Jesieni* jest niezwykle bogaty i urozmaicony a ponieważ MBP przyzwyczaiła nas do imprez atrakcyjnych i długoterminowych (Sosnowieckie Dni Literatury zazwyczaj trwają 4–5 tygodni) tak i tym razem imprezą będziemy mogli cieszyć od 15 września do 30 października. W programie wydarzenia zaplanowano m.in.: warsztaty teatralne, wernisaże. „Teatr mój widzę ogrom-

ny. 250 lat polskiej sceny narodowej" oraz „Polski plakat teatralny", projekcję filmu pt. „Teatr w filmie", finał Zagłębiowskiego Przeglądu Teatrów Amatorskich „Zabawy z Melpomeną" oraz wykłady. Wśród prelegentów znajdą się m.in. pracownicy Zakładu Teatru i Dramatu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego: dr hab. Dorota Fox, dr Ewa Dąbek-Derda i dr Jacek Mikołajczyk.

I edycję zainaugurowano z pompą: 15 września otwarciem wystawy a trzy dni później spotkaniem z ikoną teatru polskiego Anną Dymną.

Projekt powstał przy współudziale Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego, Teatru Zagłębia w Sosnowcu, Galerii Plakatu Kraków, Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, Biblioteki Śląskiej w Katowicach i Zespołu Szkół Specjalnych nr 2 w Sosnowcu. Honorowy patronat nad imprezą objął Arkadiusz Chęciński, prezydent Sosnowca. Wśród patronów medialnych nie zabrakło także redakcji naszego miesięcznika.

Przed nami kolejne tygodnie atrakcji, z programem których warto się zapoznać na stronie internetowej MBP: www.biblioteka.sosnowiec.pl i jej facebookowym profilu.

Fot. Maciej Stobierski

Sosnowiec, akcja „Zrób sobie selfie z Gierkiem i innymi", na zdjęciu Piotr Zawadzki w roli Edward Gierka.

Fedrowali z folklorym

SUCHA GÓRNA. Hymn górniczy w wykonaniu śpiewaka operowego Tomasza Suchanka otworzył w sobotę 19 września ósmą edycję „Fedrowanio z folklorym". Impreza organizowana przez władze Górnej Suchej oraz Miejscowe Koło Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego odbyła się, jak zwykle, w Domu Robotniczym w Suchej Górnej. Pierwsza edycja odbyła się w 2006 r. Przez dziewięć lat na scenie, a raczej na parkiecie, Domu Robotniczego gościły takie sławy, jak polski „Śląsk" czy słowackie zespoły „Lučnica" czy SĽUK. Impreza na stałe wpisała się do kalendarium najpopularniejszych imprez folklorystycznych na Zaolziu.

„Fedrowanie" także w tym roku przyciągnęło miłośników folkloru i zabawy z szerokiej okolicy. Program był jak zwykle bogaty i atrakcyjny. Konferansjerzy: Agata Rzyman i Wojciech Kadłubiec, przywitali na scenie wykonawców zarówno z naszego regionu – zespoły „Suszanie" i „Chórek", kapele „Kamraci" i „Lipka czy tradycyjnego gościa imprezy – ostrawską „Šmyknię", ale też gości z Czech (pilzneńska „Mladina") i zza granicy: zespoły „Kalina" z polskiego Wrocławia i PUĽS ze słowackiego Preszowa.

25-lecie Domu PZKO

ZAOLZIE. W niedzielę 6 września w Lesznej Dolnej świętowano 25-lecie otwarcia Domu PZKO oraz 5. rocznicę wybudowania nowej plenerowej sceny. Jubileuszom tym towarzyszył tradycyjny, bo dziewiąty już Przegląd Kapel Ludowych.

Leszniańskie koło, które oprócz mieszkańców Lesznej Dolnej skupia również Polaków z osiedla Sosna oraz sąsiednich Kojkowic, prowadzi Renata Szkucik. – W ciągu roku mamy 15-16 różnego rodzaju imprez. Są to m.in. bale, wycieczki, przedstawienia teatralne wystawiane przez okoliczne zespoły amatorskie, wystawy robót ręcznych, imprezy sportowe, takie jak Puchar Lata w mini piłce nożnej, nocne czytanie z dziećmi „Z książką pod poduszką" oraz spotkanie adwentowe w nowej formule z jasełkami, Mikołajem i jarmarkiem – wymienia prezes Renata Szkucik.

Od 9 lat koło organizuje również Przeglądy Kapel Ludowych. W tym roku oklaskiwano w Lesznej zaolziańskie zespoły folklorystyczne „Oldrzychowice" i „Suszanie", ołomunieckie „Valašské peklo", jabłonkowską kapelę ludową „Jackové" oraz kapelę ludową „Jasienica" z Polski.

Park Szpyrca w Jabłonkowie?

ZAOLZIE. W parku za jabłonkowskim ratuszem odbywają się liczne, bardziej kameralne niż w Lasku Miejskim imprezy. 12 września podczas Jabłkowego Dnia, konferansjer Tadeusz Filipczyk zaproponował, by w przyszłości nadać parkowi imię Antoniego Szpyrca. – Bo któż inny, jak nie Antek, wielki znawca historii Jabłonkowa, autor tylu wybitnych książek o nim, miałby być patronem tego pięknego miejsca w samym centrum jego ukochanego miasta? – podkreśla Filipczyk.

Burmistrz Jiří Hamrozi zapowiedział, że poprze „szpyrcowską" inicjatywę. Gorącym zwolennikiem pomysłu jest też wiceburmistrz Stanisław Jakus. – Projekt odnowienia, upiększenia parku powraca często podczas sesji radnych. Kiedy zaś usłyszałem, że jego patronem mógłby być Antek, od razu przyklasnąłem pomysłowi. Znaliśmy się przecież z Antkiem jeszcze ze szkoły, chodził on o klasę wyżej, często biegaliśmy jako dzieci po ulicach miasta. Później często się spotykaliśmy, dowiadywałem się od niego sporo o historii, o ludziach, których już nie ma – mówi Jakus. Dodaje, że jeszcze w tym roku powinien być gotowy projekt rewitalizacji parku. – Niech ten park będzie solidny. I do tego imienia Antka Szpyrca. Uważam, że wszyscy radni będą za – mówi wiceburmistrz.

Rzeźbiarski plener

ZAOLZIE. 18-20 września mieszkańcy Czeskiego Cieszyna mogli w Parku Adama Sikory śledzić pracę rzeźbiarzy. Międzynarodowy Plener Rzeźbiarski, po raz pierwszy zorganizowany przez władze miasta, zainteresował pięciu artystów. Nad Olzą tworzyli Čestmír Slíva z Hawierzowa i Milan Lysek z Mostów koło Jabłonkowa, z morawskiego Kyjowa przyjechał zaś Adam Balajka. Nie zabrakło rzeźbiarzy z Polski, zaproszenie przyjęli Artur Szołdra z Goleszowa oraz Franciszek Piecha z Czerwionki-Leszczyny.

Do rzeźbienia miasto przygotowało dla twórców kilka kloców z topoli ściętych podczas rewitalizacji parku. – Koledzy tworzą z drewna topolowego, ja wybrałem drewno lipowe i teraz im trochę zazdroszczę, bo trafił mi się akurat kloc niezbyt zdrowy. Mam więcej pracy – ubolewał Čestmír Slíva. Dodał, że temat prac był dowolny, jednak rzeźbiarze tworzyli raczej baśniowe postaci, takie jak wodnik czy dobry duszek parku. Tego ostatniego rzeźbił Franciszek Piecha z Polski. – Zaprosił mnie Čestmír, z którym znamy się doskonale od kilku lat. Plener jest fajny, mamy wspaniałe miejsce do pracy. Mam też nadzieję, że mój duch parku nie tylko spodoba się mieszkańcom miasta, ale będzie dobrze pilnował tego pięknego parku przede wszystkim przed wandalami – podkreślił artysta z Polski.

W skrócie...

- W Galerii Szyb Wilson gościły dwie wystawy: *Politonalne harmonie dwuwymiarowe* – malarstwo i grafika Marka Batorskiego oraz rzeźby autorstwa Jerzego Wilgusa.
- W Muzeum Miejskim w Tychach odbyła się połączona z wystawą promocja książki Bogusława Tracza pt. *Hippiesi, kudłacze, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967-1975*.
- Muzeum Historii Katowic zapraszało na wystawy *Styl japoński – styl piękny. Ula i Kazu*, które prezentowane są w Oddziale Grafiki im. Pawła Stellera Muzeum Historii Katowic.
- Przegląd Teatrów Niezależnych *Teatr w centrum… uwagi* odbywał się w dniach 28 września – 14 października w Katowicach w Centrum Kultury. Była to wydarzenie zainspirowane obchodzonym w tym roku 250-leciem teatru publicznego w Polsce.
- Adam i Barbara Podgórscy zostali uhonorowani tytułem Zasłużony dla Rudy Śląskiej, a także zaszczytnym wyróżnieniem imienia Zygmunta Glogera.
- Ars Independent Festival, podczas którego można było oglądać filmy, animacje, gry wideo i posłuchać muzyki rozpoczął się w Katowicach, w dniu 22 września w kinie Kosmos pokazem filmu *Mustang* w reżyserii Deniza Gamzy Ergüvena, a zakończył 27 września projekcją filmu *Z natury* w reż. Ole Giaevera i Marte Vold. Organizatorem imprezy była Instytucja Kultury Miasto Ogrodów Katowice.

Nowy sezon artystyczny 2015/2016 Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" zainaugurował koncertem, podczas którego została wręczona Nagroda „Maecenas Silesiae" Śląskiemu Kuratorowi Oświaty Stanisławowi Faberowi. Inauguracji towarzyszyła konferencja *Ku twórczej aktywności – rola zespołu „Śląsk"*.

W galerii Akademii Sztuk Pięknych Rondo Sztuki w Katowicach gościła wystawa *Codex Mundi. Światło – geneza rzeczy*, której autorami byli Jan Berdyszak, Christoph M. Loos i Eduard Ovčaček. Wystawa została przygotowana w ramach Festiwalu ArsGrafia Międzynarodowe Triennale Grafiki PrintArt.

W nowej siedzibie Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach przy ulicy Raciborskiej 50 można było zobaczyć wystawę prac Eduarda Ovčačka pt. „Formy przestrzenne".

Teatr Śląski zapraszał do galerii Foyer na dwie wystawy: grafiki Magdaleny Pastuszki – absolwentki Wydziału Sztuk Nowych Mediów Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych, projektantki i ilustratorki, reżyserki filmów reklamowych i autorki kilkudziesięciu wystaw indywidualnych w kraju i za granicą, laureatki wielu konkursów, m.in. Krakowskiego Biennale Grafiki, a także na wystawę Grupy Janowskiej z kolekcji „Barwy Śląska", podczas której można było zobaczyć prace m.in. Erwina Sówki, Pawła i Leopolda Wróblów.

Wystawa malarstwa Jolanty Miguły i Małgorzaty Baron pt. „Czas zatrzymany" gościła w Miejskim Domu Kultury w Mikołowie.

Ceramika i malarstwo Agnieszki Chudzickiej była prezentowana na wystawie w galerii Art. Nova 2 ZPAP w Katowicach.

Do połowy listopada można oglądać w Galerii „Kronika" w Bytomiu wystawy Bartosza Sikorskiego (mieszkającego w Wiedniu artysty wizualnego, kompozytora i kontrabasisty) *A chłopaki podpierają ściany* oraz Magdaleny Starskiej (artystki performance, autorki rysunków i instalacji) wystawę *Wszystko czuwa*.

W koncertach *Talenty Katowic na urodziny miasta* organizowanym przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia" w ramach cyklu „Młodzi twórcy kultury" wystąpili: Michał Orlik (skrzypce), Wojciech Kaszuba (trąbka, Antoni Olesik (marimba), Dariusz Noras (fortepian), Agnieszka Porzuczek (fortepian), Jan Porzuczek (fortepian) i Agnieszka Sawicka (skrzypce).

Muzeum w Chorzowie zapraszało 27 września na koncert pt. „Na polską nutę" zorganizowany w ramach ogólnopolskiej akcji Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Kultura 60+" oraz projektu „Czas na muzykę". Wykonawcami byli Katarzyna Ćwiek mezzosopran), Aleksander Kruczek (tenor) i Michał Goławski (fortepian).

Od 11 do 13 września VI Międzynarodowe Warsztaty Gospel poprowadzili w WSA w Bielsku-Białej Dathan Thigpen i Colin Vasell.

„Pokręcone sny historii. Subwersywność i deformacja w filmach animowanych z krajów Grupy Wyszehradzkiej" to nazwa konferencji naukowej nt. filmu animowanego i eksperymentalnego, którą zorganizowano w Galerii Bielskiej BWA od 10 do 13 września. Wzięli w niej udział badacze z Polski, Czech, Słowacji, Węgier, Włoch i Chin.

20 września w Teatrze Lalek Banialuka w Bielsku-Bialej odbyła się premiera „Księgi dżungli" w wersji Roksany Jędrzejewskiej-Wróbel w reż. Ewy Piotrowskiej.

We wrześniu w Muzeum Historycznym w Bielsku-Białej zaprezentowano wystawę pt. „II Spotkania po latach". Przypomniano prace nieżyjących absolwentów bielskiego „Plastyka" – Jagody Adamus, Józefa Hołarda, Tomasza Jury, Zygmunta Magnera, Zbigniewa Majkowskiego i Igora Mitoraja.

Do 7 października trwała wystawa dzieł czworga artystów zmarłych w trakcie przygotowania jubileuszowej ekspozycji z okazji 70-lecia ZPAP w Galerii PPP przy bielskim Rynku. Eksponowane były prace Zygmunta Gacka, Teresy Gołdy-Sowickiej, Stanisława Bojki i Marii Tomiak-Cieślak.

Od 11 września do 9 października trwała w Galerii ROK w Bielsku-Białej wystawa pt. „Ikonopisanie" – pokłosie międzynarodowych plenerów w Nowicy w Beskidzie Niskim.

We wrześniu w Zespole Szkół Plastycznych w Bielsku-Białej wystawiał swe malarstwo jeden z absolwentów szkoły – prof. Michał Kliś.

28 września w Domu Narodowym w Cieszynie odbyło się spotkanie poświęcone artyście Andrzejowi Szewczykowi (1950-2001).

„W cieniu jednostki. Kult Stalina na Górnym Śląsku (1945-1956)" to tytuł wrześniowej wystawy w Muzeum Śląska Cieszyńskiego.

W Częstochowie gościły wystawy: w MGS: Spięcie Grzegorza Wnęka oraz Lotne projektowanie – wzornictwo Juli Prockiej, Barbary Sługockiej oraz Niny Woronieckiej; Wejściówka: prace Pameli Lukrecji Ryś; w OPK Gaude Mater: Paweł Pierściński – kielecka szkoła fotografii; w CPM: plakaty Jana Sętowskiego; w Pawilonie Wystawowym: Długopisem rysowane Rafała Stępniaka.

Częstochowa gościła na spotkaniach literackich: Dariusza Domagalskiego, Wiolettę Grzegorzewską (Odwach), Mariana Kisiela (OPK Gaude Mater).

Fot. Jacek Sikora

Gwiazdą tegorocznego „Fedrowanio z folklorym" był zespół PUĽS ze słowackiego Preszowa.

31 sierpnia w Filharmonii Częstochowskiej wystąpiła Youth Orchestra 2015; zespół powstał z okazji 100. rocznicy urodzin Witolda Lutosławskiego.

12 września w Filharmonii Częstochowskiej odbył się koncert muzyki filmowej z „Gwiezdnych wojen".

18 września na rozpoczęcie sezonu artystycznego w Filharmonii Częstochowskiej wystąpił kwintet Vołosi.

W Kłobucku w czasie XIV Dni Długoszowskich odsłonięto pomnik z brązu autorstwa Jerzego Kędziory.

Kino Central w Czeskim Cieszynie odzyska dawny blask. Dzięki pomocy rządowej władze Czeskiego Cieszyna przeprowadzą remont fasady kina, która ma powrócić do modernistycznej formy z 1925 roku.

1 września w sali widowiskowo-koncertowej Muza w Sosnowcu odbył się koncert Jerzego Połomskiego, 11 września wystąpił muzyk, producent, instrumentalista, raper Adam Ostrowski O.S.T.R., 18 września świętowano Polski Dzień Bluesa a 21 września na scenie pojawiła się legendarna grupa Stare Dobre Małżeństwo.

I Festiwal Punkowy „Zagłębioza" odbył się 11 września w Sosnowcu na Górce Środulskiej, wystąpili m.in.: Kryzys, Tora Tora Tora, Czterdzieści Jeden Dwieście, Mom Bassa i Tony Tarantula and his Bastards.

„Notacje czasoprzestrzeni. A. Dudek-Dürer – żywa rzeźba. Wybrane prace – fotografia, grafika, obiekty, instalacje, wideo i performance" to wystawa, która od 18 września gości w sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki.

25-lecie działalności Miejskiego Klubu „Maczki" w Sosnowcu uświetniła swoją obecnością Renata Przemyk.

26 września w katedrze Wniebowzięcia NMP w Sosnowcu odbył się koncert charytatywny Stanisława Sojki na rzecz odbudowy świątyni po jej pożarze w październiku ubiegłego roku.

25-26 września w Miejskim Muzeum Sztygarka w Dąbrowie Górniczej obradowało IV Forum Rekonstrukcji Obiektów Historycznych *Dziedzictwo kulturowe przestrzeni nadrzecznych.* Czeladź – Sławków – Okradzionów – Ojców.

Wiadomości w języku polskim nadawane przez ostrawskie studio Telewizji Czeskiej, po dwóch latach doczekają się bardziej atrakcyjnej pory emisji. Eugeniusz Delong, członek Rady Rządu RC ds. Mniejszości Narodowych, otrzymał od kierownictwa TVC zapewnienie, że czas nadawania polskiej audycji już w październiku będzie bardziej dogodny dla widzów. Premiery co prawda nadal będą nadawane w niedzielę wcześnie rano, natomiast powtórka będzie emitowana w programie TVC 2 o godz. 19.45.

Rynek w Czeskim Cieszynie 18 września rozbrzmiewał muzyką. Raczyli nią publiczność: grupa Jelen, grająca muzykę roots, Halina Mlynková oraz Ewa Farna. Okazją do zobaczenia na żywo takiego zestawu gwiazd był charytatywny „Benefis pod niebieskim niebem" organizowany przez miasto Czeski Cieszyn. Oprócz muzyków na scenie pojawili się aktorzy czeskiej i polskiej sceny Teatru Cieszyńskiego z piosenkami ze spektakli „Ondraszek – Pan Łysej Góry" i „Báthoryčka".

Rodzina krok za krokiem, od jednego ważnego wydarzenia do drugiego – tak można w skrócie scharakteryzować wystawę, na którą 19-20 września zaprosiły do Nawsia członkinie Klubu Kobiet działającego przy tamtejszym Miejscowym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Cykliczną wystawę nawsianki nazwały tym razem „Rodzinne szczęście", a własne obrazy zaprezentowała przy tej okazji w Domu PZKO również Anna Piszkiewicz, wiceprezes Sekcji Kobiet przy Zarządzie Głównym PZKO.

MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

PIERWSZY raz po 1989 roku Sejm przyjął ustawę, która umożliwia pomoc działaczom antykomunistycznej opozycji. Zgodnie z jej zapisami „działaczem opozycji antykomunistycznej jest osoba, która w okresie od dnia 1 stycznia 1956 r. do dnia 4 czerwca 1989 r., łącznie przez co najmniej 12 miesięcy prowadziła, w ramach struktur zorganizowanych lub we współpracy z nimi, zagrożoną odpowiedzialnością karną, działalność na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości i suwerenności lub respektowania politycznych praw człowieka w Polsce". Na świadczenie pieniężne w wysokości 400 zł miesięcznie przez rok można liczyć, jeśli dochód samotnie gospodarującej osoby uprawnionej do zasiłku nie przekracza kwoty odpowiadającej 120 proc. najniższej emerytury, ogłaszanej przez prezesa ZUS, albo gdy dochód na osobę w rodzinie osoby uprawnionej nie przekracza kwoty odpowiadającej 100 proc. najniższej emerytury.

PIERWSI pracownicy zatrudnieni w należącym do czeskiego właściciela Przedsiębiorstwie Górniczym Silesia w Czechowicach – Dziedzicach – do niedawna stawianego za wzór dobrze rozwijającej się kopalni – dostali wypowiedzenia. Zwolnienia to wynik sytuacji panującej na rynku węgla. Silesia zmuszona została do redukcji zatrudnienia. Zakład zatrudniał 1785 osób. Do końca roku zatrudnienie zostanie zmniejszone do 1700 osób, zaś ewentualne zwolnienia w 2016 roku uzależnione są od sytuacji na rynku węgla, która – zdaniem władz PG Silesia – jest pochodną udzielania pomocy publicznej wyłącznie państwowym kopalniom.

BEZZAŁOGOWIEC „Manta" z Gliwic został pokazany na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach, największej tego typu imprezie w Polsce. Co roku przyciąga ona polityków, przedstawicieli armii oraz producentów sprzętu wojskowego. Słowem – wszystkich, którzy mają cokolwiek do powiedzenia, jaki sprzęt, kiedy, u kogo oraz za jakie pieniądze kupić dla polskiego wojska. Decydenci zobaczyli też śląską „Mantę" w akcji – najnowszy samolot bezzałogowy wyprodukowany przez należącą do grupy WB Electronics gliwicką firmę Flytronic. Opinie były pochlebne. MON zamierza w najbliższych latach kupić kilkadziesiąt zestawów różnej wielkości bezzałogowców. Producenci liczą na zlecenia.

CIOS mamuta znaleziono w Wodzisławiu Śląskim. Wszystko dzięki... wielkim upałom. Na nietypowe znalezisko na dnie wysychającego stawu natrafiła w czasie spaceru mieszkanka wodzisławskiej dzielnicy Zawada. Pracownicy tamtejszego Muzeum orzekli, że to rzadki olbrzymi cios mamuta. Mamuty wyginęły 12 tysięcy lat temu, więc cios musi być naprawdę stary. Starszy niż Wodzisław – to na pewno.

RÓWNO 35 lat temu, 3 września 1980 roku, podpisano Porozumienie Jastrzębskie. Wspólne rozmowy, braterska więź, która połączyła uczestników strajku i... smaczne kanapki – tak wspominają te chwile po latach bohaterowie tamtych dni. Co ciekawe – oryginalne dokumenty porozumień z Gdańska i Szczecina prawdopodobnie zniszczyła SB. Te ze Śląska trafiły na Wybrzeże. Uratował je ks. Anzelm Skrobol, proboszcz jastrzębskiej parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa. Razem z dokumentami Porozumienia górnicy przywieźli 15 zdjęć ilustrujących podpisanie porozumień. Materiały ukryte w bibliotece, odkryto już po śmierci jastrzębskiego proboszcza i przekazano przewodniczącemu NSZZ „Solidarność" Marianowi Krzaklewskiemu.

ZAGŁĘBIOWSKIM społecznikom marzy się utworzenie w KWK Kazimierz-Juliusz zagłębiowskiej wersji szybu Guido. Urząd Marszałkowski studzi nieco ich zapał. Społecznicy z Kazimierza Górniczego chcą walczyć o zachowanie chociaż wyrobisk kopalni, z której pod koniec maja wyjechała ostatnia symboliczna tona węgla. Sam skansen początkowo mógłby powstać w oparciu o sztolnię szkoleniową z lat 70., która znajduje się na terenie kopalni. Kopalnię Kazimierz-Juliusz otaczają lasy, a największą atrakcją jest Park im. Jacka Kuronia z mini zoo. Zagospodarowanie kolejki wąskotorowej może sprawić, że będzie to perełka turystyczna na mapie Zagłębia. Wszystko jak zwykle rozbija się o koszty.

POMYSŁ zwołania Kongresu Górnośląskiego ponad podziałami rzucił prof. Zbigniew Kadłubek, filolog i regionalista, śląski intelektualista. Ale chyba czas jest niefortunny. Prof. Kadłubek startuje bowiem do parlamentu z listy wspólnego komitetu mniejszości niemieckiej i Ślązaków. Hasło kongresu pada teraz, bo – zdaniem pomysłodawcy – właśnie w czasie kampanii ma szansę przebić się w przestrzeni publicznej. Jego konkurenci twierdzą, że idea kongresu jest do zrealizowania, ale po wyborach.

REFERENDALNA farsa za 100 milionów złotych. W zorganizowanych w niedzielę 6 marca referendum odpowiadaliśmy na trzy pytania: 1. Czy jest Pani/Pan za wprowadzeniem jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej? 2. Czy jest Pani/Pan za utrzymaniem dotychczasowego sposobu finansowania partii politycznych z budżetu państwa? 3. Czy jest Pani/Pan za wprowadzeniem zasady ogólnej rozstrzygania wątpliwości co do wykładni przepisów prawa podatkowego na korzyść podatnika? Choć pytania były istotne, to kampania informacyjna – mizerna. Niektórzy nazwali referendum najdroższym sondażem – do urn poszło ledwo 7,8 procenta uprawnionych do głosowania rodaków.

TEMAT uchodźców z Azji i Afryki, których stale przybywa – i są już liczeni nie dziesiątkach, lecz setkach tysięcy – zdominował polskie i europejskie media, politykę, a także rozmowy towarzyskie. Pierwotnie zadeklarowana i potwierdzona przez premier Ewę Kopacz liczba 2,2 tys. zwiększyła się w ciągu miesiąca do kilkunastu tysięcy. Gdzie trafią ci przybysze? Za los imigrantów odpowiada Urząd ds. Cudzoziemców, ale gotowość do przyjęcia syryjskich rodzin będą musiały wyrazić samorządy. Kościół za głosem papieża Franciszka namawia, by każda parafia przyjęła jedną rodzinę. – W archidiecezji katowickiej jest 321 parafii. Każda z nich mogłaby przyjąć jedną rodzinę – podkreślał ks. dr Grzegorz Smieciński, rzecznik metropolity katowickiego, abp. Wiktora Skworca. Ale, jak mówią badania, aż 91 proc. z nas nie przyjęłoby pod swój dach imigranta z Syrii.

SIEDMIU uchodźców, w tym dwójka małych dzieci – pochodzące z Syrii dwie chrześcijańskie rodziny od niedawna mieszkają w Chorzowie. Zostali sprowadzeni do naszego kraju dzięki Fundacji Estera z Warszawy, na miejscu pomaga im natomiast Chrześcijańska Fundacja Wiara, Nadzieja, Miłość z Chorzowa. To pozytywny przykład.

USTAWA metropolitalna została uchwalone na miesiąc przed wyborami, 25 września. Za głosowało 239 posłów, 48 było przeciwnych. Od głosu wstrzymało się 139 posłów. Zdaniem Wojciecha Saługi, marszałka województwa śląskiego, to szansa na skuteczniejsze zarządzanie regionem. Zdaniem komentatorów, ustawa jest potrzebna, ale powstała za późno. Zgodnie z nią, związek metropolitalny ma być zrzeszeniem jednostek samorządu terytorialnego, spójnym pod względem przestrzennym, położonych w danym obszarze metropolitalnym. Taki obszar to sfera oddziaływania miasta, będącego siedzibą wojewody lub sejmiku województwa, zamieszkała przez co najmniej 500 tysięcy mieszkańców. Niewątpliwie takie uwarunkowania spełnia aglomeracja śląska. Nie ma podobnego obszaru w Polsce, który w takiej skali jest funkcjonalnie powiązany. To wymaga sprawnego zarządzania i koordynacji działań, strategii rozwoju i współdziałania.

DOBROWOLNIE poddał się karze 30-latek, który brutalnie pobił 2 września wójta Kobióra (powiat pszczyński), Eugeniusza Lubańskiego, oraz kierownika wydziału gospodarki komunalnej. Dla mężczyzny ustalono karę ośmiu miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem na trzy lata, zadośćuczynienie w wysokości 500 zł na fundusz osób pokrzywdzonych oraz przeproszenie pokrzywdzonych na piśmie, a także ustalony został dozór kuratora sądowego. Opinia publiczna jest zbulwersowana zbyt łagodną karą za bezczelny i brutalny postępek bezrobotnego mieszkańca Kobióra.

WOJEWÓDZKA Komisja Wyborcza przyjmowała do 15 września do północy listy kandydatów na posłów i senatorów. Z szybkiego przeglądu list wynika, że niespodzianek jest niewiele. Sporą grupę wyborców zaskoczyć może jednak np. Barbara Dolniak jako zagłębiowska liderka listy „Nowoczesnych", prof. Marian Zembala jako jedynka PO w Katowicach i oczywiście prof. Zbigniew Kadłubek, który walczy o mandat z Katowic jako przedstawiciel „Zjednoczonych dla Śląska". 25 października wybierzemy z województwa śląskiego 55 posłów i 13 senatorów. Czy stworzą zgraną, śląską drużynę? Zobaczymy.

GÓRNICY Jastrzębskiej Spółki Węglowej zgodzili się na oszczędności. Znaczne, bo w wysokości 2 mld zł. Wszystko kosztem ich przywilejów zawieszonych na 3 lata. – Pokazaliśmy, że leży nam na sercu dobro firmy i chcemy ją ratować– podkreślał Piotr Szereda z Solidarności 80, po podpisaniu porozumienia z zarządem JSW, które oznacza dla górników prawdziwe zaciskanie pasa do 2018 roku.

UNIJNE przepisy marnują nam żywność. W Śląskim Banku Żywności na najuboższych czeka 1200 ton mąki, mleka, cukru, konserw... Ale nikt nie ustawia się po nie w kolejce. Jan Szczęśniewski, prezes ŚBŻ, alarmuje, że jedzenie może się zmarnować. Produkty zgromadzono w ramach unijnego Programu Operacyjnego Pomoc Żywnościowa na lata 2014-2020. Wprowadzone nowe przepisy utrudniające korzystanie z pomocy organizacjom, a poza tym uniemożliwiają przekazanie żywności z ŚBŻ bardziej potrzebującym regionom.

PRACOWNICY Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu żądają podwyżek i grożą dyrekcji strajkiem. Średnia płaca pracujących tu 64 osób to 2200 zł brutto. Zażądano podwyżki wynagrodzeń zasadniczych wszystkich pracowników o ok. 1500 zł brutto. Pracownicy żalą się też, że czują się, jakby pracowali w placówce muzealnej drugiej kategorii. Dyrekcja zapewnia, że robi co może by było lepiej.

KOMPANIA Węglowa przed końcem września miała tylko jeden cel, znaleźć ok. 150 mln zł na październikowe wypłaty dla górników. To liczyło się bardziej niż mityczne rozmowy z inwestorami w sprawie utworzenia Nowej Kompanii Węglowej. Zresztą nikt już nie wierzył, że jakiekolwiek rozstrzygnięcie w tej sprawie nastąpi przed wyborami.

JEDNAK dzięki zapowiedziom rządu, to właśnie spółka Towarzystwo Finansowe Silesia przejmie 11 kopalń, utrzymując ich płynność finansową, a także gwarantując ich skuteczność rynkową.

KRONIKARZ

Z zapisków emeryta

Piekarnik w świetle teorii spiskowej

JAROSŁAW STARZYK

– Wiecie panowie, że jestem jak najdalej od teorii spiskowych – oznajmił profesor, kiedy zasiedliśmy w sali dla palących osiedlowej kawiarenki, a Dżony (nadal nie wiemy dlaczego tak go nazywają) podał nam grzane wino. – Zwłaszcza pan powinien to wiedzieć – naukowiec łypnął okiem w kierunku naszego biznesmena.

– Ale to, co ja mówię, to jest na faktach – odezwał się zaczepiony. – No sam pan powiedz, co tych Amerykanów obchodzi FIFA? Przecież oni w amerykańską piłkę nożną grają głównie rękami. A tu nagle zdybali szwajcarskiego staruszka na tym, że za mundial w Katarze parę milionów łapówki wziął, żeby sobie do emerytury trochę dorobić. A co mają do Volkswagena? Sami, chytrusy, protokołu z Kioto nie podpisali, klimat ocieplają, a solidną niemiecką firmę przyłapali na ekologicznym kancie. W Europie węszą, jakby własnych przestępstw nie mieli. Bo chcą pokazać, że my to oszuści, a oni święci. Wtedy łatwiej nam będzie narzucić umowę o wolnym handlu. Podpiszemy, wykończą nasze małe i średnie firmy, a potem zarzucą nas tanią żywnością genetycznie modyfikowaną…

– Przerwał mi pan wywód – poskarżył się naukowiec. – A ja chciałem powiedzieć, że choć generalnie w spiskowe teorie nie wierzę, to doszedłem do wniosku, że jednak może coś na rzeczy jest. Otóż jakiś czas temu zepsuł się żonie piekarnik. Akurat tydzień wcześniej skończyła się na ten piecyk gwarancja. Okazało się przy okazji, że naprawa jest tak kosztowna, iż bardziej opłaca się kupić nowe urządzenie. Ale to nie koniec. Niedawno wysiadł mój ulubiony dyktafon. Zaglądam do karty gwarancyjnej…

– A tu termin minął – włączył się nasz osiedlowy biznesmen. – Teraz produkują taką jednorazową tandetę.

– Znowu wszedł mi pan w słowo. Opowiedziałem o tych pechowych wydarzeniach w pracy, a tam pewien kolega, którego bardzo cenię, to jest po prostu naukowy autorytet, uczestniczy w wielu konferencjach krajowych i zagranicznych…

– I co on powiedział? – zapytał zniecierpliwiony przedstawiciel klasy średniej.

– Powiedział coś wręcz niewiarygodnego. To znaczy, byłoby to niewiarygodne, gdyby to powiedział ktoś inny. Otóż ten kolega oświadczył, że to nie pech, tylko teraz firmy wszczepiają do różnego rodzaju urządzeń, zwłaszcza elektronicznych, takiego czipa, który sprawia, że ta rzecz się psuje zaraz po upływie terminu gwarancyjnego.

– Gdyby coś takiego wszyli pod skórę Rambo, to on wziąłby ten swój nóż, wypruł to z siebie, a potem zaszył sobie ranę igłą z nitką z tego samego noża. A tym czipem to by zburzył pół miasta…

– Więc może dałoby się wyjąć to świństwo z urządzenia zanim zdoła go zepsuć – zastanowiłem się.

– A wie pan, jak taki czip wygląda? – zapytał profesor.

– Nie wiem – przyznałem.

– Ani ja – powiedział biznesmen.

– Ja również nie wiem – stwierdził nasz uczony. I w tym momencie niespodziewanie odczułem przebłysk geniuszu.

– Młodzi wiedzą, jak wygląda czip! – zakrzyknąłem. – I to byłby dla nich dobry pomysł na założenie własnego biznesu. Usuwanie szkodliwych czipów z nowo zakupionych sprzętów AGD.

– Ja bym nawet w coś takiego parę złotych zainwestował – odezwała się w naszej klasie średniej przedsiębiorczość.

■

ŚLĄSK

kolekcja jubileuszowa

Redakcja miesięcznika „Śląsk" z okazji 20. roku istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową". Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.

Fot. z arch. Barbary Ptak

Barbara Ptak

Wybitna kostiumolog teatralna i filmowa. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Warszawie jest autorką oprawy plastycznej do ponad dwustu przedstawień dramatycznych, oper, operetek, musicali i filmów. *Faraon, Ziemia Obiecana, Noce i dnie, Królowa Bona* to tylko kilka wybitnych dzieł polskiej kinematografii, do których stworzyła kostiumy. Na trwałe w pamięci utrwaliły się także spektakle teatralne, do których projektowała scenografię i kostiumy. Artystka współpracowała m.in. z Operetką Śląską, Teatrem Śląskim, Operą Śląską, Teatrem Bagatela w Krakowie, Teatrem Polskim w Bielsku-Białej, Teatrem Zagłębia w Sosnowcu, Teatrem na Woli w Warszawie, Teatrem Nowym w Zabrzu, Teatrem Powszechnym w Łodzi, Teatrem Wybrzeża w Gdańsku, Teatrem Rozrywki w Chorzowie, Teatrem im. Kochanowskiego w Opolu, Operą w Bydgoszczy, Teatrem Dzieci Zagłębia, Teatrem Syrena w Warszawie, Teatrem Satyry „Maszkaron" w Krakowie, Teatrem im. Jaracza w Olsztynie, Teatrem Muzycznym w Łodzi, Teatrem im. Mickiewicza w Częstochowie, Sceną 113 Górnośląskiego Centrum Kultury im. K. Bochenek w Katowicach, Teatrem Muzycznym im. Baduszkowej w Gdyni, Operą Nova w Bydgoszczy. Wykonała również scenografie do około 130 spektakli Teatru Telewizji, stworzyła także kostiumy do spektakli operowych we Włoszech. Cztery filmy, do których artystka zaprojektowała kostiumy otrzymały nominacje do Oscara: *Nóż w wodzie* (1963), *Faraon* (1966), *Ziemia Obiecana* (1975) oraz *Noce i dnie* (1976).

Fot. Mirosława Łukaszek

Projekt Barbary Ptak. Jeden z kostiumów królowej Barbary Radziwiłłówny (Anna Dymna) do filmu *Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny* w reżyserii Janusza Majewskiego (1980)

KATOWICE

INTERPRETACJE

XVII Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej

7–15 listopada 2015 **Katowice** www.festiwal-interpretacje.pl

KIM JESTEM?
KIM JESTEŚ?

PYTANIA O TOŻSAMOŚĆ

MISTRZOWIE

LEV DODIN - WUJASZEK WANIA
ANDRZEJ CHYRA - CZARODZIEJSKA GÓRA

W KONKURSIE

MICHAŁ BORCZUCH / MAJA KLECZEWSKA / EWELINA MARCINIAK
PAWEŁ MIŚKIEWICZ / MONIKA STRZĘPKA

POKAZY TOWARZYSZĄCE / REAKTOR KATOWICE / STREFA DZIECKA